PISMA FERDYNANDA HOESICKA

TOM III

Tegoż autora wyszły dotychczas

Jan Kochanowski w świetle najnowszych wyników krytyki historyczno-literackiej. Kraków 1909. Spółka wydawnicza polska.

Życie Juliusza Słowackiego. 3 tomy. Kraków i Warszawa, 1897. Gebethner i Wolff.

Chopin. Życie i twórczość. 3 tomy. Warszawa 1912. Księgarnia p. f. F. Hoesicka.

Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego. Kraków 1909. Gebethner i Wolff.

Julian Klaczko. Rys życia i prac. Kraków 1904. Spółka wydawnicza polska.

Juliana Klaczki pisma polskie. Warszawa 1902. Księgarnia p. f. F. Hoesicka.

Juliana Klaczki zapomniane pisma polskie. Kraków 1912. Gebethner i Wolff.

Juliana Klaczki Listy włoskie. Kraków 1908. Spółka wydawnicza polska. Wyczerpane.

Stanisław Tarnowski. Rys życia i prac. 2 tomy. Kraków 1906. Gebethner i Wolff.

Chopiniana. Korespondencya Chopina. Kraków 1911. Gebethner i Wolff.

Sienkiewicz jako feljetonista. Luźne kartki z teki Litwosa. Warszawa 1902. Księgarnia p. f. F. Hoesicka.

Nemezis. Romans. Warszawa 1913. Gebethner i Wolff.

Niedole małżeńskie. Nowele. Warszawa 1914. Gebethner i Wolff.

Pisma Ferdynanda Hoesicka:

Tom I. **Paryż.** Kraków 1916. Gebethner i Spółka.
Tom II. **Miłość i miłostki w życiu sławnych ludzi.** Warszawa 1917. Gebethner i Wolff.
Tom III. **Sienkiewicz i Wyspiański.** Przyczynki i szkice. Warszawa 1918. Gebethner i Wolff.

W przygotowaniu:

Tom IV. **Grottger i Matejko.** Przyczynki i szkice.
Tom V. **Wędrowiec.** Wrażenia z podróży.
Tom VI. **Zakopane.** Przeszłość i teraźniejszość.
Tom VII. **Warszawa.** Luźne kartki z przeszłości Syreniego grodu.
Tom VIII. **Słowacki i Chopin.** Przyczynki i szkice.
Tom IX. **Chopin i Elsner.** Dwa życiorysy.
Tom X. **Kochanowski i Słowacki.** Studya historyczno-literackie.
Tom XI. **Mickiewicz i Słowacki.** Studya biograficzne.
Tom XII. **Sienkiewicz i Klaczko.** Początki twórczości.

FERDYNAND HOESICK

SIENKIEWICZ I WYSPIAŃSKI

PRZYCZYNKI I SZKICE

U HENRYKA SIENKIEWICZA W WARSZAWIE W ROKU 1900. HEKTOR SIENKIEWICZA A WYSPIAŃSKIEGO. RÓD SIENKIEWICZA I WOLA OKRZEJSKA. SZKIC DO ŻYCIORYSU HENRYKA SIENKIEWICZA. STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO RAPSODY KRÓLEWSKIE O BOLESŁAWIE ŚMIAŁYM I KAZIMIERZU WIELKIM. Z NOTATEK I WSPOMNIEŃ O STANISŁAWIE WYSPIAŃSKIM.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ═══ LUBLIN ═══ ŁÓDŹ
KRAKÓW ═══ G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.



SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI M. NIEMIERKIEWICZA W POZNANIU

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

Znakomitemu powieściopisarzowi
i autorowi cennych studyów literackich

Adamowi Krechowieckiemu

zasłużonemu redaktorowi »Gazety lwowskiej«
i »Przewodnika naukowego i literackiego«

książkę tę

z wyrazami wdzięczności i czci

w hołdzie składam.

Kraków, w lutym 1918.

U HENRYKA SIENKIEWICZA W WARSZAWIE

w roku 1900.

Szkic ten, drukowany w *Tygodniku illustrowanym* w marcu r. 1900, czytał Sienkiewicz w rękopisie, poczynił w nim stosowne poprawki i uzupełnił go w kilku miejscach własnoręcznymi dopiskami.

Czyniąc aluzyę do legionów polskich pod Napoleonem i ich bohaterskich czynów w tylu bitwach, mówi Podkomorzy w swojej przydługiej trochę oracyi podczas wieczerzy w soplicowskim zamku, że

Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno.

Kiedy się myśli o działalności literackiej Sienkiewicza, słowa te Podkomorzego mimowoli cisną się do ust; bo choć epoka nasza nie wytrzymuje pod wieloma względami porównania z pierwszą połową kończącego się obecnie stulecia, gdy to

ów mąż, Bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprząglszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych
Ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz,

to jednak, dzięki Sienkiewiczowi, znowu jest o Polakach w świecie całym głośno, a jak wtedy »rosły nam serca« od sławy Kniaziewiczów, Kozietulskich, Dziewanowskich, Zajączków, Dąbrowskich,

Krasińskich, Chłopickich i głównego wodza i bohatera epopei napoleońskiej, księcia Józefa, podobnie dziś cały świat cywilizowany, od Londynu do Moskwy, od Nowego Yorku po Berlin i Rzym, entuzyazmuje się dla Zagłoby i Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego i Kmicica, Winicyusza i Podbipięty, których rozgłos i sława, zdobyte pod Zbarażem i Częstochową, pod Kamieńcem i w cyrku Nerona, bodaj czy nie przewyższają sławy, jaką się w swoim czasie okryli bohaterowie z pod Berezyny i Samosierry...

Albowiem zaprzeczyć się nie da, że nikt w naszych czasach nie rozniósł po świecie sławy imienia polskiego tak szeroko, jak twórca *Quo vadis* i Trylogii. Możemy się poszczycić takimi pierwszorzędnymi talentami w zakresie literatury, malarstwa i muzyki, jak Klaczko, Siemiradzki, Paderewski, Reszkowie, Kochańska i Modrzejewska, których sława jest dziś wszechświatową, a przecież Sienkiewiczowi należy się w tym zaszczytnym poczcie bezwarunkowo miejsce naczelne, gdyż z jego powieści historycznych, tłómaczonych na wszystkie główne języki, (a tak polskich w każdym calu, iż nawet starorzymskie z czasów Cezarów *Quo vadis* zaprawne jest w postaciach Ursusa i Ligii pierwiastkiem polsko-słowiańskim), dowiedział się świat cywilizowany, jacy byli nasi ojcowie, gdyśmy się uważali za »przedmurze Chrześcijaństwa«, a jednocześnie z jego powieści współcze-

snych i nowel poznał nas, jacy jesteśmy dzisiaj, my, o których wogóle świat troszczy się tak mało.

Ale dokazał on nadto czegoś więcej jeszcze: oto zdobył sobie za życia wdzięczność i uwielbienie swych rodaków, zadając kłam tak zresztą prawdziwemu przysłowiu, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Nie znaczy to, by w ciągu swego literackiego zawodu nigdy nie spotykał się z syczącymi głosami zawiści swoich »kolegów po piórze«, w końcu jednak, po napisaniu *Trylogii*, wzniósł się nad głowy ich tak wysoko, że go już żadne zatrute pociski nie dosięgają, a społeczeństwo nie daje się im uwieść.

Ale bo też ten »mistrz słowa« dokazał prawdziwego cudu, cudu, który był marzeniem Mickiewicza, marzeniem — dotychczas przynajmniej — nieziszczonem.

O, gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy...
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi proste, jako ich piosenki!

O ile Mickiewicz pociechy tej nie dożył — bo nawet prosty *Pan Tadeusz* pozostał aż po dziś dzień dla naszych maluczkich niezrozumiałym — o tyle książki autora *Potopu* nietylko »zbłądziły« pod strzechy ludu wiejskiego, do suteryn i poddaszy ubogiej ludności robotniczej, lecz w nich znalazły trwałą siedzibę. Gdzie dotychczas, prócz książki do

nabożeństwa, czytano tylko »powiastki dla ludu« i »senniki egipskie«, a w najlepszym razie kalendarze, tam dzisiaj młodzi i starzy nie dosypiają nocy nad przejściem Skrzetuskiego przez obóz nieprzyjacielski pod Zbarażem; tam dzisiaj młodzi i starzy płaczą nad śmiercią Podbipięty (i dają swe grosze wdowie na mszę za jego duszę); tam dzisiaj młodzi i starzy z dziecinnem zaciekawieniem śledzą bohaterskie czyny Kmicica na Jasnej Górze; tam dzisiaj młodzi i starzy z bijącem sercem drżą o losy Wołodyjowskiego w Kamieńcu; tam dzisiaj młodzi i starzy pękają od śmiechu, przy czytaniu facecyi i dowcipów Zagłoby.

A to samo powtarza się po dworkach szlacheckich, i w pałacach wielkopańskich, i w skromnych mieszkaniach urzędników, i w wytwornych apartamentach bogatej burżuazyi, i to zarówno wśród »państwa«, jak i pomiędzy służbą.

Powiedział stary Fredro, że na to, by w Polsce dobić się zasłużonego uznania, trzeba umrzeć, albo za życia stać się mitem, t. j. nie stykać się z ludźmi, trzymać się od nich zdaleka, nie spotykać się z nimi przy lada okazyi, słowem, nie dawać się im poznać osobiście. W słowach tych, podyktowanych rozgoryczeniem, jest sporo prawdy, w stosunku jednak do Sienkiewicza są one zgoła pozbawione słuszności: Sienkiewicz bowiem, lubo cieszy się sławą, jakiej nigdy jeszcze nie miał za życia żaden pisarz u nas, mimo to wcale nie hołduje po-

wyższej teoryi autora *Zemsty;* przeciwnie, mieszka stale w Warszawie, można go spotykać po redakcyach, na różnych zebraniach literackich, na ulicy, w teatrze, na koncertach, etc. etc. Nie stara się być mitem: prawie wszystkim »ludziom pióra« jest znany osobiście, a przestając z nimi, bywa znacznie milszym i uprzejmiejszym, niż wielu mniejszych od niego.

Mieszka przy ulicy Wspólnej pod Nr. 24, róg Kruczej, na drugiem piętrze, razem z teściową swą, panią Szetkiewiczową (teścia stracił niedawno). Szczegół charakterystyczny, iż na całej przestrzeni ulic Wspólnej i Kruczej każdy stróż czy stróżka domu, każda służąca, każdy stojący na rogu posłaniec, zapytani: »Gdzie mieszka pan Sienkiewicz?« potrafią odrazu udzielić dokładnej informacyi w tym względzie, co, bądź co bądź, świadczy o niezwykłej popularności pisarza. Podobnie w swoim czasie znaną była na całej *Rue du Bac* pani Staël.

Życie, jakie tu prowadzi Sienkiewicz, jest bardzo spokojne, w przeważnej części oddane najbliższej rodzinie, dzieciom, oraz pracy literackiej, która mu stale pochłania kilka godzin dziennie.

— Ludziom się zdaje — mówił niedawno — że ja utrzymuję Bóg wie jakie stosunki ze światem; tymczasem zdarza się bardzo często, że gdy nie wyjdę z domu, to po kilka dni, a niekiedy i ty-

godniami całymi, nie widuję nikogo, prócz najbliższych.

Mówiliśmy o tem, stojąc przed dużych rozmiarów kopią bronzową słynnego *Byka farnezyjskiego*, świeżo nadesłanego mu z Neapolu przez firmę wydawniczą Detken & Roscholl, która zrobiła majątek na włoskiem tłómaczeniu *Quo vadis*. Grupa ta, uchodząca za jedno z największych arcydzieł rzeźby starożytnej (oryginał znajduje się, jak wiadomo, w muzeum neapolitańskiem) jest wyrazem hołdu pomienionej firmy księgarskiej, która rozprzedawszy w ciągu kilku miesięcy 30 tysięcy egzemplarzy rzymskiej epopei Sienkiewicza, poczuła się do obowiązku okazania mu w jakiś sposób swej wdzięczności. Wybór *Byka farnezyjskiego*, wyobrażającego chwilę, gdy synowie Antyopy przywiązują omdlałą Dirce do rogów potężnego tura, jest aluzyą do słynnej sceny cyrkowej z *Quo vadis*.

Rzeźba ta, mniej więcej na metr szeroka i wysoka, ustawiona przy oknie na odpowiednim stoliku, jest jedną z głównych ozdób salonu autora *Połanieckich*.

Pod przeciwległą ścianą, podobne do greckiej hermy, stoi alabastrowe popiersie Sienkiewicza, dłuta Welońskiego, ofiarowane mu z powodu 25-letniego jubileuszu pracy literackiej przez uczestników zebrań piątkowych u doktora Benni'ego, na których autor *Krzyżaków* bywa stałym gościem.

Na tejże ścianie, nad kanapą, wisi olejny portret »Henia« Sienkiewicza, w mundurku krakowskiego gimnazyum św. Anny, malowany przez Mordasewicza, a z rysów twarzy uderzająco podobny do ojca; po obu bokach wisi kilka akwarel, wyobrażających widoki Wenecyi, gdzie Sienkiewicz zwykle spędza z dziećmi cały wrzesień, a która jest jego ulubionem miastem.

— Kąpiele morskie na Lido doskonale robią moim dzieciom, bez porównania lepiej, niż morze północne Bretanii lub Belgii, a przytem uważam, że niema nic cudniejszego nad Wenecyę we wrześniu, gdy już słońce nie pali tak, jak w sierpniu, a zachodzi tak wspaniale, że nigdzie nie widzi się piękniejszych zachodów. Sama Wenecya jest o tej porze śliczna. Widziałem ją w różnych porach roku, ale nigdy nie wygląda tak wspaniale, jak wczesną jesienią, w czasie sezonu kąpielowego na Lido. Uważam też, że pobyt w Wenecyi jest bez porównania przyjemniejszy, niż w takiej Abazyi np., w której ludzie nie wiedzą, co z sobą robić. Tymczasem w Wenecyi nudzić się niema kiedy, a chcąc poznać jej cuda, jej pałace, kościoły, dzieła sztuki etc., trzeba w niej koniecznie pomieszkać czas jakiś.

Niemniejszy kult, aniżeli dla »królowej Adryatyku«, żywi Sienkiewicz dla nowoczesnego malarstwa angielskiego, dla prerafaelitów wogóle, a dla Burne Jonesa w szczególności. Świadczy o tem kilka reprodukcyi najpiękniejszych dzieł

tego ostatniego, oraz Wattsa, zdobiących ściany salonu, a sąsiadujących z kilku wartościowymi oryginałami naszych artystów: z przepysznie pojętym *Latarnikiem* Stachiewicza, może najlepszą głową tego artysty, a stanowczo najlepszą w narysowanej przez niego galeryi postaci Sienkiewiczowskich, oraz ze znakomitym szkicem piórkowym Pochwalskiego, wyobrażającym Sabałę.

Całą jedną ścianę zajmują portrety rodzinne Sienkiewiczów, Szetkiewiczów, Cieciszowskich (matka autora *Niewoli tatarskiej* była Cieciszowska z domu). Prócz pięknej miniatury prababki i doskonale zachowanego portretu dziada, Józefa Sienkiewicza, w mundurze podpułkownika artyleryi Wojska Polskiego (za czasów Wielkiego Księcia Konstantego), największą zwraca na siebie uwagę wiszący pośrodku portret biskupa Cieciszowskiego, który był bratem Adama, pisarza koronnego, a pradziada Sienkiewicza po kądzieli. Biskup jest wyobrażony w pysznym kardynalskim stroju. Jako o biskupie łuckim i arcybiskupie mohylewskim, wyczerpująco pisze o nim Julian Bartoszewicz w *Encyklopedyi* Orgelbranda. Postać to tem bardziej zajmująca, że »literacka żyłka« cechowała biskupa już w stopniu bardzo wybitnym. Oto końcowy ustęp życiorysu jego, skreślonego piórem autora *Anny Jagiellonki:* »Umarł 28 kwietnia 1831 roku. Biskupem był przez lat 56, z tych dyecezyalnym w Kijowskiem lat 43, w Luckiem lat 29,

w Mohylowskiem lat 4. Slynął nauką, wymową, świątobliwem życiem, umiał doskonale po włosku, po łacinie, po grecku, po francusku i po niemiecku. *Moc zostało po nim w druku różnych pism, kazań, mów pogrzebowych i listów pasterskich;* po największej części sam to wszystko wypracowywał, pod koniec tylko życia wzrok utracił i już pisać nie mógł. Wteneczas sławił go wierszem *Bruno Kiciński, którego matki Cieciszowski był rodzonym stryjem.* Wiersz Brunona o Arcybiskupie[1]) ma nawet szczegóły biograficzne; wspomina tam Kiciński o sławnym obchodzie 50 lat kapłaństwa, na którym się znajdował, i 50-letnim obchodzie w lat kilka potem biskupstwa. Prawdziwy pasterz, dawał duszę swoją za owce swoje i kiedy hojną ręką rozsypywał jałmużny, mawiał do ubogich: »Com wam dał, bliźnim w potrzebie wróćcie« [2]).

Przypatrując się tym portretom rodzinnym Sienkiewicza, zapytałem przy sposobności, jaki jest stosunek jego — i czy istnieje wogóle — do zaszczytnie znanego w historyi naszej literatury z pierwszej połowy bieżącego wieku Karola Sienkiewicza, autora *Skarbca historyi polskiej,* wydawcy cennych *Documents historiques relatifs à la Pologne* etc.

[1]) *Poezye,* Warszawa, 1840, I, 50.

[2]) Zob. *Encyklopedya powsz.* Orgelbranda t. V, str. 609—616.

— Nie łączy nas najmniejsze pokrewieństwo. Jest to całkiem inna rodzina, nawet innego herbu.

Ponieważ dziad naszego pisarza, nim wstąpił do wojska polskiego, przedtem służył w armii Napoleona, więc mimowoli potrąciłem znów o temat, który już nieraz poruszałem w rozmowach z autorem *Bartka zwycięzcy*, mianowicie: że jest on stworzony do napisania powieści historycznej na tle wojen Napoleońskich i bohaterskich walk *Legii nadwiślańskiej*... Powieść taka, z głównym bohaterem legionistą (już Mickiewicz marzył o takim *Legioniście)* z Somosiery, z Berezyny, z bitwy pod Lipskiem, etc. etc., toż to mogłaby być epopeja.

— Niewątpliwie, a nawet napisanie podobnej rzeczy przyszłoby mi łatwiej, niż komu innemu, gdyż w rodzinie mej ja pierwszy dopiero nie byłem nigdy żołnierzem. Aż do ojca mego, który służył w wojsku w roku 1830, wszyscy Sienkiewicze służyli Marsowi. Stąd od dzieciństwa wzrosłem w tradycyach wojskowych, głównie napoleońskich, a po Józefie Sienkiewiczu, mym dziadku, pozostało mnóstwo papierów, odnoszących się właśnie do epoki legionów... Niestety, żeby chcieć wyzyskać wszystkie świetne tematy, które się dopraszają opracowania w formie powieści historycznej, życiaby ludzkiego nie starczyło. Cóż za świetnym tematem np. jest historya Władysława Warneńczyka i jego wyprawy pod Warnę! W jednej ze starych kronik (w Kalimachu) wyczytałem nawet

bardzo romantyczny epizod miłosny z tej bohaterskiej epopei, z której dałoby się stworzyć jakąś polską Achilleis; zacząłem nawet przemyśliwać nad tym tematem, ale w końcu zarzuciłem go, jak tyle innych, które jednak dobrzeby było opracować. Przez jakiś czas np. nosiłem się z myślą napisania dramatu na tle wojny Trojańskiej, dramatu, którego głównym bohaterem byłby Hektor, tajemnie kochający się w Helenie. Jest to sytuacya, do której nawet upoważniają niektóre napomknienia w *Iliadzie*, np. ta, gdzie Helena powiada o Hektorze, iż zawsze był wyjątkowo dobry dla niej. Ostatecznie nasuwa się nieraz pytanie: dlaczego to oblężenie Troi trwało tak długo, kiedy oddanie Heleny Grekom mogło mu odrazu koniec położyć? Władza, którą miał Hektor w grodzie Pryamowym była taka, że na jego rozkaz musiałby Parys wyrzec się pięknej żony Menelaja. Czemu więc Hektor brata swego nigdy do tego zmusić nie usiłował? Tuby można postawić hypotezę, że i on uległ nieprzepartemu czarowi Heleny, na której widok nawet starcy niemieli z zachwytu, mówiąc do siebie »po cichu« za jej ukazaniem się na murach:

Próżno to; patrząc na twarz i taką urodę,
Niemasz się przecz dziwować, iż tak wielką szkodę
Dla niej Trojanie cierpią i mężni Grekowie:
Dosyć by być boginią takiej białogłowie!

Mimo to jednak, powiadają ciż starcy zaraz w następnym wierszu:

Ale jaka jest kolwiek niech na morze wsiędzie,
A nam i dzieciom naszym przyczyną (wojny) nie będzie.

Wobec takiego usposobienia starców trojańskich, z Pryamem na czele, oddanie Heleny Grekom, gdyby tego domagał się główny wódz, Hektor, musiałoby wbrew opozycyi ze strony Parysa dojść do skutku. Jeżeli stało się przeciwnie, to — można przypuścić — stało się to za sprawą Hektora, który, opętany urokiem pięknej Greczynki, wolał wszystko postawić na kartę, niż wyrzec się jej widoku. Tak pojęty Hektor stałby się znakomitą postacią dramatyczną, bohaterem, w którymby toczyły z sobą tragiczną walkę patryotyzm syna Troi z fatalną miłością dla Heleny. Helena musiałaby tu być przedstawiona jako symboliczne wcielenie tej siły, która nas przykuwa do kobiety, siły, z którą daremna walka, a Hektor jako jej ofiara, jako człowiek, który dla tej miłości, wbrew przekonaniu i poczuciu obowiązku, poświęca wszystko: szczęście swego rodzinnego miasta, żony, syna, całą przyszłość ojczyzny, a wszystko dlatego jedynie, bo nie może pogodzić się z myślą, że w przeciwnym razie nie mógłby raz po raz napawać oczu nieziemską urodą Heleny, pod której nieprzepartym urokiem pozostawał. Gdyby się wyrzekł widoku jej, oswobodziłby Ilion od srogiego najeźdźcy, a jednak, choć od niego to tylko zależy, bo jego głos jest rozstrzygającym na radzie wojen-

nej, nie czyni tego. Czemu? Bo dobrowolne pozbycie się możności widzenia Heleny przechodzi jego siły. Za sprawą złowrogiego fatum, które się nań sprzysięgło i uwzięło, (a które w całej sztuce, jak w greckiej tragedyi, musiałoby się, jak drapieżny jastrząb nad stadem gołębi, unosić nad akcyą i wolą działających figur), z całą świadomością prowadzi Hektor losy swego rodzinnego miasta nad brzeg przepaści, co prawie równa się narażaniu go na pewną zgubę i zatracenie, aż w końcu znajduje wyzwolenie ze swej męki, idąc na bój z Achillesem, pomimo przeczucia, że bój ten zakończy się dla niego śmiercią nędzną. Tak pojąwszy Hektora i wysunąwszy go na pierwszy plan w tragicznej walce z samym sobą, jednocześnie braci jego, z Parysem na czele, którym przypadłaby rola figur drugoplanowych, zamierzałem przedstawić jako zniewieściałych i zblazowanych dekadentów, rozmiłowanych w muzyce, w sztuce, w różnego rodzaju bibelotach, ale nie stworzonych ani do walki, ani do przewodzenia Trojanom, do czego zgrzybiały Pryam także się już nie nadawał. Tym sposobem cała odpowiedzialność za wszystko spadałaby na Hektora. Dramat ten zacząłem już nawet pisać, ale zarzuciłem go ostatecznie. Z pomysłu tego jednak chętnie zrobiłbym prezent któremu z naszych poetów, np. Tetmajerowi lub Rydlowi, którzyby go mogli opracować nawet wierszem, do czego się w zupełności nadaje.

Ośmieliłem się zauważyć, że takie nadawanie konkretnych kształtów pomysłom cudzym udaje się rzadko (nawet taki geniusz, jak Goethe, nie mógł się odważyć na dokończenie Schillerowskiego *Demetriusa*, choć zrazu zapalił się do tej myśli), i że szkoda tak świetnego pomysłu nie wykonać samemu, kiedy się jest autorem *Quo vadis*. Wprawdzie, gdy chodzi o podarowanie go któremu z młodych poetów, odrazu przychodzi na myśl Wyspiański, który jako autor dwóch tragedyi greckich, *Meleagra*, oraz *Protesilasa i Laodamii*, najbardziejby się może do napisania tragedyi takiej nadawał, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że najlepiej napisałby ją niewątpliwie sam pomysłodawca.

Rozmawiając na ten temat, przeszliśmy do przyległego gabinetu, będącego literacką pracownią mistrza, gdzie zaczął pisać *Quo vadis*, a obecnie pisze *Krzyżaków*.

Pokój to narożny o trzech oknach, a wystarcza przekroczyć jego próg, by się zoryentować odrazu, że się jest w mieszkaniu artysty, rozmiłowanego w książkach, w obrazach, w dziełach sztuki, w starożytnościach i... myśliwstwie. Cały pokój, wysłany dywanem w wielkie kwiaty; drzwi osłonione ciężką portyerą; nad oknami i firankami draperye odpowiednie do ponsowego koloru tapet; pośrodku duży, sukiennym obrusem nakryty stół, pełen książek, gracików i różnych przyborów do pisania; pomię-

dzy dwoma oknami wytworne biureczko, uginające się pod mnóstwem cacek, ramek i galanteryi; kominek, wyglądający z za japońskiego parawaniku, zastawiony wazonikami porcelanowymi, bronzami, fotografiami; pod główną ścianą wielka otomana, dalej garnitur miękkich, wyścielanych mebli; przy drzwiach oszklona biblioteka, szczelnie wypchana ozdobnie oprawnymi woluminami; na ścianach, prócz kilku półek i półeczek z książkami, mnóstwo obrazów, obrazków, szkiców, rogów jelenich i bawolich, czaszek zwierzęcych, starej broni, buław, karabeli, czekanów, łuków i strzał tatarskich; ponad tem wszystkiem zaś króluje wielki rogaty łeb łosia, jakby wyglądający z jednej ze ścian, z pod samej powały, oraz piękna, nadzwyczaj oryginalna lampa wschodnia, zwieszająca się ze środka sufitu.

Całą ścianę nad otomaną zajmują dwa naturalnej wielkości portrety pendzla Pochwalskiego: znany portret Sienkiewicza z roku 1890, bezwarunkowo najlepszy ze wszystkich jego portretów, oraz portret ś. p. pani Sienkiewiczowej, matki dwojga dzieci mistrza, Henryka i panny Jadwigi. Tej ostatniej piękne popiersie gipsowe, roboty Nalborczyka z Zakopanego, bieli się w rogu pokoju, tuż pod portretem matki, której łagodne, a przytem typowo polskie rysy żywo przypomina.

Przypatrując się portretowi autora *Bez dogmatu*, jego postaci siedzącej w stylowym fotelu, a przzo-

dem zwróconej do widza, jego twarzy ściągłej, rasowej, oliwkowo-śniadej, jakby u południowca, zakończonej krótko-strzyżoną hiszpanką, twarzy prawdziwie męskiej o rysach regularnych, szlachetnych, z nosem suchym, patrycyuszowskim, z oczyma czarnemi, pełnemi wyrazu i jakiejś smętnej zadumy w spojrzeniu, kiedy się widzi poważne zamyślenie, doskonale na tym portrecie uwydatnione przez malarza, a wogóle Sienkiewiczowi właściwe, mimowoli przypomina się słynny *Lorenzo il pensieroso*, którego pełne ponurego zamyślenia oblicze nacechowane jest podobnym wyrazem. Jednocześnie, patrząc na ten obraz, malowany w epoce pisania *Bez dogmatu*, ma się wrażenie, że jest to wymowny portret pisarza, który dał światu postać Płoszowskiego, tego Werthera i Hamleta z końca XIX w.

Kiedy, stojąc przed tym wizerunkiem z roku 1890, ma się jednocześnie możność rzucenia okiem na Sienkiewicza samego, dostrzega się bardzo niewielką w powierzchowności jego zmianę; tyle tylko, że mu w ciągu tych lat dziesięciu przybyło sporo siwych włosów: ciemny szatyn na portrecie jest dziś dobrze już szpakowatym.

Prócz portretu pendzla Pochwalskiego, nie brak tu między obrazami także i innych wizerunków twórcy *Potopu*. Jeden jest malowany akwarelą przez Witkiewicza, a wyobraża autora *Listów z Afryki* w myśliwskim stroju, z fuzyą w ręku,

spoczywającego wśród olbrzymich kaktusów podzwrotnikowych. Tegoż Witkiewicza jest ładna akwarela, wyobrażająca polowanie na bawoły wśród stepów amerykańskich. »Jest to — objaśnił mię Sienkiewicz — rodzaj fantastycznej illustracyi do moich *Listów z podróży*«. Dalej zwraca na siebie uwagę obraz Rosena, ofiarowany przezeń autorowi Trylogii po owem nadesłaniu mu z Podola od jakiegoś »Wołodyjowskiego« piętnastu tysięcy rubli, które później Sienkiewicz złożył w Akademii Umiejętności, jako fundusz imienia Maryi Sienkiewiczowej, na rzecz dotkniętych chorobą piersiową literatów i malarzy. Będąc aluzyą do tego faktu, wystawia obraz ten Imci Pana Wołodyjowskiego podjeżdżającego na koniu do Sienkiewicza i ofiarującego mu z wyrazami *Nic to* worek z pieniędzmi, czego domyślać się pozwala wypisana na nim suma 15.000. W głębi widać Zbaraż i Częstochowę. Wśród innych obrazów, gęsto rozwieszonych po ścianach, najbardziej dla właściciela ich znamiennymi, bo świadczącymi o jego upodobaniach artystycznych, są piękne światłodrukowe reprodukcye *Wyspy umarłych* i *Willi nad morzem* Boecklina, *Miłość w ruinach* Burne Jones'a, oraz parę rzeczy Maxa Klingera. Upoważnia to do wniosku, że Sienkiewicz ze wszystkich kierunków w sztuce najbardziej holduje modernizmowi.

Pewnym kontrastem w stosunku do tych sym-

boliczno-prerafaelistowskich malowideł jest duża, dziobata od rdzy, kula armatnia, oprawna w szeroką metalową obręcz i zawieszona na metalowym łańcuchu w najbliższem sąsiedztwie Maxa Klingera.

— Jest to kula armatnia szwedzka, wydobyta z murów klasztornych na Jasnej Górze. Dostałem ją od zakonników tamtejszych, jak o tem zresztą informuje wygrawirowany na oprawie napis: *Autorowi Potopu kulę tę z czasów oblężenia Częstochowy ofiarują OO. Paulini...*

Cenniejszą jeszcze bez porównania pamiątką jest stojąca opodal na osobnym stoliczku pompejańskim szkatułka hebanowa, ze wspaniałą srebrną rzeźbą na pokrywie. W środku tej szkatułki, będącej niezależnie od tego, co zawiera w sobie, prześlicznem dziełem sztuki, mieści się cały szereg złotych ogniw z łańcuchów królewskich Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Zygmunta III, Władysława IV, Konstancyi Austryaczki, Cecylii Renaty. Prócz tego znajduje się tu jeszcze kilka paciorków z różańca Stefana Batorego, siedm pereł z naszyjnika Anny Jagiellonki, oraz kawałek wstęgi orderowej *virtuti militari* Tadeusza Kościuszki.

— Relikwie te — objaśnił mię Sienkiewicz — pochodzą z grobów królewskich na Wawelu, wyjęte z nich w czasie ostatniego otwarcia trumien na początku naszego wieku... Dostałem je niedawno

w tej szkatułce od rodziny, w której posiadaniu znajdowały się dotychczas.

Patrząc na stos różnych starych foliałów niemieckich, łacińskich i polskich, leżących w nieładzie tuż przy stole, przy którym się obecnie piszą *Krzyżacy*, i usłyszawszy objaśnienie autora, że to jest mała zaledwie cząstka materyałów, zużytkowanych przezeń do tej powieści, zapytałem, kiedy ma nadzieję ukończyć tę historyę o Zbyszku? Odpowiedział, że w lutym, a najdalej w marcu.

— W każdym razie będzie to moja ostatnia powieść historyczna; potem będę pisał tylko rzeczy współczesne, jednotomowe, a noszę się także z myślą napisania kilku rzeczy dla sceny.

– A powieść z czasów amerykańskich wojen o niepodległość, o której przez czas jakiś krążyły pogłoski, że zamierza pan do niej przystąpić po ukończeniu *Krzyżaków*?

— To jedna z tych bajek, których wciąż mnóstwo krąży po mieście, a które, rozpuszczane nie wiem doprawdy przez kogo, zgoła są pozbawione prawdy.

Z kolei zeszła rozmowa na przekłady dzieł Sienkiewicza na obce języki. Utworzyła się z nich w jego pokoju cała biblioteka, zalegająca jedną wielką półkę i dwa okna. Najpowabniej przedstawiają się tłómaczenia angielskie, dokonane przez Jeremiasza Curtina, który już na przekładach dzieł Sienkiewicza zrobił majątek, co o wielu jego tłó-

maczach powiedzieć można, nie mówiąc już o ich wydawcach. Całą jedną półkę zajmują przepysznie wydane *Works of Henryk Sienkiewicz*, zawierające całą *Trylogię*, *Bez dogmatu*, *Rodzinę Połanieckich*. Obok stoi cudowny w biały pergamin oprawny, a do średniowiecznego mszału podobny egzemplarz *Quo vadis*, odbity na holenderskim papierze, ozdobiony mnóstwem illustracyi, które, odbite na jedwabnym papierze, wyszły z pod ołówka i pędzla najpierwszych angielskich artystów. Co to musi być za satysfakcya widzieć się tak wydanym!... *Quo vadis*, które w Anglii i w Ameryce rozeszło się w liczbie 800.000 egzemplarzy, figuruje tu w czterech tłómaczeniach angielskich, gdyż obok przekładu Curtina ukazały się jeszcze trzy tłómaczenia konkurencyjne. Obok stoją także cztery egzemplarze czterech przekładów powieści tej na język niemiecki: z tych dwa wydania, przepysznie illustrowane, mogą uchodzić za prawdziwe arcydzieło wydawniczego kunsztu. Przeglądając je, mimowoli chce się zapytać: »Kiedy to będziemy oglądali dzieła Sienkiewicza tak wydane w ich polskim oryginale?«... Na tejże półce stoi śliczny egzemplarz włoskiego przekładu *Quo vadis* dokonanego przez p. Verdinois[1]), a najbliższym jego

[1]) Oprócz przekładu tego, dokonanego przez p. Verdinois, a wydanego nakładem neapolitańskiej firmy księgarskiej Detken & Rocholl, ukazało się niedawno

sąsiadem jest toż *Quo vadis* w przekładzie na język... armeński.

— Tłómaczenie to — objaśnił Sienkiewicz — wyszło w Tyflisie, gdyby jednak nie łaciński tytuł, wydrukowany w nawiasie pod tytułem w języku armeńskim, trudno byłoby odgadnąć, jakiej to powieści jest przekład. Jeszcze przed *Quo vadis* przetłómaczono na język armeński *Pójdźmy za nim*, a kiedy mi przysłano ozdobnie oprawny egzem-

---

w Medyolanie drugie tłomaczenie tej powieści, konkurencyjne. Jednocześnie otrzymało *Słowo* z Medyolanu wiadomość, że tam dwie firmy równocześnie wydają *Trylogię* Sienkiewicza i rozpoczęły ze sobą proces o prawo tego wydawnictwa i o zyski z niego. »O honoraryum dla autora — dodaje od siebie *Słowo* — oczywiście w procesie tym nie będzie mowy. Jakoż wogóle, oprócz jednego tłómacza amerykańskiego, który uważa sobie za obowiązek moralny odstąpienie drobnej części zysków autorowi, żaden z tłómaczów na jakikolwiek inny język o tem nie pomyślał. Autor nasz zdobywa wprawdzie na całym świecie chwałę nietylko dla siebie, ale i dla imienia polskiego, lecz gdy zagraniczni autorowie za prace swoje, daleko mniej rozchwytywane, olbrzymie dziś biorą sumy, Sienkiewicz musi poprzestać na skromnem za pracę wynagrodzeniu, jakie dać mu mogą polskie wydawnictwa«. Jednocześnie (pisze wspomniany dziennik) w Rzymie, w teatrze Manzoni ma odbyć się przedstawienie *Quo vadis* w przerobieniu dramatycznem p. d'Arborio. Autor przeróbki zwracał się telegraficznie do Henryka Sienkiewicza z prośbą o pozwolenie na przedstawienie.

plarz tego przekładu (tu wskazał mi ładny tomik w niebieskiej okładce), nie wiedziałem w pierwszej chwili, w jakim książka ta jest napisana języku, ani które z mych dzieł oglądam w tej tajemniczej szacie. Litery bowiem, jak pan widzi, są tego rodzaju, że domyśleć się niczego nie pozwalają. Że to jest *Pójdźmy za nim* odgadłem dopiero, wyczytawszy na jednej stronie łacińskie słowa *Tu felix Cinna*. W końcu objaśnił mię ktoś ze znajomych, iż jest to przekład armeński mej noweli. Nowela ta, która, nawiasem mówiąc, została przed niedawnym czasem wydana po łacinie, kiedy wyszła po polsku, uznaną została u nas w pewnych sferach za zbyt mało przeniknięta duchem religijnym, co jej nie przeszkadzało swoją drogą ukazać się w przekładzie francuskim w *Moniteur de Rome*, który, jak wiadomo, jest urzędowym organem Watykanu.

Gdym przeglądał czeski przekład *Krzyżaków*, którego dotąd wyszło już kilka tomów w jaskrawych amarantowych okładkach (rzecz charakterystyczna, że po czesku i po rosyjsku dzieła Sienkiewicza ukazują się wbrew woli i interesom autora wcześniej w książkowem wydaniu, niż po polsku), usłyszałem z ust ich twórcy następujące, godne uwagi objaśnienie:

— Jako temat do powieści historycznej był to ze wszystkich opracowanych przeze mnie najtrudniejszy pod każdym względem. Nie mówię już

o *Trylogii*, do której znakomitym materyałem, pozwalającym świetnie zapoznać się z epoką i jej duchem, jest nadzwyczaj u nas bogata literatura pamiętnikowa XVII wieku. Do epoki Jadwigi i Jagiełły danych takich niema. Dziwna rzecz: pisząc o czasach Nerona, rozporządza się tak bogatym materyałem historycznym, że nie wiadomo co pierwej wziąć do ręki, choć jest to epoka prawie o dwa tysiące lat od nas odległa; tymczasem do wieku XV u nas brak zupełnie źródeł podobnych; choć o piętnaście wieków bliższa nas, wiemy o niej niezmiernie mało, tak, że prawie wszystko trzeba odgadywać intuicyjnie. Jak myślał i czuł Rzymianin w pierwszym wieku naszej ery, wiemy doskonale; a jak myślał i czuł Polak i Litwin za Witolda, w tej kwestyi nasuwają się tysiące wątpliwości. To też bez porównania łatwiej było wczuć się i przenieść myślą w epokę *Quo vadis*, niż w bliższą nas o tyle epokę *Krzyżaków;* tamta jest całkowicie rozjaśniona przez badanie dziejowe, tak, że chodzi się po niej jak w pełnem świetle słonecznem, kiedy ta ginie w mroku i błądzi się po niej po omacku. Ale i pod innym także względem *Krzyżacy* nasuwali dla pisarza znacznie większe trudności, niż *Quo vadis;* epoka Nerona to Rzym Cezarów, to czasy wielkiego rozkwitu kultury starożytnej, czasy wielkich pisarzów, artystów, poetów, mówców, filozofów; tymczasem wiek XIV i XV — to czasy barbarzyństwa i cie-

·mnoty, czasy, w których sam Papież umie wprawdzie czytać, ale jest niepiśmienny i podpisuje się krzyżem, jak nasi chłopi. Ludzie tej epoki, nietylko u nas, lecz i gdzieindziej, to natury grube, których umysły wcale nie przewyższały inteligencyi naszych dzisiejszych fornalów i parobków, Maćków i Wojtków. Z takiego materyału tworzyć bohaterów powieściowych, którzyby mogli być poetyczni niekiedy, to było zadanie trudniejsze o wiele, niż operowanie takimi bohaterami, jak Petroniusz lub Paweł z Tarsu.

Ponieważ Jeremiasz Curtin tłómaczy *Krzyżaków* na język angielski w miarę wychodzenia ich w *Tygodniku*, więc mimowoli zaczęło się mówić o stosunkach literackich angielskich, o dochodach, jakie tłómaczom Sienkiewicza przynoszą przekłady jego dzieł.

— Mały przykład, rzekł Sienkiewicz, pokazując mi ostatni zeszyt amerykańskiego miesięcznika *The Century Review*, przysłany mu przez Curtina, który w nim pomieścił przekład Sienkiewiczowskiej *Legendy* o sądzie świętych Piotra i Pawła nad bogami Olimpu (legendę tę, jak wiadomo, przeznaczoną dla *Jednodniówki* na rzecz Kasy Literackiej, autor *Krzyżaków* odczytał przed kilku miesiącami w Resursie Kupieckiej). Za przekład tego drobiazgu, nie wynoszącego nawet dwóch całych stron w druku — jak pan widzi — zapłacono Curtinowi 750 franków, że zaś przekład

tego dokonał z rękopisu, więc uważał za stosowne przysłać mi połowę otrzymanego przez siebie honoraryum, mianowicie 375 franków. Ponieważ nasza *Jednodniówka* w owej chwili jeszcze nie była wydana, a ja nie życzę sobie, by przekłady mych rzeczy ukazywały się w druku przed ich wyjściem po polsku, przeto ofiarowałem przysłane mi przez Curtina 375 franków *Kasie literackiej*, gdyż *Legendę* moją pisałem w chęci przyczynienia się czemkolwiek tej naszej młodej a tak potrzebnej instytucyi. Legendę tę przetłómaczył Curtin za ostatniej swej bytności w roku zeszłym w Warszawie [1]). Bawił tu on wśród nas dość długo, a ponieważ przez cały czas nie ustawał w tłómaczeniu *Krzyżaków*, więc miałem wizyty jego codziennie, przyczem wciąż mię zarzucał pytaniami, jak przetłómaczyć na angielskie takie to, a takie wyrażenie, jaki znaleźć ekwiwalent na oddanie takiego zwrotu, etc. Nie zawsze mogłem służyć radą w tym względzie. Raz np. może była godzina dziewiąta rano, słyszę, dzwoni ktoś. Kto? Curtin. Wchodzi, wita się, powiada, że już dziś od 6-tej rano tłómaczył *Krzyżaków*, lecz utknął na wyrażeniu, którego nie może znaleźć w żadnym polsko-angielskim słowniku, którego znaczenia nawet się nie

---

[1]) Legenda ta wyszła także w tych dniach w tłómaczeniu włoskiem w jednem z najpoważniejszych pism neapolitańskich.

domyśla. Jakież to wyrażenie? »Ażeby cię *wciórności...«* *What is it* wciórności?

Pozostając w korespondencyi z autorem *Krzyżaków,* Curtin przesyła mu raz po raz głosy krytyki angielskiej i amerykańskiej o jego utworach. Ponieważ jedna z tych krytyk, wydrukowana w *The social forum,* leżała właśnie na biurku, więc mi Sienkiewicz zwrócił uwagę na kilka jej ustępów. Jest to duże studyum o Sienkiewiczu, mianowicie o idei społecznej jego utworów, skreślone piórem znanego amerykańskiego socyologa, George Herron. Analizując poglądy profesora Waśkowskiego z *Rodziny Połanieckich,* rozpisuje się on szczególniej nad jednem jego twierdzeniem, które, zdaniem uczonego z za Atlantyku, śmiało może być policzone do najwznioślejszych, jakie ostatnimi czasy napisane zostały. »Trzy są światy — powiada gdzieś Waśkowski, — romański, germański i słowiański. Tamte już spełniły, co miały spełnić. Przyszłość, to ten trzeci. Stosunki społeczne, prawo, stosunek człowieka do człowieka, życie pojedynczych ludzi i to, co się nazywa życiem prywatnem, jest, bądź co bądź, oparte na nauce chrześcijańskiej. Ułomności ludzkie wykrzywiają ją, ale jednak wszystko na niej stoi. Ale to dopiero połowa zadania spełniona, pierwszy okres! Są ludzie, którzy myślą, że chrześcijaństwo się kończy. Nie, dopiero drugi okres ma się zacząć. Chrystus jest w życiu pojedynczych ludzi, ale go niema w hi-

storyi. Wprowadzić go do historyi, oprzeć na nim stosunki dziejowe, stworzyć miłość bliźniego i w znaczeniu dziejowem, oto misya, którą ma spełnić świat słowiański. Tylko brak mu jeszcze świadomości i trzeba mu na tę misyę oczy otworzyć. Oto nad czem całe życie myślałem, i tom wypowiedział w tej oto pracy. To robota całego mojego życia, to ta wskazana misya«. Słowa te Waśkowskiego nasuwają amerykańskiemu myślicielowi cały szereg refleksyi, a między innemi i tę, że wobec podobnej teoryi nasuwa się mimowoli porównanie z nią teoryi Nitschego, jako kontrastu.

Artykuł ten amerykańskiego syocyologa nie jest bynajmniej unikatem, jeśli chodzi o wyraz entuzyazmu i kultu dla twórcy *Quo vadis*. W Niemczech i we Włoszech dziesiątki piór — a nie brak wśród nich i najcelniejszych — rozpisują się dziś o twórczości Henryka Sienkiewicza. Świeżo nadesłano mu właśnie z Monachium artykuł o nim Baumgarta, stawiający go na takiej artystycznej wyżynie, na jakiej go, prócz Tarnowskiego, nie postawił żaden z naszych mistrzów krytyki literackiej...[1]). To samo da się powiedzieć o wszystkich

---

[1]) W języku niemieckim — pisze *Słowo* — wyszło nowe, wspaniale, bardzo pięknie ilustrowane wydanie *Quo vadis* w tłómaczeniu Ettlingera, staraniem firmy Benzinger. Tłómaczenie mamy przed sobą, uznać je musimy za bardzo dobre. O powieści tej, jak również

artykułach, rozprawach i studyach o Sienkiewiczu, których ostatnimi czasy tyle pisze się na Apenińskim półwyspie.

Człowiekiem, który nazwisko Sienkiewicza uczynił tak popularnem (tak popularnem, że więcej się teraz w Neapolu, Rzymie i Florencyi mówi o Sienkiewiczu, niż o d'Annuntiu), jest zamieszkały w Neapolu literat tamtejszy, p. Fryderyk Verdinois, którego duża fotografia gabinetowa z pełną uwielbienia dedykacyą zdobi — obok fotografii Curtina — kominek w gabinecie mistrza. Gdym, przypatrując się jej, zauważył, że jednak nazwisko to nie jest włoskie, usłyszałem w odpowiedzi następujące wyjaśnienie:

— Pochodzenie p. Verdinois, jak to wiem od niego samego, jest francuskie. Rodzina jego przywędrowała do Włoch z Muratem i dziś już prócz nazwiska nie zachowała żadnych cech francuskich. Sam Verdinois nawet z twarzy, jak pan widzi, ma wybitny typ włoski. Jako człowiek wykształcony, i to wykształcony ponad przeciętną miarę,

o *Rodzinie Połanieckich* w tłómaczeniu p. Ettlingera rozpisują się obecnie krytycy niemieccy, bez wyjątku z niesłychanem uznaniem. Warto zaznaczyć, że nawet bardzo wroga Polakom *Norddeutsche Allg. Ztg.*, która zwykle nie jest w stanie wykrztusić pochwały dla czegokolwiek, co polskie, pomieściła recenzyę pióra Jerzego Adama z entuzyastycznemi pochwałami dla utworów naszego autora.

skoro nawet języki słowiańskie nie są mu obce, po francusku wypisuje się bardzo poprawnie i gładko. Wszystkie np. listy jego do mnie pisane są po francusku, notabene francuzczyzną bardzo wykwintną; mimo to podpisuje się pod nimi zawsze po włosku: Federigo Verdinois. Wobec niebywałego powodzenia *Quo vadis* w jego tłómaczeniu (a ci, co dobrze znają język włoski, powiadają, że jest to przekład bardzo wykwintny) zapytał mię niedawno p. Verdinois, czy pozwolę, by on ofiarował jeden egzemplarz tej powieści w *mojem* imieniu królowej włoskiej... Ponieważ jestem wogóle przeciwny tego rodzaju wystąpieniom, odpisałem więc p. Verdinois, że nie mam nic przeciwko temu, jeśli on to uczyni w *swojem* imieniu, do czego jako Włoch i wielbiciel swej królowej ma najzupełniejsze prawo, nie mieszając do tego całego aktu mojej osoby. Zastosowawszy się do tego mojego życzenia, p. Verdinois uzyskał kilka tygodni temu audyencyę u królowej Małgorzaty i ofiarował jej egzemplarz *Quo vadis*. Przed kilku dniami otrzymałem od niego obszerny list, w którym mi zdaje sprawę, jakie wrażenie na królowej uczyniła moja powieść.

Ponieważ list ten leżał właśnie pod przyciskiem na biurku, więc mi autor *Krzyżaków* przeczytał z niego odnośny ustęp. Okazuje się tedy, że dostojna małżonka króla Humberta tak się zainteresowała arcydziełem naszego mistrza, iż wszystkie

przedstawiane jej u dworu osoby zapytuje, czy czytały *Quo vadis*, sama zaś wyraża się o niem z zachwytem...

Zważywszy, że w ostatnich czasach, wskutek nadzwyczajnego zainteresowania się osobą Sienkiewicza za granicą, zjawiło się w różnych czasopismach niemieckich i włoskich, nie mówiąc już o angielskich, mnóstwo artykułów o nim, a żadne nie było w możności podać choćby kilku najbardziej ogólnikowych szczegółów z jego życia, zdawało mi się więc, że dobrzeby było, i z niemałą przyjemnością dla wielbicieli talentu autora *Quo vadis*, uczynić choćby drobny wyłom w tym przedmiocie.

Za asumpt do rozmowy na ten temat posłużył mi ustęp z *Literatury polskiej* Kuliczkowskiego, który swój rozbiór twórczości Sienkiewicza zaczyna od krótkiej biograficznej notatki: »Rodzina Sienkiewicza (znanego także pod przybranem nazwiskiem Litwosa), z pochodzenia litewska, przeniosła się w zeszłem stuleciu na Ruś, następnie do Korony, a dziad powieściopisarza, też i ojciec, służyli krajowi w zawodzie wojskowym. Henryk Sienkiewicz urodził się w r. 1846 w Woli Okrzejskiej, wsi powiatu Łukowskiego, należącej do jego matki, Stefanii z domu Cieciszowskiej. Nauki średnie odebrał w gimnazyum realnem warszawskiem, po którego ukończeniu w Szkole Głównej stołecznej poświęcał się studyom filozoficznym. Jeszcze jako

uczeń Uniwersytetu rzucił się w r. 1872 na pole literackie, a różne artykuły jego pióra, pomiędzy temi obrazki powieściowe spotykamy w *Wieńcu*, *Przeglądzie tygodniowym*, *Gazecie polskiej* i *Niwie*. W roku 1876 wyjechał do Ameryki, której znaczną część zwiedził; poznał potem także Anglię, Francyę, Włochy i Grecyę«. Prócz tego wiemy (o czem nawet pisałem przed laty w *Kuryerze Codziennym*), że pierwszą pracą drukowaną, podpisaną nazwiskiem Henryka Sienkiewicza, było sprawozdanie z gościnnego występu Rapackiego w *Naszych Najserdeczniejszych* Sardou, w roli Cassade'a, wydrukowane w *Przeglądzie tygodniowym* z d. 18 kwietnia 1869 roku, że następnie w *Tygodniku illustrowanym* z d. 3 lipca 1869 roku zaczęło się drukować jego studyum literackie o *Mikołaju Sępie Szarzyńskim*, po którem niebawem, w tymże *Tygodniku*, w numerze z d. 4 czerwca 1870 roku, zaczął druk swej rozprawki historyczno-literackiej o *Kasprze Miaskowskim*.

— Tymczasem takby się chciało wiedzieć coś o pierwszych wpływach otoczenia, którym pan podlegał w dzieciństwie, o pierwszych wrażeniach i próbach literackich, a także i o tem, czy w rodzinie pańskiej nie kwitła już t. zw. żyłka literacka?

— Rodzina moja przechowywała pewne tradycye wojskowe, których jednak nikt nie spisywał, nie wydała bowiem żadnego literata. W dzieciń-

stwie mem niemało się nasłuchałem o Antonim Sienkiewiczu, bracie dziadka mego. Miał to być za Stanisława Poniatowskiego, a następnie Napoleona, znany żołnierz. Pisano nawet o nim sporo, bo przytem odznaczył się w dziejach naszego wolnomularstwa. Grobowiec jego na Świętokrzyskim cmentarzu w Warszawie znany jest ze swego napisu: *Tu leży człowiek.* Co się tyczy pociągu do literatury, to odziedziczyłem go chyba po matce, która pisywała wiersze, jakkolwiek były to tylko poezye do albumów, bez pretensyi do jakiejś głębszej wartości artystycznej. W każdym razie matka moja pochodziła z rodziny literackiej, jako spokrewniona z Lelewelami i Łuszczewskimi. Stąd Deotyma jest moją krewną daleką. Pyta się pan o pierwsze wpływy, o atmosferę, w jakiej wzrastałem? Największy wpływ wywarło na mnie to, że całe dzieciństwo spędziłem na wsi, czemu zawdzięczam pewną znajomość naszego ludu i jego języka. Co także nie pozostało bez silnego wpływu na mnie, to znaleziony gdzieś na strychu kufer z książkami, pomiędzy któremi pisarze XVI i XVII wieku trzymali prym. Do książek tych dorwałem się jako dziecko, tak, iż mogę powiedzieć, że prawie uczyłem się czytać na Reju, Kochanowskim, Górnickim, Skardze, Birkowskim, Orzechowskim. Od tego czasu datuje się moja znajomość języka staropolskiego... Później, już w szkołach, naprzód w szkole realnej, a następnie w gimnazyum Wie-

lopolskiego, największy zapał wzbudzili we mnie Homer i Szekspir. Szekspira zacząłem czytać w 14 roku życia. Ale mi się wtedy nie podobał. Dopiero gdym go zaczął czytać w tłómaczeniu Jana Komierowskiego z komentarzami Gervinusa, dopiero mi się oczy otworzyły... Co do moich pierwszych prób literackich, to wiele istnieje legend o nich całkiem mylnych. Często też opowiadają rzeczy, których całkiem sobie nie przypominam.

— A ileż jest prawdy w legendzie, że w *Hani* opisane są zdarzenia prawdziwe z pańskich czasów młodzieńczych?

— Tyle jest w tem prawdy, że kiedym w *Gazecie Polskiej* wydrukował *Starego sługę*, w którym istotnie jest trochę wspomnień, bo w dzieciństwie mem znałem takiego starego Marcina, wówczas zażądał ode mnie pan Leo, bym napisał dalszy ciąg tej noweli, mianowicie historyę Hani. Wobec tego musiałem opowiadającemu bohaterowi zostawić imię Henryka, co właśnie stało się głównym powodem, że tego Henryka zaczęto identyfikować ze mną, jako noszącym to samo imię. Nadto zrodziła się niebawem legenda, że w *Hani* opisałem nietylko moją własną historyę, ale i Abakanowicza, którego — mówiono — przedstawiłem w postaci Mirzy Selima, Tatara. Ponieważ Abakanowicz jest pochodzenia tatarskiego, z rodziny Tatarów, od wieków osiadłych w Polsce, więc ogłoszono *urbi et orbi*, że mój Mirza Selim w *Hani*

to Abakanowicz! Tymczasem, jeśli o Abakanowicza chodzi, to poznaliśmy się znacznie później, w uniwersytecie dopiero, i nieraz uśmialiśmy się z tych przypuszczeń serdecznie.

Raz wspomniane nazwisko Abakanowicza pchnęło rozmowę odrazu w innym kierunku, mianowicie w strony Parc St. Maur, pod Paryżem, gdzie Abakanowicz ma obecnie stałą swoją siedzibę, i nad skaliste wybrzeża Bretanii, gdzie znowu posiada uroczą siedzibę letnią. Autor *Krzyżaków* odwiedza go tam prawie co rok.

— Miejscowość, zwana Parc St. Maur, leży niedaleko Champigny, o 25 minut drogi koleją od Paryża, nad samą Marną. Jest to wieś, ale taka, jak wszystkie inne pod Paryżem, z którym ją łączy nieprzerwany prawie ciąg domów. Abakanowicz, zrobiwszy majątek na budowaniu tramwajów elektrycznych po całym świecie (między innemi w Rzymie, w Nizzy), wystawił sobie w Parc St. Maur willę, która, położona w ślicznym ogrodzie nad samą Marną, a urządzona z najwyszukańszym komfortem, może zadowolić nawet najbardziej wybredne gusta. Obok znajduje się wielkie laboratoryum elektrotechniczne Abakanowicza, które nazwał Laboratoryum Volta. Pracuje w niem, pod przewodem osobnego dyrektora, cały zastęp elektrotechników. Biuro tego laboratoryum znajduje się w Paryżu, gdzie też Abakanowicz po kilka godzin dziennie spędza.

Chwile, spędzone w Parc St. Maur w gościnie u przyjaciela, zalicza autor *Hani* do najprzyjemniejszych.

— Blizkość Paryża pozwala oddychać atmosferą wielkiej kultury, a jednocześnie wystarcza mi nie wychylić się z Parc St. Maur, by rozkoszować się spokojem i ciszą wsi. Jest to wielka satysfakcya: rano pływać sobie czółnem po Marnie, lub chodzić po polu wśród śpiewu skowronków i ćwierkania wróbli, i czynić to w tej pewności, że wsiadłszy w pierwszy lepszy z przejeżdżających pociągów, a pociągów takich ma się dwadzieścia pięć na dzień, może się być za pół godziny w Paryżu, na Wielkich Bulwarach, w galeryach Louvre'u, albo na Polach Elizejskich, wieczór można spędzić w Operze lub w Komedyi francuskiej, słowem: doznawać wszelkich wrażeń artystycznych. A przytem ma się głowę swobodną, niema się żadnych posiedzeń, żadnych wizyt, żadnych listów do odpisywania, słowem: wszystkiego, co człowieka wciąż odrywa od pracy, a na co w Warszawie traci się tyle czasu. To też ile razy tylko mogę wyrwać się na jakiś czas do Abakanowicza, zawsze to czynię. Mało gdzie pisze mi się tak dobrze, jak u niego. Niemało też rzeczy pisałem pod jego gościnnym dachem. *Połanieckich* skończyłem w Parc St. Maur. Tam też pisałem znaczną część *Quo vadis* i *Krzyżaków*.

Co się tyczy dwóch ostatnich powieści, to pisał

je Sienkiewicz także i w Ploumanah w Bretanii, gdzie od kilku już lat spędza u Abakanowicza, w jego tamtejszej rezydencyi, połowę lata.

- Ploumanah leży w obrębie departamentu *Côtes du Nord*. Jest to szczera Bretania, gdzie na pejzaż składają się przeważnie nagie skały i morze. Ludność, czysto bretońska, celtycka, o śniadych, ogorzałych twarzach, nadzwyczaj pobożna, mieszka w kamiennych domach, a tak mało styka się z kulturą, iż mężczyźni jedynie, z powodu obowiązkowej służby wojskowej, głównie w marynarce, znają język francuski. Kobiety mówią tylko po bretońsku. Wprawdzie i pomiędzy mężczyznami zdarzają się tacy, ale należy ich szukać wśród starych. W Ploumanah znam jednego takiego, który nawet słowa nie mówi po francusku. Stary wilk morski, nadzwyczaj typowa postać, zupełny Celt z czasów rzymskich. Najmłodsze pokolenie, ponieważ szkoły są francuskie, już mówi dwoma językami. Willa Abakanowicza, wzniesiona na zakupionej przez niego od rządu francuskiego wyspie, jest zameczkiem w stylu bretońskim, z daleka robiącym wrażenie średniowiecznego kastelu. Zdobna okrągłą basztą o śpiczastym dachu w formie stożka, a zbudowana z kamieni, jest budynkiem masywnym bardzo, inaczej bowiem, jako wystawiona na szalone wichry morskie na wiosnę i jesienią, z pewnościąby się im nie ostała. Roślinności dookoła niema. Wszędzie tylko skały i morze.

Cały brzeg składa się z wielkich kamieni ruchomych, kształtem zbliżonych do grzybów, a osadzonych jedne na drugich, większe na mniejszych, na podobieństwo jajka w kieliszku. Urządzenie wewnętrzne willi tej jest oryginalne i ładne. Ze wszystkich pokojów najpiękniejszą jest sala jadalna o ścianach kamiennych z ogromnym kominem, tak wielkim, że w nim pięć osób pomieścić się może wygodnie. Jest to zupełnie sala z jakiegoś feudalnego zamku, z tą różnicą jedynie, że w niej nie zasiadają do stołu »w stal zakuci rycerze«, a gospodarzem nie jest żaden średniowieczny margraf, lecz zdolny elektrotechnik, który własną przedsiębiorczością dorobił się znacznego majątku. Mieszkając tam przez lato, Abakanowicz prowadzi dom otwarty, tak, iż bardzo często spędza się u niego wieczory w liczniejszem towarzystwie. Z Polaków goszczą u niego czasami Porębowicz, Gierymski, Hirszberg ze Lwowa, ale najwięcej bywa Francuzów i Anglików. Raz, pamiętam, bawiła tam młoda artystka z Paryża, harfistka, i to nie byle jaka, bo »premier prix« konserwatoryum paryskiego. Nie zapomnę jednego cudnego wieczoru księżycowego, który nam ta pani urozmaicała grą na swym złotym instrumencie. W wielkiej sali kamiennej dźwięki harfy czyniły wrażenie wielkich kropel deszczu, a tymczasem przez otwarte okna widziało się olbrzymią roztocz morską, zalaną błękitnem światłem miesięcznem.

Wszystko to, razem wzięte, składało się na jedyny w swoim rodzaju nastrój. Pozatem życie, jakie się tam pędzi, jest niezrównane jako *dolce far niente*. Rano, zaraz po śniadaniu, jedziemy najczęściej na morze; sama wyspa, na której stoi dom, jest w czasie przypływu nie większa od naszego Saskiego placu, a podczas odpływu bywa tak wielka, jak cała Warszawa. W czasie odpływu można się do niej z łatwością dostać piechotą (boso naturalnie), a podczas przypływu, w dzień wietrzny, wiosłowaliśmy raz, chcąc dobić do brzegu, trzy kwandranse przeszło, i niewiele brakło, abyśmy się byli potopili. Na zachodnim brzegu wyspy jest kawałek piaszczystej *Plage*, gdzie się kąpiemy w morzu; w innem miejscu założył Abakanowicz hodowlę ostryg; w małej zatoczce, nad którą wznosi się osada, ma swój jacht. Rankiem jeździmy na połów ryb i homarów, lub strzelamy do kormoranów. Po *lunchu*, gdy pogoda sprzyja, robi się wycieczki jachtem żaglowym, to do Siedmiu Wysp, to do latarni morskiej; jeździ się także na morze, słowem, nudzić się niema kiedy, a od rana do wieczora prowadzi się życie czerstwe, znakomity mające wpływ na zdrowie. Po umysłowem natężeniu jest to wymarzony odpoczynek. W mózgu pracują zupełnie inne komórki, te zaś, które funkcyonują, gdy się pisze, mają swoje wakacye. Nie znaczy to, bym w Ploumanah nie brał nigdy pióra do ręki; owszem piszę i tam zawsze

kilka godzin dziennie, mam zaś tam śliczną gobelinami ubraną pracownię na najwyższem piętrze wieży, z oknem, z którego nie widzę nic prócz nieba i morza. Tam pisałem szereg rozdziałów *Quo vadis* i *Krzyżaków*.

Znaczna jednak część tych powieści pisana była także i u stóp Giewontu, autor ich bowiem po lipcu spędzonym w Ploumanah u Abakanowicza (dokąd jeździ sam), na sierpień zjeżdża zwykle do Zakopanego, do willi państwa Zborowskich, którą stale już od lat szeregu z dziećmi i ich babką zajmuje. Do niedawna bywał tam również i teść jego, ale przed dwoma laty już go nie stało.

Bywając w Zakopanem stale od lat kilkunastu, zżył się z niem Sienkiewicz do tego stopnia, że dziś wyobrazić sobie nie można letniego sezonu u podnóża Tatr bez autora *Połanieckich*. Wśród wybitnych osobistości naszego świata naukowego, artystycznego i literackiego (Modrzejewska, Paderewski, Klaczko, Pochwalski, Witkiewicz, Wyczółkowski, Przybyszewski, Tetmajer, dr Baranowski, Chmielowski i w. i.), które corocznie spędzaniem lata w Zakopanem nadają mu jedyny w swoim rodzaju urok, należy także Sienkiewicz; jak w swoim czasie nie można sobie było wyobrazić Zakopanego bez Chałubińskiego, tak dziś posiada ono wtedy swój właściwy charakter, kiedy się na jego tle spotyka Sienkiewicza.

W pismach swych także sławi on niejedno-

krotnie ten uroczy zakątek naszej ziemi, to »letnie mieszkanie Polaków«, jak ktoś trafnie nazwał Zakopane. W *Potopie*, przejście Jana Kazimierza przez Tatry i pomoc, niesiona mu przez górali tatrzańskich, należy do najpiękniejszych kart tej wspaniałej epopei. W *Listach z Afryki*, a mianowicie zaraz w pierwszym, znalazło się kilkanaście słów o Zakopanem, (gdzie wtedy spędzały całą zimę dzieci Sienkiewicza), a słowa te świadczą, że nawet w Neapolu, wobec uroków zatoki Partenopejskiej, jeszcze można tęsknić do cichej wsi pod Giewontem. »Szczególnie poprzedni dzień — czytamy tam — był ciężki, tembardziej, że to była wilia. Siedząc owego wieczoru w sali hotelowej na Piazza Umberto, rozmyślałem o lesie Zakopiańskim, o jasno oświeconych oknach, o radosnych okrzykach dzieci na widok drzewka, i myślałem sobie, iż tego nie zastąpi ani Santa Lucia, ani przepyszny pióropusz Wezuwiusza, który kiedy niekiedy przebłyskiwał czerwono na ciemnem niebie«. W znanym wierszu o Polce, która, »gdy się Panu Bogu uda, to już, śmiało rzec można, klękajcie narody«, przyznaje się Sienkiewicz, iż myśl o Zakopanem nie opuszcza go nawet

w ojczyźnie gondoli,
Kędy toń srebrno-modrą kołyszą zefiry,

i że pod wpływem tej tęsknoty

mimowoli
Idę wtedy pod cichy most *dei Sospiri*.

Nadto jest Sienkiewicz autorem *Sabałowej bajki*, która sławę Zakopanego rozniosła wszędzie, kędy rozbrzmiewa mowa polska.

Skoro się wspomniało o starym Sabale, nie sposób nie zwrócić uwagi na oryginalny wpływ, jaki ten stary Homer góralski wywarł na autora *Krzyżaków*. Twierdzenie to zakrawa na paradoks, a jednak zaprzeczyć się nie da, że do języka tej powieści wprowadził Sienkiewicz ogromną liczbę wyrażeń góralskich, któreśmy wszyscy niejednokrotnie słyszeli z ust starego Sabały, a kiedy się czyta w *Krzyżakach* opowiadanie starego smolarza o bitwie pod Płowcami, każdy, kto znał Sabałę, odrazu przypomina sobie jego homerycki sposób opowiadania...

Kiedy myślę o Sienkiewiczu na tle Zakopanego, gdzie go od tylu lat widuję corocznie, mimowoli staje mi przed oczyma weranda restauracyi *Pod różą*, gdzie w r. 1889 po raz pierwszy byłem przez Ochorowicza w obecności Prusa i jego małżonki, autorowi *Tej trzeciej* przedstawiony. Snuło mu się wtedy po głowie *Bez dogmatu*, które też niebawem zaczął pisać w Zakopanem. Były to czasy największej sławy Bourget'a, którego *Uczeń* tyle hałasu narobił właśnie w Europie. O powieści tej wiele było mowy podczas obiadów u Kościeszy, na które także przychodził raz po raz i Sienkiewicz. Ochorowicz, wogóle będąc zwolennikiem talentu Bourget'a, w nadzwyczaj wymownych słowach pod-

kreślał brak w naszem piśmiennictwie powieści psychologicznej, przyczem ogromnie namawiał Sienkiewicza, by nam dał coś w tym rodzaju.

Nie chcę przypuszczać, by te rozmowy o autorze *Mensonges* i *Essays de psychologie contemporaine* wywarły tak przeważny wpływ na Sienkiewicza, ale zaprzeczyć się nie da, że w niespełna miesiąc potem zaczął pisać najznakomitszą powieść psychologiczną polską, dziennik Płoszowskiego. Co pewna, że *Ucznia* Bourgeta przeczytał Sienkiewicz wtedy w Zakopanem.

Był to ostatni rok życia Chałubińskiego, który już dogorywał w swej zakopiańskiej willi. Na krótko przed jego śmiercią, przyjechał mu osłodzić ostatnie chwile swą genialną grą Paderewski, a gdy w pierwszych dniach listopada sędziwy »Król tatrzański« spoczął na zakopiańskim cmentarzu, bawiący wówczas w Zakopanem Sienkiewicz napisał stamtąd do *Słowa* przepyszny feljeton o Chałubińskim, bezwarunkowo najpiękniejsze wspomnienie pośmiertne, jakiem zgon wielkiego lekarza uczczono. »W ostatnich czasach — pisał w niem Sienkiewicz między innemi — Chałubiński, sam już cierpiący i chory bez nadziei, zajmował się zawsze więcej cierpieniem innych, niż własnem. Miałem tego przykład jeszcze przed kilku miesiącami, gdy dzieci moje chorowały w Zakopanem. Chałubiński zapadł wówczas na zapalenie płuc, i tylko niesłychane wysiłki doktorów

Baranowskiego i Kruszyńskiego zdołały przywrócić go do życia, a raczej przedłużyć je na kilka miesięcy. Otóż, leżąc na łożu śmierci, składał jeszcze prawdziwe konsylium z tymi lekarzami nad chorobą mojego chłopca. I trudno mi pogodzić się z myślą, że to mieszkanie prawdziwego filozofa dobroczynnego, że ten dom w Zakopanem, otoczony lasem świerków, będzie stał odtąd pustką, że tam ten dobry i słodki mędrzec nie podniesie się już z uprzejmym uśmiechem na powitanie gościa, że przestało już bić to serce w ludziach rozkochane, ta dusza gorąca, która ciągnęła ku sobie inne dusze, jak magnes ciągnie żelazo. Czem Chałubiński był dla Zakopanego i górali, każdy wie, ale nie sądzę, aby było powszechnie wiadomem, że potrafił on być dobroczyńcą nietylko pojedyńczych ludzi, i że cała okolica zawdzięcza mu poprawę bytu. Jak Minerwa darowała niegdyś Ateńczykom drzewo oliwne, tak Chałubiński pierwszy sprowadził dla górali koniczynę i nauczył ich siać ją. W Chałubińskim, obok filantropa, mędrca i lekarza, siedział jeszcze poeta. Był poetą, zwłaszcza w górach. Miłość jego do tych ogromów, do tych samotni, do tych widnokręgów, które widać ze szczytów, a w których gubi się wzrok i dusza, wybiegała daleko poza granicę zwykłych podróżniczych upodobań! Nie! To było coś więcej: to, podług mnie, było jakieś mistyczne pokrewieństwo ducha z tem

otoczeniem, jakieś poczucie jednakiej organizacyi, to była tęsknota istoty wyższej do wyżyn. Ta szlachetna gorąca dusza przeczuwała przez te widnokręgi jeszcze wyższe ogromy, jeszcze bardziej niezmierzone widnokręgi, poza którymi przestaje istnieć natura, a poczyna istnieć poprostu: nieskończoność« [1]).

Kiedym w r. 1893 w pierwszych dniach lipca przyjechał do Zakopanego, zastałem tam już Sienkiewicza z całą rodziną. Mieszkał »w lesie« przy ulicy Zamojskiego, w willi Zborowskich, a każdego ranka, kiedym chodził do kąpieli w Jaszczurówce, spotykałem go na białym niewielkim siwku góralskim, powracającego z konnej przejażdżki. Po upływie kilku dni zaczęliśmy razem chodzić do Jaszczurówki, czemu zawdzięczałem, że przez sześć tygodni codzień miałem możność przebywania po kilka godzin w towarzystwie znakomitego pisarza. Ponieważ było to w rok niespełna po jego powrocie z »czarnego lądu«, więc opowiadał mnóstwo arcyciekawych przygód z tej swojej egzotycznej podróży, przygód myśliwskich głównie, na których szczegółowe opisanie w świeżo ukończonych wtedy *Listach z Afryki* nie było miejsca, a które, opowiadane przez Sienkiewicza z właściwą mu plastyką słowa, zupełnie przenosiły w podzwrotnikowe krainy palm i krokodylów.

---

[1]) Zob. *Słowo* z d. 9 listopada 1889 r.

Oczywiście, że i o literaturze mówiło się bardzo wiele, szczególnie o literaturze francuskiej, o Bourgecie i Zoli, którego *Debâcle* leżało pomiędzy książkami na stole w pokoju Sienkiewicza, a które, jak mi sam mówił, czytał więcej, niż raz jeden. Z powieści Bourgeta wyszło wtedy *Cosmopolis*. Dużośmy mówili o tym romansie. Sienkiewicz uważał go za najlepszą powieść autora *Ucznia*, a szczególnie podobała mu się atmosfera Rzymu, która, jego zdaniem, doskonale *wychodziła* z kartek tej książki. Bardzo dużo mówiło się także o współczesnej literaturze angielskiej, której Sienkiewicz bynajmniej nie lekceważy, jak to u nas jest modą obecnie; owszem, będąc *au courant* wszystkich główniejszych autorów literatury powieściowej angielskiej, podnosił rozmaitość i oryginalność fabuły w powieściach wybitniejszych pisarzów Albionu, egzotyzm tych powieści, ich artystyczną formę etc. Przytem opowiedział treść kilku angielskich powieści, która okazała się zachwycającą...

Zdaje się jednak, że sprawił to głównie przedziwny sposób opowiadania Sienkiewicza, który, streszczając utwór innego autora, tak go przepuszcza przez pryzmat swej wyobraźni, że ta sama rzecz, która przeczytana później, wcale nie czyni szczególnego wrażenia, opowiedziana przez niego, wydaje się prześliczną. Tak przynajmniej było z nowelą jednej z naszych drugorzędnych po-

wieściopisarek, która, gdy jej treść opowiedział Sienkiewicz, wydała mi się wprost znakomitą, i jako pomysł, i jako umiejętność stopniowania efektów; kiedy jednak sam ją przeczytałem w kilka miesięcy później, wydała mi się banalną, nieudolną, rozwlekłą i wcale nie tak zajmującą, jak wtedy, gdy ją w drodze do Jaszczurówki opowiadał autor odczytu *O powieści historycznej*[1]).

Było to wkrótce po słynnem porównaniu przez Brandèsa powieści historycznej do »prawdziwej kawy figowej«, przeciwko czemu Sienkiewicz, jako autor *Trylogii*, zaprotestował swym odczytem, w Warszawie i w Krakowie wygłoszonym. Stąd częste rozmowy na temat powieści historycznej i współczesnej. Choć była to chwila właśnie — lipiec roku 1893 — gdy zaczynał pisać *Rodzinę Połanieckich*, a więc powieść współczesną, mimo to wciąż powtarzał, że gdyby to od niego zależało, pisałby tylko powieści historyczne, że pisząc powieści współczesne, nie tak czuje się w swoim żywiole, jak kiedy odtwarza wielkie postacie dziejowe nie na miarę krawca, lecz Fidyasza. Bo czyż cała współczesność nie jest na miarę krawca? I żałował, że wbrew swemu wrodzonemu upodobaniu musiał po ukończeniu *Trylogii*, przerzucić się do współczesności, kiedy naprawdę nęciło go

---

[1]) Chodziło mianowicie o powieść Zofii Kowerskiej *Lew i mysz*, pierwotnie drukowaną w *Słowie*.

pisanie powieści historycznej z czasów Jagiełły, powieści, którąby się kończyła Grunwaldem, a dla której miał już tytuł gotowy: *Krzyżacy*[1]).

I opowiadał mnóstwo scen z tej odkładanej *ad feliciora tempora* powieści, scen, które już widział w swej wyobraźni, a które dopiero po upływie lat kilku, po napisaniu *Połanieckich* i *Quo vadis*, miał opisać w *Tygodniku Illustrowanym*... Tymczasem, w rozmowach, z wyraźną predylekcyą opowiadał o tej zamierzchłej epoce z przed bitwy pod Grunwaldem, o przewadze siły fizycznej ówczesnego rycerstwa polskiego nad siłą organizacyi i kultury ze strony krzyżackiej, siły, która odzianym w wilcze skóry Litwinom pozwalała zwyciężać zakute od stóp do głów w zbroje rycerstwo Zakonu, a która, połączona z odwagą, aż po dziś dzień w naszych Wojtkach i Bartkach imponuje różnym *kulturtregerom*. Do najciekawszych rozmów należały i te, w których Sienkiewicz rozwijał swe poglądy na kwestyę umysłowej kultury naszych literatów, artystów i uczonych, kiedy dowodził, że sam talent, nawet największy,

---

[1]) Jeśli musiał poniechać tego zamiaru, to jedynie ze względu na cenzurę warszawską, której ówczesny prezes, Jankulio, uprzedził go w sposób kategoryczny, iż odtąd (t. j. po *Panu Wołodyjowskim*) druk powieści historycznej z dziejów Polski nie będzie w Warszawie pozwolony. Opowiadał mi o tem, w obecności Prusa i Ochorowicza (w Zakopanem) sam Sienkiewicz.

nie wystarcza na stworzenie możliwie doskonałego dzieła sztuki, że dopiero, gdy idzie w parze z dużą kulturą umysłową, wydaje prawdziwie piękne utwory. Sam talent, to surowa ruda, która, choćby była najbogatszą w złoto, jednak nie może się równać z czystem złotem; otóż tym czynnikiem, który z talentu pozwala wytapiać czyste złoto, jest kultura: im więcej kultury, tem wytopione złoto jest czystsze.

Po powrocie z Jaszczurówki, o 11-ej mniej więcej, Sienkiewicz zabierał się do pracy, do pisania *Rodziny Połanieckich*, której początek zaczął się drukować w lipcowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej*. Bywając u Sienkiewicza niekiedy i w porze popołudniowej, niemało miałem sposobności, by widzieć jego warsztat literacki, którym był niewielki stoliczek pod oknem, a przy którym nieraz go się widywało, pracującego wieczorami przy świetle lampy. Wtedy też miałem możność naocznego przekonania się, że Sienkiewicz wcale nie pisze łatwo, że nim zapisze jedną kartkę — pisze na dużych ćwiartkach papieru formatu in 8-o — często ze dwie lub trzy drze przedtem i rzuca pod siebie, pod stół. Otóż, bywając u Sienkiewicza w porze, gdy świeżo powstawał od pracy, zawsze widziałem na podłodze, w pobliżu stolika, mnóstwo takich podartych kartek, do połowy zapisanych i pełnych poprawek i kreśleń.

Autor *Ogniem i mieczem* pisze nie bez mozołu,

a te godziny, które spędza przy biurku, nie należą dla niego do najprzyjemniejszych. Swoją drogą zawsze pracuje przynajmniej po cztery godziny dziennie, co w Zakopanem przypadało na porę pomiędzy 11-tą przed a 3-cią po południu. W tych godzinach, zamknięty w swym pokoju, był niewidzialny dla gości, w tych godzinach pracował. Że jednak praca ta nie zawsze równa się dla niego »rozkoszy tworzenia«, o tem świadczy jego dowcipne powiedzenie komuś, kto go się pytał, w jakich godzinach można przyjść do niego, żeby mu nie przeszkadzać. »Najłatwiej — odrzekł — zastać mnie między 10-tą a 2-gą, gdyż dałem sobie słowo, że będę pisał w tym czasie. Odwiedzając mię jednak o tej porze, sprawia mi pan największą przyjemność, bo będę miał pretekst przynajmniej, żeby nie pisać«. Ale trudność ta, tak dla piszącego przykra, bywa mu sowicie wynagradzana przez krytykę... zagraniczną, zwłaszcza angielską, która, zabierając głos o utworach Sienkiewicza, stale zdobywa się na najwyższe pochwały.

W roku 1893 w Zakopanem pokazywał mi Sienkiewicz krytyk takich, podpisanych najgłośniejszemi nazwiskami literackiemi Anglii, cały szereg. Były to krytyki, z powodu świeżo wydanego wtedy przekładu angielskiego *Bez dogmatu*. Jedna z nich, opublikowana w londyńskiem *Athenaeum*, utkwiła mi w pamięci. Autor jej — jeden

z najsubtelniejszych krytyków literackich z nad Tamizy — podkreślał wszechstronność talentu Sienkiewicza. »Zdając sprawę z jego trzech wielkich powieści historycznych, — pisał między innemi — podziwialiśmy intuicyę, z jaką odtwarzał duszę ludzi wieku XVII, a która sprawia, że czytając te rzeczy, ma się wrażenie, iż je pisał człowiek współczesny, że wszystko, co opisuje, widział własnemi oczyma. Dlatego też, podziwiając to genialne odtworzenie charakteru epoki, to nieporównane wniknięcie w jej ducha, przyznaliśmy Sienkiewiczowi, jako powieściopisarzowi, wyższość nad Walter Scottem, którego utwory zarówno pod tym względem, jak i pod względem literackiego artyzmu, stoją od tych polskich epopei o wiele niżej. Dziś, pisząc o Sienkiewiczu, jako o autorze powieści współczesnej psychologicznej, możemy go porównać chyba z jednym tylko Tołstojem, któremu dorównywa przenikliwością analizy psychologicznej, a którego przewyższa artyzmem. Z tego wynika, iż w obu uprawianych przez siebie rodzajach, i jako autor powieści historycznych, i jako obserwator życia współczesnego, dosięgnął szczytów mistrzowstwa«. Tak pisano o Sienkiewiczu w Anglii w r. 1893, gdy w nim jeszcze nie przeczuwano autora *Quo vadis*.

Pierwsi, którzy kilka ostatnich rozdziałów tej powieści, tak dziś w całym świecie cywilizowanym rozgłośnej, usłyszeć mieli sposobność, byli zako-

piańscy »letnicy« w roku 1894, co w rocznikach Zakopanego złotemi zgłoskami na marmurze zapisanem być powinno. Rzecz miała się tak. Chodziło o powiększenie funduszu na budowę kościoła w Zakopanem. Proboszcz tamtejszy, ksiądz Kaszelewski, człowiek przedsiębiorczy nadzwyczaj, wpadł na szczęśliwy pomysł skorzystania z pobytu Sienkiewicza, który wtedy pisał ostatni tom *Rodziny Połanieckich*, i proszenia go, by zechciał wygłosić odczyt »na kościół«. W tym celu zorganizował deputacyę górali i na jej czele udał się do willi Zborowskich. Sienkiewicz nie odmówił, a gdy oświadczył, iż za temat odczytu weźmie szereg scen ze swej następnej powieści z czasów Nerona, i gdy o tem stugębna wieść rozeszła się po Zakopanem, jeszcze nie zdążono rozlepić afiszów, zapowiadających ów odczyt w sali Dworca Tatrzańskiego, a już nie było ani jednego biletu. Rozchwytano je w mig, a że »naddatki były przyjmowane z wdzięcznością«, więc dochód przeszedł wszelkie najśmielsze oczekiwania. W oznaczony dzień, o godzinie 8-ej wieczorem, sala Dworca Tatrzańskiego, ozdobnie przybrana girlandami zieleni, zapełniła się samym kwiatem publiczności, a gdy na katedrze, ustawionej na przodzie małej scenki, ukazał się autor *Ogniem i mieczem*, blady i wzruszony, nim się uciszyły grzmiące oklaski, upłynęła długa chwila. W końcu, wśród grobowej ciszy, zaczął czytać. Zaczął od opisu wspa-

niałej świty, z jaką Neron wyjeżdżał z Rzymu; następnie dał wrażenie owej pamiętnej chwili, w której Neron spotkał się ze spojrzeniem stojącego w tłumie św. Piotra; z kolei, w szeregu wspaniałych obrazów, ukazał pożar Rzymu, z Neronem rozkoszującym się tym strasznym widokiem; aż w końcu, po dramatycznej scenie na dworze cezara, scenie, w której podpalenie Rzymu uchwalono zwalić na chrześcijan, roztoczył szereg wstrząsających scen cyrkowych z »żywemi pochodniami Nerona«, z tłumami męczenników, szarpanych przez dzikie zwierzęta, i z cezarem, przypatrującym się wszystkiemu z loży przez swój historyczny szmaragd.

Gdy był zajęty pisaniem tego odczytu, przyczem, podczas wspólnych spacerów, dużo mi opowiadał o swojej przyszłej powieści, do której *L'Antichrist* [1]) i *Saint Paul* Renana wiele mu dostarczyły materyału do pomysłów (zwłaszcza pierwsze z tych dzieł), zwróciłem mu uwagę na wydrukowany niedawno artykuł Kazimierza Morawskiego p. t. *Petroniusz Arbiter i romans w starożytności*, który to artykuł, choć się ukazał w majowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej*, gdzie jednocześnie wychodziła *Rodzina Połanieckich*.

---

[1]) Szujskiego *Profil historyczny Nerona* poznał Sienkiewicz dopiero na krótko przed rozpoczęciem *Quo vadis*, jak to wiem od niego samego.

jakoś uszedł jego baczności. Ponieważ przypadkiem zeszyt ten miałem z sobą w Zakopanem, a Sienkiewicz wyraził gotowość przeczytania tej rozprawy swego krakowskiego przyjaciela, więc mu zaniosłem ją tego samego jeszcze dnia. Gdyśmy się spotkali nazajutrz, bardzo mi dziękował za wskazanie mu tego studyum, uważał bowiem, że tak pojęty Petroniusz, jak go przedstawił Morawski, jest »znakomitą figurą powieściową«, której też nie omieszka wprowadzić do swej rzymskiej powieści...

W rok później *Quo vadis* wychodziło już w *Gazecie Polskiej*, a bawiący przez lato w Zakopanem Sienkiewicz, mając tu z sobą całą bibliotekę dzieł angielskich, francuskich, niemieckich i... łacińskich, traktujących o Rzymie za czasów Nerona, nie ustawał w pisaniu.

Pozatem bywał codziennie, pomiędzy 10-tą a 12-tą w południe, w *Cukierni zakopiańskiej*, gdzie — zawsze przy tym samym okrągłym stoliku, w rogu słynnej werendy — stale gromadziło się o tej porze kółko literatów i malarzy. Z pomiędzy uczestników tych »renesansowych siest« (bo czasami brały w nich udział i panie) wymienić należy Pochwalskiego, Wyczółkowskiego, Tetmajera, Porębowicza, Axentowicza, Choińskiego, Witkiewicza (choć ten bywał rzadko), prof. Natansona, prof. Kostaneckiego, Rydla, Mehoffera, Estreichera, p. Ludwika Michałowskiego, Karola Pot-

kańskiego, Krechowieckiego, oraz wielu innych. W takiem doborowem kółku, przy herbacie i »przewrotnej« kawie, gawędziło się *de omnibus rebus*, głównie o sztuce i literaturze, Böcklinie i Botticellim, o Anatolu France i d'Annunziu, o Tołstoju i Ruskinie, o dekadentach francuskich i angielskich prerafaelitach, a także o polowaniach, co jest ulubionym tematem Sienkiewicza.

Siesty te, w których rola przewodniczącego zawsze przypadała Sienkiewiczowi — bo choć nie z wieku, to jednak z urzędu zaszczyt mu się ten słusznie należał — tak okazały się miłemi, tak na nich przyjemnie czas schodził, iż odtąd powtarzają się stale co rok, zawsze przy tym samym stoliku, który nawet słynie już w cukierni zakopiańskiej jako »stolik Sienkiewicza«.

W kilka lat później, gdy w Zakopanem powstała nowa ulica, łącząca Przecznicę ze Starą Polaną, ulicę tę, na pamiątkę częstych pobytów autora *Krzyżaków* u stóp Giewontu, nazwano »Ulicą Sienkiewicza«.

Warszawa, w styczniu 1900 r.

HEKTOR
SIENKIEWICZA A WYSPIAŃSKIEGO.

Nie upłynął tydzień od ukazania się w *Tygodniku illustrowanym* mojego artykułu o Sienkiewiczu [1]) i jego projektowanej tragedyi o Hektorze, kiedym otrzymał z Krakowa obszerny list od Stanisława Wyspiańskiego, dowodzący, że mój dawny kolega uniwersytecki, sprawę tak oryginalnie pojętego Hektora bardzo wziął sobie do serca; a że jako autor *Protesilasa i Laodamii* na bohaterskiego obrońcę Troi zapatrywał się całkiem inaczej, aniżeli twórca *Quo vadis*, więc poglądowi swemu, choć w liście prywatnym, zapragnął dać zupełnie szczery i niekrępowany wyraz.

List ten, lubo nie przeznaczony do druku, należy niewątpliwie do najbardziej znamiennych wynurzeń autora *Wyzwolenia*, a tem samem zasługuje na poznanie go w całej rozciągłości, bez żadnych opuszczeń; jako dokument bowiem, całkiem pierwszorzędnej wagi, rzuca on niezmiernie charakterystyczne światło na stosunek dwóch najsławniejszych w owej chwili w Polsce pisarzy,

---

[1]) Artykuł ten wyszedł w Nr. 10 i 11 *Tyg. Illustr.* z d. 10 i 17 marca 1900 r.

stosunek, w którym przedewszystkiem zaznaczały się ich uderzające kontrasty.

List rzeczony, podany tu *in extenso* po raz pierwszy, brzmiał, jak następuje:

Kraków, 22-go marca 1900.

Kochany Panie!

Wyczytałem w *Tygodniku illustrowanym*, i to w numerze poświęconym Henrykowi Sienkiewiczowi, wzmiankę w pańskim artykule mnie obchodzącą.

Niezmiernie się czuję zaszczyconym uwagą, że nadawałbym się do napisania rzeczy dobrej, i niewątpliwie, że jestem za tę wzmiankę bardzo Kochanemu Panu wdzięczny.

Ale jeszcze więcej zainteresował mnie sam temat, z którego też, ile że mnie mógłby być ustąpiony, zamierzam właśnie zdać sprawę.

Cóż piękniejszego dla lubowników świata starożytnego, jak świetna wielkością wojna pod Troją. I nie sądzę wcale, aby wracanie do opisanych już tematów miało być przeżuwaniem podjętem dlatego, że się wśród znanych komnat łatwiej zachować i obracać; ale sądzę właśnie przeciwnie, że wiele jeszcze, bardzo wiele my dzisiaj mielibyśmy do powiedzenia nowego

w tych pozornie już ze wszystkiem zużytych tematach.

Odkrycia te świeże, niedawne naukowe, i te, które się ustawnie dalej ciągną i coraz coś tajemniczego odsłaniają, pozwalałyby dusze te starożytnych Herosów widzieć bliższe nam niejednokrotnie. Jednak właśnie nie tak, jak to jest przedstawione, a raczej zaznaczone w projekcie, w pomyśle Sienkiewicza.

Pomysł Sienkiewicza z wyrzuceniem wszystkich nazwisk, a notabene z podstawieniem natomiast innych jest i dramatyczny, i piękny.

Ale jeśli się ma odnosić do Troi i do Hektora, to jest niewłaściwy i poniekąd nietaktowny.

Bo nie można mianowicie bohaterowi tej miary, co Hektor, najszczytniejszych jego wzniosłości odbierać i na jego szyszaku stawiać widmo Rozpaczy, w imię którego miałby walczyć. To nie Hektor. Hektor był wyższy nad uczucie pragnienia Heleny. Miał żonę, którą kochał, i dziecko-syna, które kochał nadewszystko. I nie było dla tego serca wielkiego miłości innych, krom miłości syna, żony, rodziny swojej, miasta swego rodzinnego, ojczyzny. Za nie wszystkie walczył, tych bronił, dla nich padł... A o Helenie wcale nie myślał, ani o Helenie nawet dobrze pamiętał. Sądzę, że nawet w gruncie rzeczy nie ją za powód wyprawy Greków uważał, ale za pretekst. Zresztą, czy powód czy

pretekst, inna sprawa. Mnie chodzi przedewszystkiem o obronę pamięci Hektora, któremu chcą takie małostki przypisać. Pojęcia etyczne w Trojej były inne, niż u Achajów.

W Trojej walczyły ze sobą dwa pojęcia i dwie cywilizacje. Jedna, której właśnie wyobrażeniem był tenże Hektor, która stała moralnie wysoko i była więcej surową; druga, która żyła rozwiąźlej i której wyrazem przedewszystkiem Parys.

Godził te dwie strony, dwa te sposoby życia, Pryam sam.

Podobne stosunki były na Litwie, gdzie Kiejstut, Witold, Jagiełło w podobną zaszli tragedyę, jak ta tragedya trojańska.

Ale też tu surowość i etyczność, ogromnie rozwiniętą cywilizacyą poparta, nie krępowała w niczem Hektora, owszem, była jego duszy pięknem i ukochaniem i nie ciężyła mu w niczem, ani go więziła.

Tego, co mówią starzy o Helenie, nie można brać bardzo seryo; jest to poniekąd zdanie samegoż poety, który tej drogi użył, aby Helenę z boginią porównać; a zresztą starzy owi, to nic innego tylko *c h ó r*, ten chór wszystkowiedzący, galerya, świadkowie zdarzeń i opinia, zwykle jak zawsze wygłaszana po niewczasie. Nie brali ci starzy żadnego udziału w sprawach decydujących; nie powoływano ich do rady

wojennej, do rządów, do wypowiadania swego zdania, bo do tego powoływano ludzi czynu.

Boć i Parys nie był niewieściuchem zupełnym, choć w porównaniu ze szczytnym Hektorem nieraz mógł z pozoru na niewieściucha wyglądać, i może nawet zawiele w przesadę wpadł nieraz Homer czy Homerowscy poeci, zbyt akcentując wygodność i wczasowanie się Parysa... I Parys się bił, walczył i ostatecznie w walce padł.

Nie wielką też jest prawdą mowa o zblazowaniu braci Hektorowych, a Pryamowych synów. Cywilizacya Trojańska, starsza i wyższa od Achajskiej, była więcej piękna i doskonalsza i nawet już wiele faz swego rozwoju przeszła; ale nie może być mowy o jakiemś zblazowaniu, o jakiemś rozmiłowaniu się w pojedynczych sztukach bezmyślnie. Owszem, sądzę, że sztuka nie wyklucza męstwa, ani dzielności, i że owszem, była sztuka w Troi, i stała na swój sposób wysoko, ale się nią zajmował kto inny, a nie Pryamowice. Był to właśnie czas aoidów, pieśniarzy, guślarzy, wróżów, którzy się około świątyń i kapłanów (kasty) skupiali (dowód ten, że Wenus, chcąc skusić Helenę, raz jeszcze ku Parysowi za starą znachorkę się przeistacza; czyli odrzucić Wenus, przychodzi do Heleny stara znachorka).

Że aoidowie zaś, to jest ci pieśniarze, do-

piero po rozegraniu się walki trojańskiej do większego znaczenia przyśli, to znów skądinąd widoczne. Inną też rolę, owszem pierwszorzędną odgrywają w *Odyssei*. Już się więc pokazało, jak mogą podniośle na umysły działać: *pieśnią* i to *pieśnią bohaterską*.

Byli więc bracia Hektora bohaterami wszyscy, a to, że padli i że zginęli od oręża, nie dowodzi, że na to zasłużyli, aby ulegli w walce z Achajami. Owszem, barbarzyńcy zwyciężyli przewagą bohaterów, dzicy zwyciężyli siłą cywilizowanych i wyższych wykształceniem od siebie, a wszyscy Achajowie, to brutale i grabieżcy, łupieżniki, chciwcy zdobyczy i silni.

I dopiero potrzeba było śmierci Patroklesa, aby się Achilles zbudził z obrażonej próżności; i dopiero potrzeba, aby się unurzał w krwi Hektora i widział oczyma swemi wielką szlachetną arcyboleść Pryama, aby sam duszą ocknięty przejrzał nagle i wzniósł się duchem do tych wyżyn, z których się już nie schodzi, bo się jest bogom w równości. To wyrzeczenie się wszystkiego d o b r a ziemskiego, to uduchowienie, to bohaterstwo duszy, ta wielkość wielkości, to Achilles na pogrzebie Patroklesa i tej nocy, gdy u siebie przyjmuje Pryama.

Do tego bowiem wiodę, że za Troję i za jej upadek był odpowiedzialny Pryam.

Pryam pochwalał postępek Parysa. Parys

królewic, cokolwiek czynił, musieli wszyscy to przyjąć, bo jakżeż można było inaczej. Sądzę, że Parys tutaj naśladował poniekąd swego ojca i że Pryam niegdyś też jakąś niewiastę z Grecyi uprowadził, a jeśli nie Pryam, to może ktoś przed Pryamem jeszcze; i w ten sposób czyn Parysa, będący dla nich niejako przypomnieniem dawnego podobnego jakiegoś bohatyrskiego czynu, nie mógł być traktowany jako kaprys jednostki, książątka, ale mógł właśnie być uosobieniem dumy i marzeń narodowych w tymże książątku. I zdaje mi się, że ku ogólnej radości i uciesze, Parys Helenę porwał i porwaną do Troi wprowadzał... a jedna tylko Kassandra, ptak złowieszczy, widzi, czego inni nie widzą, to jest ruiny Troi, płomienie, rzeź i zagładę.

A przecież nikt nie doradza oddać Heleny, bo to byłoby hańbą, bo sprowadzenie Heleny, było dumą narodową; i za taką to dumę narodową, za to, że Parys przypomniał postępek i czyn o j c a, mógł się bić i bił się Hektor.

Hektor więc był tragiczny i w tym rozumieniu mojem, bo wyznając inne surowsze etyczne przekonania i według nich postępując i w nie wierząc, walczył za *legendę*, że do bohaterskich Trojan należy porywać kobiety z pałaców królików Achajskich. Pryam widział w Parysie siebie młodego i cieszył się Parysem

i Heleną i z Pryamem cieszyli się wszyscy patryoci trojańscy. Że zaś etyka w Troi była surowsza, więc pewno nikt nie zapragnął nawet Heleny, gdy ją już raz posiadł Parys. Owszem, sądzę, że Parys z nią w pewnej musiał żyć separacyi i że to, że była cudzą żoną, musiało być źle widziane nieraz, zwłaszcza przez partyę, która chciała państwo odrodzić surowością obyczajów, a której właśnie wyobrażeniem był Hektor i jego rodzina.

Mógłbym jeszcze wiele mówić o tem, co było pod Troją i w okolicach Skamandru, bo nas winny te postaci tem więcej obchodzić, że już raz ich cienie zjawiły się u początku naszego dramatu, że już raz przesunął je po deskach u nas Kochanowski. Ale ten jedną tylko rozumiał Kassandrę. I doprawdy dziwno jest u niego czytać te, co ona mówi, słowa.

Wprawdzie w pomyśle Sienkiewicza właśnie wszystko ma polegać na tajemnicy, tak, że rozumiem doskonale, iżby niemal jednem słowem nie mógł i nie chciał wyrzec tego Hektor, co głęboko w nim nurtuje i więzgnie, i że właśnie dyskretnie bardzo należałoby takie uczucie traktować. Ale jestem właśnie przeciwny, aby mógł był Hektor żyć w takiej sprzeczności ze sobą, i to dla kogo, dla Heleny, dla kobiety! kto? on? co kochał syna i był szczęśliwy po męsku, tym synem swoim! Onże miał oczy

wodzić za Heleną, która w jego oczach stała bardzo nizko i była rzeczą, sprzętem, której się o nic nie pytano. Były to czasy, gdzie, gdy kobiety kto zapragnął, to ją zdobywał i brał przemocą drugiemu, a potem zamykał u siebie tę zdobycz, ale nigdy czarowi nie ulegał.

Uleganie czarowi kobiety, to są czasy Aryosta, przeniesione do dziejów Hektora, to są czasy Tassa, to jest Tankred, to jest Roger, te dwa dalekie echa *Iliady*.

Takich kobiet, ani takich bohatyrów niema w *Iliadzie*, takimi też oni nie byli, ci z pod Troi. I nie można ich posądzać o małostki, którym ulegał chętnie Roger i Tankred, ich epigonowie. Rozumiem też, że jeden rumieniec na twarzy Hektora, wywołany czyimś słowem nieopatrznem lub podejrzliwem albo obraźliwem, i gwałtowne zabicie takiego bezczelnika mogłoby rzucić wobec całej Troi na Hektora podejrzenie, że jeżeli się tak naraz, tej chwili gwałtownie mścił na tym człowieku, który jego najskrytszą tajemnicę umiał odgadnąć — to się w Helenie kocha! i ta obraza jest prawdą.

I potem już z tego dalsze losy i dzieje, bez jednego słowa, pożegnanie smutne i beznadziejne. Rozpacz skryta i tegoż dnia walka z Achillesem i śmierć.

Ale to właśnie, utrzymuję, że jest niemo-

żebne dla Hektora, że właśnie ta myśl nigdy nie pożyła w Hektorze!

Taki Hektor, odkryty, zdemaskowany, nie byłby już zniósł widoku żony i dziecka, którym tak długo kłamał i którzy teraz o tem wiedzą lub dowiedzą się za chwilę, bo teraz on sam ma to już na czole wyryte obelgą. Ale taki Hektor poleciałby tak samo nagle i gwałtownie na pole walki i sam Achillesa szukał i z nim rozprawy, i taki byłby może zwyciężył. Bo bogowie tym, co zrozpaczeni, szczęście dają chętnie, bo takim już szczęście jest niczem.

Ale tu przerwać muszę, bo to jest pole przypuszczeń bezowocnych, które tylko wykazać mają, że tak Hektora pojmować nie można nigdy.

Ale że można tak pojmować jakiegoś innego bohatera: niechże będzie święta pamięć Hektora takiego, jakim był i jakim go zresztą Homer przedstawia i jaki jest logiczny ze swojem otoczeniem, pojęciami, czasem, epoką, stanem.

Miłość dla kobiety-Wenus nie jest jemu jedynym motorem działań męskiej duszy, i są właśnie tacy wielcy, wyżsi bohaterowie, jak Hektor, do których ona niema przystępu, aby im umysł i duszę truła i z drogi prostoty i szczęścia boskiego sprowadzała.

Ale temat, gdyby się odnosił do kogo innego, do jakiegoś innego rycerza, w innych żyjącego czasach — dałby się oczywiście zużyć i ogromnie wyzyskać, bo jest zresztą bardzo skądinąd piękny i dramatyczny. Ale to już powinienby zająć się nim sam autor, więc Sienkiewicz; bo także jest słuszna, aby swój pomysł wychowywał każdy sam, i tylko w tym razie rezultat może być dobry i potrzebny, jak to zresztą Kochany Pan w tymże *Tygodniku illustrowanym* zaznaczył i sam powiedział.

Do czegóż zresztą są podobni poeci, którzy własnych tematów nie mają i tylko z założonemi rękoma siedzą na lutniach oparci, ku strunom pochyleni, i jeno brzęczą, a nie grają.

Do miłego widzenia się z Kochanym Panem

Stanisław Wyspiański.

W niespełna trzy lata po skreśleniu tego w obronie Hektora listu napisał Wyspiański *Achilleis*, w których to »scenach dramatycznych« na tle wojny pod murami Troi w przedstawieniu jej bohaterów poszedł raczej śladami *Troilusa i Kressydy*, aniżeli epopei homeryckich. Najgorzej na tej »rewizyi Iliady« — jak się wyraził o dramacie tym Sinko — wyszedł Hektor, który w danym wypadku wcale nie jest tak szlachetnie, wzniośle

i idealistycznie pojętym bohaterem tragicznym, »walczącym za legendę«, jak w niedawnej polemice z Sienkiewiczem; a jeśli, zdaniem Wyspiańskiego, taki pomysł autora *Krzyżaków*, przedstawiający Hektora skrycie kochającego się w Helenie, był »niewłaściwym i poniekąd nietaktownym«, to cóż dopiero powiedzieć o takiej koncepcyi Hektora, jak w *Achilleidzie*, gdzie Hektor zazdrości Parysowi królowania dzięki łaskom Afrodyty, gdzie Hektor poprostu nienawidzi Parysa dziko i zaciekle, gdzie obaj bracia, w zażartej kłótni, rzucają się na siebie z nożami i dopiero Pryam ich rozdziela.

Pisząc w roku 1903 swą ponurą i złośliwą, a jakimś mętnym mistycyzmem owianą *Achilleis*, Wyspiański wcale nie liczył się z tem, co w r. 1900, przeciwstawiając swoje wyobrażenie o Hektorze pomysłowi Sienkiewicza, pisał o wyższości cywilizacyjnej Trojan nad Grekami; w *Achilleidzie* bowiem Hektor i Parys, i inni synowie Pryama, wcale nie robią wrażenia przedstawicieli »dwóch cywilizacyi, jednej wysokiej, której wyrazicielem był Hektor, drugiej, która żyła rozwięźlej, której wyrazem był Parys«, lecz są takimi samymi, jak Achilles, Dyomedes i Ulisses, »brutalami i grabieżnikami«, »chciwymi zdobyczy i silnymi barbarzyńcami«, działającymi impulsywnie, bez najmniejszego opanowania pierwotnych instynktów przez kulturę.

Zestawiając te dwie koncepcye Wyspiańskiego o Hektorze, trudno nie być zdziwionym tą szczególną metamorfozą, tak dla szlachetnego męża Andromaki niekorzystną, i mimowoli szuka się przyczyny, która spowodowała taką przykrą zmianę.

Zdaje się, iż szukać jej należy przedewszystkiem w coraz bardziej posępniejącej duszy chorego nieuleczalnie poety.

*

* *

List Wyspiańskiego, wywołany pomysłem Sienkiewicza, jest podwójnie interesujący, bo nietylko daje poznać dosłownie, co autor *Protesilasa i Laodamii* myślał w pewnej chwili o Hektorze, ale nadto pozwala się domyślać, jak mało Wyspiański był skłonnym do bezkrytycznego uwielbienia w stosunku do twórcy *Quo vadis*... Że i Sienkiewicz, gdy chodziło o twórczość Wyspiańskiego, nie unosił się zachwytem, tego dał wcale niedwuznaczny dowód w swej przedmowie do poezyi Konopnickiej, gdzie, zcharakteryzowawszy — dość ujemnie naogół — całą t. z. *Młodą Polskę*, szczególniej Przybyszewskiego i Wyspiańskiego potraktował nie bez ironii. Oto jego sąd o tej poezyi naszych »młodych« w stosunku do poezyi Konopnickiej, »przez którą wypowiada się ziemia i lud, który ją zamieszkuje«.

»Zaiste, wzniosłe zadanie poety! A w ostatnich czasach nasi pieśniarze przyzwyczaili nas do czego innego. Niektórzy wystawiali na pokaz swoje nagie dusze[1]), których nie byliśmy ciekawi, każąc nam je podziwiać, niby jako pustynie, tratowane przez dzikie i wyuzdane tabuny instynktów; ale nie było w tem ani szczerości, ani siły. Dusze były wprawdzie dość puste, lecz nie rozległe, a natomiast dzikie rzekomo tabuny podobniejsze były do robactwa, mrowiącego się w nawozie, niż do rozkiełznanych rumaków. Inni analizowali starannie swoje myśli i uczucia, swój stosunek do świata, swe zwątpienia, swe nastroje, swe wyprawy w krainę piękna, w świat refleksyi lub marzeń, i tworzyli liryki częstokroć bardzo misterne, często przyodziane w formę tak wykwintną, że aż przeważającą nad treścią, więc nieco puste. »Szumny lot olbrzymich ptaków« przeszedł do wspomnień. Po większej części nie było tam nietylko szumnego, ale żadnego lotu. *Artifex* zdawał się znakomity; *Vates* ustąpił z oblicza literatury. I z tej drobiazgowości analizy, z tych miniaturowych sposobów malowania, ze zbyt starannego doboru słów, jak kamieni do mozaiki, z tego kolekcyonerstwa podobnych do cacek uczuć, myśli i wrażeń, wiało coś chłodnego i starczego. Nade-

---

[1]) Jest to nader przejrzysta aluzya do Przybyszewskiego.

wszystko zaś był niezmierny egotyzm, który poniekąd także jest cechą starości, albowiem młodość rzadziej zajmuje się światem zewnętrznym, niż własnemi dolegliwościami. W znacznej części taką była nowa poezya ostatnich lat, *prócz tej, jeszcze nowszej, która w pogoni za jakiemś pralechickiem samobytnictwem rozsadziła i popsuła wyrobioną przez wieki uprawy formę, a spękane naczynie napełniła treścią tak mętną, że nikt nie może zrozumieć, o co chodzi.«*

Że tu Sienkiewicz przez tę tak ujemnie scharakteryzowaną »jeszcze nowszą« poezyę miał twórczość Wyspiańskiego na myśli, to dla każdego, umiejącego czytać między wierszami, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

RÓD SIENKIEWICZA
I
WOLA OKRZEJSKA.

Szkic ten, drukowany w warszawskim *Wędrowcu* w r. 1901, czytał Sienkiewicz w rękopisie, poczynił w nim stosowne poprawki i uzupełnił go w kilku miejscach własnoręcznymi dopiskami.

W swoim bardzo sławnym niegdyś i czytanym przez całą szlachtę XVII wieku *Vir consilii*, w rozdziale o pochwałach mężów zasłużonych, powiada Andrzej Maksymilian Fredro, że chwalić ich trzeba z tego: 1) jakimi byli *przed urodzeniem*, 2) jakimi za życia i 3) jakimi po śmierci. Nie wchodząc już bliżej w rozbiór trzeciego z tych punktów, jest się zaciekawionym wielce, w jaki też sposób rozwiąże autor oryginalne zadanie, zawarte w pierwszym punkcie? Bo chwalić kogoś z tego, *czem był przed urodzeniem*, sztuka to nielada. Jakżeż to rozsądnie można pomyśleć lub zrobić? Niema w tem nic tak szczególnego, jakby się zdawać mogło na pozór, a wystarcza przeczytać kilka kartek wspomnianej książki autora *Przysłów*, by skarby tych dla zwykłego umysłu niedostępnych tajemnic — jak dowcipnie powiada Tarnowski — przestały być dla nas niedostępnemi. Chcąc tedy mówić o czasach przed urodzeniem tego, którego się ma chwalić, uwzględnić trzeba, według Fredry, trzy rzeczy: 1) Kraj, prowincyę lub miasto, gdzie się urodził: 2) *przodków, rodziców, sławnych krewnych i powinowatych obojga rodziców i ich zasługi*, oraz 3) czy przed jego przyjściem na świat

nie było jakich o nim wróżb, snów, przepowiedni, rokujących przyszłą jego sławę i wielkość. Cóż się z tego okazuje? Oto, że jeśli się pominie owe wróżby, sny i przepowiednie, których człowiek XIX w. nie może traktować na seryo, to pozatem nie jest to wcale metoda tak komiczna, za jaką się ją miało w pierwszej chwili, i że wszyscy biografowie ludzi sławnych trzymają się jej aż po dziś dzień. Bo czyż wszystkie pierwsze rozdziały »żywotów« Dantego, Goethego, Napoleona, Mickiewicza, Byrona i tylu innych znakomitych mężów, nie rozwodzą się o krajach, prowincyach lub miastach, gdzie który z nich się urodził i wychowywał, o ich przodkach, rodzicach, sławnych krewnych i powinowatych? Nie brak nawet i takich, w których jest mowa i o wróżbach, snach i przepowiedniach, zapowiadających sławę i wielkość bohatera książki.

Wobec tego, niechaj i w tym szkicu o twórcy *Krzyżaków* znajdzie się dla oryginalności wiązanka szczegółów i wiadomości, odnoszących się do czasów... przed jego urodzeniem.

A najprzód słów kilka o przodkach i sławnych krewnych, rozpoczynając ich dostojny poczet od przodków po kądzieli.

Pierwszym rodu tego protoplastą, jest Dominik Cieciszowski [1]), herbu Roch czyli Kolumna, syn

---

[1]) Z historycznemi postaciami Cieciszowskich spotykamy się już w epoce Władysława IV. W pierwszej

Adama, Kasztelana Liwskiego. Ożeniony z Sufczyńską, córką Kazimierza, kasztelana Lubelskiego i Heleny Kuleszanki, córki podkanclerzego Litewskiego, miał czworo dzieci, jedną córkę, Antoninę, ur. 1739 roku, i trzech synów: 1) Ignacego, ur. 1741 r., podkomorzego Liwskiego, 2) Adama, ur. 1743 r., pisarza Wielkiego Koronnego, 3) Kazimierza Kacpra, ur. 1745 r. głośnego biskupa Łuckiego i Żytomirskiego i metropolitę Mohylowskiego. Antonina Cieciszowska wyszła w r. 1754 za Franciszka Szeluttę, Cześnika ziemi Rzeczyckiej, z którym miała troje dzieci, syna i dwie córki. Najstarsza z nich, Ewa Szelucianka, ur. w r. 1764 wyszła w r. 1784 za Karola Lelewela, kapitana gwardyi pieszej koronnej.

Karol Lelewel należał do znanej rodziny Lölhöffel de Loewensprung, wywodzącej się z Prus Zachodnich, ze starożytnej litewskiej Kłajpedy.

połowie XVII wieku Bartłomiej Cieciszowski, z proboszcza w Kownie został kanonikiem wileńskim, Stanisław zaś, z Gojsca, herbu Roch, podkomorzy liwski, posłował w r. 1647 na sejm, z którego był wyznaczony do rewizyi ksiąg litewskich. W r. 1648 posłował na sejm konwokacyjny, na sejmie zaś koronacyjnym tegoż r. 1648 został kasztelanem kijowskim i z tym tytułem podpisał przysięgę i potwierdzenie praw Jana Kazimierza. Sejm roku 1661 mianował go na komisarza do rozgraniczenia Kamieńca Mazowieckiego od dóbr królewskich i szlacheckich. Umarł r. 1663.

Ojciec jego, Henryk Lölhöffel, lekarz nadworny królewski za Augusta III i Stanisława Augusta, urodził się 27 paźdz. 1703 roku, a po ukończeniu w r. 1728 Akademii Wileńskiej z tytułem magistra sztuk wyzwolonych i filozofii, w r. 1730 wstąpił do kolegium medyczno-chirurgicznego. W roku 1732 zdobył sobie w Lejdzie tytuł doktora medycyny; jako taki studyował jeszcze nauki lekarskie przez lat kilka w uniwersytecie królewieckim, aż wreszcie około roku 1740 przybył do Warszawy, powołany tu na posadę lekarza nadwornego. W lat parę po osiedleniu się tutaj, poślubił Konstancyę Jauch'ównę, jedyną córkę Joachima Daniela Jaucha, saskiego jenerała artyleryi, za panowania Augusta II osiadłego w Polsce, gdzie niebawem przeszedł do służby wojskowej polskiej. Wyznania protestanckiego, ożeniony z Ewą z Münichów, jenerał Joachim Daniel Jauch, piastował także urząd przełożonego nad budowlami publicznemi, a jako taki, wzięty na dworze królewskim, był człowiekiem »wielce zamożnym«. Zięć jego, Karol Lölhöffel, urodzony w Warszawie, pierwsze nauki pobierał u ks. Teatynów [1]), poczem od r. 1765 do 1768 studyował prawo w Getyndze. W tymże czasie, na sejmie extraordynaryjnym 1768 r. nadano indygenat i rodzinie Henryka Lelewela. Coprawda, to mógłby on, prócz szlache-

[1]) Zakon włoski osiadły w Polsce.

ctwa, dostać także i starostwo, bo szczęśliwy w pożyciu z żoną spłodził z nią aż 13-ro dzieci. Niestety, tylko troje z nich dożyło wieku dojrzałego: 1) najstarszy syn, Henryk, ur. w r. 1746, a zmarły w Bolonii, gdzie »oddawał się praktykom religijnym«, 2) młodszy od niego Karol Maurycy Tadeusz, ur. 21 lutego 1748 r. i 3) córka Teresa, ur. 10 września 1757, która została żoną pisarza wielkiego koronnego, Adama Cieciszowskiego, syna Dominika, a rodzonego brata Antoniny z Cieciszowskich Szeluciny, z której córką, Ewą, ożenił się w r. 1784 Karol Lelewel. Ten ostatni miał pięcioro dzieci, dwie córki, Marcellę (późniejszą Nosarzewską) i Maryannę (późniejszą Majewską) oraz trzech synów, Prota Adama, Jana Pawła i chlubę rodziny Lelewelów, Joachima.

Drugi z synów Dominika Cieciszowskiego, Ignacy, podkomorzy Liwski, ożeniony z Anną z Jezierskich (córką Jacka, Chorążego Łukowskiego i Gordonówny) miał z nią syna i dwie córki, z których młodsza, Franciszka, wyszedłszy za Piusa Kicińskiego, kasztelana Połanieckiego, była matką późniejszego założyciela *Kurjera Warszawskiego*, hrabiego Brunona Kicińskiego. Trzeci z synów Dominika Cieciszowskiego, Adam, pisarz Wielki Koronny, ożeniony z Teresą Lelewelówną, miał pięcioro dzieci: dwóch synów, Adama i Jana Chryzostoma, oraz trzy córki, z których najstarsza Aleksandra, urodzona w r. 1771 wyszła w r. 1790

za Jana Pawła Luszczewskiego, znanego Ministra spraw wewnętrznych, z którym miała czworo dzieci: trzech synów i córkę, Konstancyę, która z czasem wyszła za wojewodę Macieja Wodzińskiego. Najmłodszy z jej braci, urodzony 1806 r. Wacław Luszczewski, ożeniony z Niną Żółtowską, miał z nią dwie córki, z których młodsza, Jadwiga, urodzona 1 sierpnia 1834 roku, zasłynęła jako *Deotyma*.

Najmłodszy z synów pisarza Wielkiego Koronnego, wnuk Dominika, urodzony w r. 1782, Adam Cieciszowski, ożenił się w roku 1806 z Felicyą Roztworowską i miał z nią sześcioro dzieci: jednego syna, Adama, i pięć córek, z których najstarsza, Aleksandra, wyszła za Aleksego Dmochowskiego, młodsza zaś, druga z rzędu, Stefania, została żoną Józefa Sienkiewicza, obywatela ziemskiego, z którym miała sześcioro dzieci: cztery córki: Anielę, Helenę, Zofię i Maryę, oraz dwóch synów, Kazimierza, urodzonego 5 lipca 1844 roku, i Henryka, twórcę *Quo vadis*, urodzonego w Woli Okrzejskiej d. 4 maja 1846 roku [1]).

---

[1]) W liście Joachima Lelewela do Karola Sienkiewicza, datowanym z Brukseli d. 3 maja 1859 roku, znajduje się między innemi taki ustęp: »Jeżeli jeszcze macie przed sobą list mój ostatni (z tablicą genealogiczną Lelewelów i Cieciszowskich), dopiszcie sobie, com sobie przypomniał: albo czegom się doczytał. Sienkiewicza ze Stefanii Cieciszowskiej potomstwa

Ojciec autora *Krzyżaków* — bo czas już przejść do jego przodków po mieczu — pochodził ze starej litewskiej rodziny, która w XVIII wieku najprzód przeniosła się na Ruś, a następnie do Korony [1]). Ród to był ziemiański, hołdujący »gospodarczej Ceres«.

Gdy jednak nadeszły czasy napoleońskie, dziad naszego mistrza, Józef Sienkiewicz, poszedł za przykładem tylu innych, co wstępowali do legionów, i zamiast siedzieć na roli, wolał żyć z tego, co boli. Walcząc pod Napoleonem, nawet i później, gdy nastały czasy Królestwa Kongresowego, nie sprzeniewierzył się Bellonie, lecz aż do roku 1831 włącznie, służył jako podpułkownik artyleryi wojska polskiego... Syn jego, a ojciec Henryka, także przez czas jakiś służył wojskowo, aż wreszcie, ze zmianą warunków politycznych, znowu, za przykładem swych przodków, osiadł na roli. Inni Sien-

---

z pięcioro (Bóg błogosławi)«. Gdy to pisał autor *Polski i rzeczy jej*, Henryk Sienkiewicz liczył już sobie lat 13... Cały ten szkic genealogiczny rodzin Cieciszowskich i Lelewelów skreśliłem na podstawie rękopiśmiennej pracy Prota Lelewela, zatytułowanej przezeń *Rozrodzona rodzina* a łaskawie udzielonej mi przez Władysława Korotyńskiego. Korzystałem przytem i z bardzo wartościowej w tym względzie pracy Wincentego Korotyńskiego, *Rodzina Lelewelów*, drukowanej w r. 1882 w *Tygodniku powszechnym*.

[1]) Adam Kuliczkowski: *Zarys dziejów literatury polskiej* (wyd. IV) str. 464.

kiewicze także z upodobaniem poświęcali się służbie wojskowej. Najsławniejszym z nich był Antoni Sienkiewicz, brat Józefa, dziad Henryka. Odznaczył się on już za Stanisława Poniatowskiego, a następnie zdobył sobie jeszcze większą sławę za Napoleona. Wsławił się nadto, jako jeden z najgorliwszych wolnomularzy polskich. Wśród Cieciszowskich także nie brakło żołnierzy. Jeden z nich, Jacek, był nawet adjutantem księcia Józefa Poniatowskiego [1]).

Tyle powiedziawszy o rodzinie i przodkach Henryka Sienkiewicza, godzi się jeszcze — w myśl przepisu Andrzeja Maksymiliana Fredry — napomknąć coś nie coś i o jego »sławnych krewnych«.

Niemało ciekawych wielce wiadomości w tym

---

[1]) Lelewel w liście do Karola Sienkiewicza pisze d. 3 maja 1859 r. między innemi, co następuje: »Małżonka Kazimierza Cieciszowskiego, Magdalena Bystrzanka z Zaborola, a córka ich, Marya, za jenerałowiczem Siemiątkowskim. Córka wuja mego, Jacka Cieciszowskiego w r. 1794 adjutanta księcia Józefa Poniatowskiego, a potem oh! poszła za Kluczewskiego, który urzędował na dworze w Puławach, nieco ułomny. Odwiedzali nas, a potem, zda mi się, wynieśli się na Podlasie w Markowszczyznę. Ot jeszcze tradycya rodzinna. Do jenerałowicza Twardowskiego, marszałka i rektora, zbliżało mnie nietylko koleżeństwo uniwersyteckie, ale ojciec jego za młodych lat służył i sposobił się do artyleryi pod moim pradziadem Jauchem.

względzie zawierają pozostające dotąd w rękopisie pamiętniki Antoniny z Cieciszowskich Netrebskiej [1]), bardzo dumnej z tej parenteli z Lelewelami. Pisząc np. o protoplaście ich, Henryku Lelewelu, którego nazywa »uczonym medykiem« i o jego małżeństwie z Konstancyą Jauchówną, powiada o jej ojcu, że »posiadał wielkie zaufanie u panującego Monarchy, ciesząc się szczególną życzliwością Augusta II«. Ożeniony w domu Münichów z Ewą, miał z nią córkę Konstancyę, a następnie syna, którego przyjście na świat z wielką przywitał radością. Dzieląc tę radość jego, oświadczył mu król, że chce dziecko to na własnych rękach do chrztu podać (czyli, iż ofiarował się na chrzestnego ojca). By godnie odpowiedzieć takiemu obchodowi chrztu, Jauch nie skąpił nakładów na przyjęcie w domu swym Monarchy; a że prócz gmachów w mieście (przy ulicy Miodowej, Ś-to Jańskiej i Długiej) posiadał — na przedmieściu Solec — Jurydykę obszerną, więc na niej wznieść kazał ogromną szopę (podobną do tej, jaką w późniejszych czasach, bo w roku 1810, wystawił w Paryżu ambasador austryacki, książę Schwarzenberg, by uczcić Napoleona), która ozdobnie udekorowana przeobraziła się w olbrzymi salon... Obrzęd odbył się wspaniale. Król w otocze-

[1]) Odnośnych wyciągów z nich, dotyczących rodziny Lelewelów, udzielił mi łaskawie Władysław Korotyński.

niu dworu i świetnego towarzystwa stolicy, dopełnił uroczyście całego aktu, ale mimo tak wyjątkowe chrzciny, dziecko zmarło niebawem, i jako pamiątka po niem, została tylko kolebka, dar monarszy, dotąd w całości dochowana, a w której szereg dzieci-wnucząt (w tej liczbie i Joachima Lelewela) kołysano«... Tymczasem rosła panna Konstancya na pociechę rodziców, ojciec radował się jej talentem do muzyki na klawicymbale, matka zaś wyrobami jej na kanwie. Kiedy dochodziła już lat 18-tu, ojciec przedstawił jej trzech współzalotników: jeden był obywatel ziemianin, drugi wojskowy, trzeci doktór. »Pierwszy, mówił jej ojciec, jest rolnik, ty do takiego życia nie przyzwyczajona, a przytem nie chciałbym cię widzieć od nas oddaloną. Drugi może mieć wiele honoru, ale to okazałe ubóstwo. Trzeci jest już człowiek wyrobiony, którego mienia ani woda nie zaleje, ani ogień nie spali. Tego, chciałbym, iżbyś była żoną«. Jakkolwiek do tego trzeciego, doktora Henryka Lelewela, o lat 20 od niej starszego, Konstancya nie czuła wielkiego pociągu, to jednak po namyśle zdecydowała się wyjść za niego. Wyszedłszy, niebawem przywiązała się szczerze do męża i była z nim szczęśliwa... »Babka moja, pisze o niej wnuczka jej, Netrebska, bardzo lubiła zabawy w obrębach przyzwoitych. Bywała często u dworu, u tej pobożnej królowej, żony Augusta III, a matki cesarzowej Maryi

Teresy. Królestwo mieszkali w Pałacu Saskim i tam był teatr, w którym sprowadzani z Włoch komedyanci i śpiewacy dawali przedstawienia. Bilety na te spektakle nie były sprzedawane, lecz tylko rozsyłane przez królestwo osobom bliższym dworu. Babka moja dostawała je często. Bywała i na balach dworskich, gdyż lubiła tańcować. Zdarzało się jednak, iż nieraz, gdy perukarz przyszedł na bal ją ubierać, odprawiano go, a natomiast wzywano potrzebniejszą... akuszerkę, posyłając jednocześnie do pałacu królewskiego z przeproszeniem, że być nie można (wypadki takie trafiały się często, zważywszy, że dzieci powiła Imci Pani Konsyliarzowa aż trzynaścioro). Wszystkich tych zabaw zaniechała zupełnie, gdy została wdową. Obleczona żałobą, zamknęła się w domu, oddana interesom i dzieciom. Bywała jedynie u pani Wojewodziny Podolskiej, siostry Króla Stanisława Augusta, z której córką, późniejszą Marszałkową Mniszchową, bardzo się przyjaźniły«. Ojciec jej, »chociaż sam wyznania ewangielickiego, gdy żonę miał katoliczkę, córkę swą w religii katolickiej wychował«... a gdy w roku 1754 poczuł zbliżającą się śmierć, »połączony z rodziną katolickiego wyznania, oceniając jedność kościoła chrześcijańskiego, wyznanie to wiary stwierdził, przyjmując formy katolickie. I tak fundował w kościele Bernardynów w Warszawie na ciemnej ścianie od klasztoru okna zwiercia-

dlane, by światło oddawały... Odznaczał się znacznemi ofiarami dla cierpiącej ludzkości. Przed samym dopiero zgonem, resztę ducha oddał w ręce OO. Kapucynów, wiarę świętą katolicką przyjąwszy. W ich też kościele przy ulicy Miodowej, w pieczarach tej świątyni, pochowany [1]).

W tym to czasie należały jeszcze do Jaucha (i przeszły na jego zięcia) posesye przy ulicy Miodowej, Świętojańskiej i Długiej. Jurydyka na Solcu była już sprzedaną; pozostały tylko w rysunkach jako pamiątki, plan Ślimaczarni, oraz w pięknych kolorowych obrazkach rozmaite gry towarzyskie. Pałac na Miodowej, w atlasie Rizzi Zannoni oznaczony jako Palais Lelewel, należący niegdyś do Szembeków, posiadał w dziedzińcu dom z drzewa modrzewiowego, zamieszkiwany ongi przez księżnę Wiśniowiecką. Tu z pola elekcyi przybył Michał Wiśniowiecki, aby pierwszy matce, jako król, hołd złożyć. Tu miał mieszkanie hetman Sobieski. Za domem tym znajdował się ogród, troskliwie hodowany. Tu, prócz mnóstwa wyszukanych drzew i roślin, pielęgnowano morwy i hodowano jedwabniki, z których jedwab wysyłano do fabryk w Lyonie, a z utkanych tam materyj robiono *suknie do stroju* dla wszystkich członków rodziny.

---

[1]) Opis uroczystego pogrzebu znajduje się w *Kurjerze Polskim* z d. 3 maja 1754.

Gdy w r. 1763 umarł konsyliarz Jego Królewskiej Mości, Henryk Lelewel, wszystkie pozostałe po nim nieruchomości przeszły na własność syna jego, Karola, oraz szwagra, Adama Cieciszowskiego; gdy zaś w roku 1783 i pisarz Wielki Koronny zszedł z tego świata, a Karol Lelewel w następnym roku 1784 ożenił się z Ewą Szelucianką (córką Franciszka i Antoniny z Cieciszowskich), wówczas okazała się potrzeba częściowego rozdziału całego majątku. W tym celu sprzedano w r. 1787 Henrykowi Jarzewiczowi posesyę przy ulicy Miodowej [1]), dom przy ulicy Ś-to Jańskiej dostał się Cieciszowskim, a posesyę przy ul. Długiej Nr. 540 zachował sobie Karol Lelewel. W tym

---

[1]) W pamiętnikach Netrebskiej wymienieni są nawet wszyscy podpisani na kontrakcie tej sprzedaży. Nie od rzeczy może będzie przytoczyć tu ich nazwiska i... tytuły, nieźle to bowiem uzmysławia daną sytuacyę. Otóż kontrakt ten zaaprobowali podpisami swymi: Konstancya z Jauchów Henrykowa Lelewelowa, Karol Lelewel, Teresa Cieciszowska, Henryk Jarzewicz, Kacper Kolumna Cieciszowski, biskup kijowski, Ignacy Kolumna Cieciszowski, sądów Marszałkowskich koronnych sędzia, Józef Suffczyński, starosta Debułtycki (jako kurator J. W. M. pani Konstancyi, konsyliarzowej Jego Królewskiej Mości): Karol Wodziński, starosta Ziemi Nurskiej (jako kurator J. W. M. pani Teresy Cieciszowskiej, pisarzowej wielkiej koronnej.

ło domu urodził się 29 marca 1786 roku Joachim Lelewel [1]).

I cóż z tego wszystkiego wynika? Oto, że dwie te złączone z sobą rodziny Cieciszowskich i Lelewelów opływały w dostatek, co im pozwalało nie tylko żyć na odpowiedniej stopie zamożności, ale i utrzymywać się na wyższym znacznie poziomie kulturalnym, aniżeli był ogólny poziom ówczesnej szlachty za króla Sasa, która jadła, piła i popuszczała pasa, a o stronę duchową nie troszczyła się wcale. Inaczej działo się w rodzinie Cieciszowskich i Lelewelów, których kobiety otrzymywały staranną edukacyę domową, a mężczyźni po ukończeniu szkół w kraju, po wyższe wykształcenie udawali się na uniwersytety zagraniczne, studyując prawo lub medycynę. Nawet Karol Lelewel, choć — jak powiada o nim w pamiętnikach swoich Antonina Netrebska — »jeszcze w kolebce będąc, miał nadany patent na *szarżę* kapitana w Regimencie Dragonii Królewicza Imści Wojsk koronnych«, nim przywdział mundur wojskowy, ukończył najprzód prawo w Getyndze, co mu pozwoliło później być w Warszawie za Stanisława Augusta nietylko kasyerem generalnym Komisyi Edukacyjnej, czyli kierownikiem

---

[1]) Rodzicami jego chrzestnymi byli: Ignacy Cieciszowski, sędzia Ziemi Liwskiej, i Anna z Jezierskich Cieciszowska.

całej administracyi wewnętrznej funduszu szkolnego, ale nadto pełnić także do r. 1794 niełatwy urząd komisarza cywilno-wojskowego. Później od roku 1811 był radcą w Komisyi Oświecenia. Synowie jego także otrzymali wszyscy wyższe wykształcenie. Dążność to, która w owych czasach nie cechowała wszystkich rodziców.

Nadto dają się w tej rodzinie zauważyć pewne popędy arystokratyczne, którymi się wynosiła po nad szary ogół szlachty [1]). Gdy Adam Cieciszowski,

[1]) Świadczą o tem także i koligacye hrabiowskie, w jakie wchodzili Cieciszowscy przez związki małżeńskie: Jan Chryzostom Cieciszowski (syn Adama) ożenił się z Ewą Orsetti, Adam Cieciszowski poślubił Julię Rostworowską, Edward Cieciszowski (syn Adama i Ewy z Orsettich) ożenił się z Emilią Ledóchowską. Ich córka Idalia została hrabiną Jełowicką. Łuszczewski Adam (syn Jana Pawła) był żonaty z hrabianką Skarzyńską. Syn jego, Bronisław, ożenił się ze Skarbkówną, córka zaś, Maryanna, wyszła za księcia Lucyana Woronieckiego. Kazimiera Łuszczewska, siostra Deotymy, wyszła za Antoniego Komierowskiego: Józefa Kicińska, córka Piusa, a siostra Brunona, wyszła za Józefa Cieciszowskiego. Jej siostra, Krystyna, za Ign. Potockiego. Nie sposób tu wyliczać wszystkich tych koligacyj (skrupulatnie przez Prota Lelewela w jego *Rozrodzonej rodzinie* zanotowanych), ale przez koligacye te spokrewniła się rodzina Cieciszowskich z Czackimi, Komorowskimi, z Rzewuskimi, z Babskimi, z Marchockimi, z Podoskimi, z Gordonami i t. d., i t. d. Nie brakło też panien Cieciszowskich kanoni-

pisarz wielki koronny (a także szef gabinetu Stanisława Augusta i członek Rady Nieustającej) został w r. 1781 dziedzicem Okrzei, miasteczka w ziemi Stężyckiej (w teraźniejszym powiecie Łukowskim), to przedewszystkiem począł się tu krzątać około wzniesienia kościoła. Fundacya kościoła, w dodatku własnym sumptem, to już coś więcej, niż piękny czyn chrześciański i obywatelski, to już wystąpienie magnackie, to już ofiarność w wielkim stylu, wielkopańska, przekraczająca zwykłą szlachecką miarę! Niestety, śmierć pisarza wielkiego koronnego nie pozwoliła mu uskutecznić tego pięknego zamiaru. Uczyniła to dopiero pozostała po nim wdowa (Teresa z Lelewelów), pobożną myśl męża swego własną ku chwale Boskiej gorliwością i nakładem do skutku przywodząc. Jakoż w roku 1783 stanęła w Okrzei piękna murowana świątynia, a uroczysta jej konsekracya pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła dokonaną została w r. 1806 przez Kacpra Cieciszowskiego, wówczas już biskupa łucko-żytomierskiego. Nie od rzeczy będzie napomknąć, iż uroczystość tę uwiecznił pięknym wierszem obecny na niej wtedy jeszcze kanonik kijowski, ks. Jan Woronicz, autor *Świątyni Sybilli*.

---

czek: była nią Halina Cieciszowska (siostra matki Henryka Sienkiewicza), jest nią obecnie i jedna z jego sióstr (zmarła przed kilku laty).

Wspomniawszy nazwisko tak zasłużonego w piśmiennictwie polskiem męża, jak Woronicz, i gdy się je wymieniło obok nazwiska biskupa Kacpra Cieciszowskiego, mimowoli nasuwa się na myśl działalność literacka tego ostatniego, działalność, która go stawia nietylko w pierwszym rzędzie naszych najzasłużeńszych książąt Kościoła, ale mu i w piśmiennictwie ojczystem wyznacza wcale niepośledmie miejsce. W obszernym życiorysie jego, skreślonym piórem Juliana Bartoszewicza w tomie 5-ym *Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda* [1]), będącym znakomitą charakterystyką metropolity mohylowskiego, czytamy o nim w zakończeniu między innemi, co następuje: »Umarł 28 kwietnia 1831 roku. Biskupem był przez lat 56, z tych dyecezyalnym w Kijowskiem lat 23, w Luckiem 29, w Mohylowskiem lat 4. *Słynął nauką*, wymową, świątobliwem życiem, umiał doskonale po włosku, po łacinie, po grecku, po francusku i po niemiecku. *Moc zostało po nim w druku różnych pism, kazań, mów pogrzebowych i listów pasterskich;* po największej części sam to wszystko wypracował, pod koniec tylko życia wzrok utracił i już pisać nie mógł. Wtenczas sławił go wierszem Bruno Kiciński, którego matki Cieciszowski był rodzonym stryjem. Wiersz Brunona o Arcybiskupie [2]) ma nawet

---

[1]) Str. 609—616.

[2]) Poezye, Warszawa, 1840. I, 50.

szczegóły biograficzne; wspomina tam Kiciński o sławnym obchodzie 50 lat kapłaństwa, na którym się znajdował i 50-letnim obchodzie w lat kilka potem biskupstwa. Prawdziwy pasterz, dawał duszę swoją za owce swoje i kiedy hojną ręką rozsypywał jałmużny, mawiał do ubogich: Com wam dał, bliźnim w potrzebie wróćcie!« [1]).

Ta cechująca Arcybiskupa Mohylowskiego »żyłka literacka« była wielu członkom rodziny Cieciszowskich i Lelewelów właściwą. Stąd poszło, że wydała ona w ciągu XIX wieku cały poczet literatów, historyków, bibliofilów, pisarzów i poetów, poczet, który się może pochlubić takiemi nazwiskami, jak Joachim Lelewel i Henryk Sienkiewicz. Poczet ten rozpoczyna w wieku XVII Bartłomiej Cieciszowski, kanonik wileński, który w r. 1631 wydał napisany przez siebie *Żywot Świętego Kazimierza*, a nadto, widocznie rozmiłowany

---

[1]) Najzacniejszy to był ojciec (pisze o nim w innem miejscu Jul. Bartoszewicz), ideał arcykapłana, Ambroży albo Tertulian. Inni Wołynianie porównywali go ze św. Franciszkiem Salezym. Nie tylko katolicy, ale i żydzi poważali go i kochali. Katolicy wszystkich stanów byli dla niego z miłością, której nic nie zrównało. Cieciszowski przejdzie do potomności, jako myt, jako ideał. Świadectw pełno takich o nim w listach spółczesnych mu osób. Gdzie tylko co zacnego pomyślano, tam zawsze był biskup. Mieszkał stale w Łucku.

w błogosławionej postaci tego patrona Litwy, przełożył »rytmem polskim« znany (a mylnie Św. Kazimierzowi przypisywany) hymn: *Omni die Dic Mariae.* Współcześnie z nim słynął w całej Rzeczypospolitej Wojciech Cieciszowski, Jezuita, doktór teologii, profesor filozofii — po słynnym Sarbiewskim — w Akademii Wileńskiej, kaznodzieja królewski, a dwukrotnie prowincyał litewski. Zmarły w Warszawie 1675 roku, zajmował wybitne w ówczesnem piśmiennictwie polskiem stanowisko, jako mówca i prozaik. Z pomiędzy licznych jego prac, po polsku i po łacinie pisanych, a drukiem ogłoszonych, wymienić się godzi: 1) przekład łaciński kazania Sarbiewskiego o *Lasce Marszałkowskiej,* 2) *Mowę w obronie Jezuitów i Akademii Wileńskiej,* 3) *Kazanie na cześć Św. Józefata Męczennika,* 4) *Kryształ z popiołu czyli Kazanie przy pogrzebie Katarzyny z Potockich Januszowej Radziwiłłowej* (małżonki tego Janusza Radziwiłła, którego Sienkiewicz tak wspaniale odtworzył w *Potopie),* 5) *Dwa kazania, mówione do króla i stanów zgromadzonych, o pokoju między Polakami i Tatarami, oraz Turkami w r. 1649,* a wreszcie 6) *Expedycyę Zborowską szczęśliwie dokonaną* przy obecności *rycerstwa obozów Zborowskiego i Zbarawskiego...* Mówiąc o Cieciszowskich, godzi się napomknąć i o tem, że w wieku XVIII połączyli się oni węzłami pokrewieństwa z Załuskimi: słynny założyciel biblio-

teki Załuskich, Józef, był krewnym Kacpra Cieciszowskiego, biskupa.

To samo, co o Cieciszowskich, da się w wyższym jeszcze stopniu powiedzieć i o Lelewelach, pomiędzy którymi nietylko jeden autor *Polski i rzeczy jej* odznaczał się pociągiem do pióra. Ten *morbus litterarius*, który tak przez całe życie trawił słynnego brukselskiego samotnika i ascetę, był już właściwy także i jego ojcu, Karolowi Lelewelowi, który już, jako student prawa w Getyndze, »zawiązał stosunki przyjaźni z uczonymi, którymi ta akademia tak świetnie jaśniała, z Hollmannem, Putterem, Achenwallem, Böhmerem, J. Ch. Gattererem, Aug. Ludw. Schlötzerem i w. i. i pod ich przewodem czerpał światło nauki i umiłowanie do pracy umysłowej«. To zamiłowanie sprawiło, iż gdy wrócił do kraju, stał się tu niebawem »znanym z nauki«, a te aspiracye w kierunku naukowym pozwalały mu poza jego zajęciami urzędowemi dość jeszcze znajdować czasu na studya i pisanie poważnych rozpraw i artykułów z dziedziny prawa i ekonomii politycznej. Jedna z takich prac jego p. t. *Umiarkowanie wydatków względnie do przychodów dla własnej i powszechnej pomyślności* ukazała się w r. 1815 na szpaltach wybrednego *Dziennika Wileńskiego*. Z synów jego, nie mówiąc już o Joachimie, który aż do śmierci nie wypuszczał pióra z ręki, dwaj młodsi także odznaczali się zdolnościami pisar-

skiemi. Jan Paweł Lelewel, genialny inżynier, autor kilku prac specyalnych z zakresu inżynieryi, ogłoszonych w językach francuzkim i niemieckim, opublikował w swoim czasie bardzo literacki *Dziennik podróży i pobytu w Petersburgu*, oraz rodzaj literackiego »pamiętnika« p. t. *Praga od 10 grudnia 1830 do 9 września 1831 roku*. Prócz tego, przez całe życie, »w chwilach wolnych od służby z upodobaniem malował pejzaże kolorami wodnymi, do których miał pociąg z lat młodych, jako uczeń Vogla«. Jego rysunki »piórkiem i ołówkiem« cieszyły się ogromną wziętością w pewnych kołach. Nie ulega wątpliwości, że w tym znakomitym inżynierze tkwił także i artysta. To samo da się powiedzieć i o jego starszym bracie, Procie Lelewelu, słynnym zbieraczu pamiątek narodowych, który, w swym majątku rodzinnym, Woli Cygowskiej, nietylko nagromadził olbrzymie zbiory arcyciekawych rzeczy polskich [1]), ale nadto napisał cały szereg rozpraw i monografii historycznych, w tej liczbie dwutomowe dzieło o metropolicie Kacprze Cieciszowskim i *Żywot Jana Pawła Lelewela, podpułkownika inżenieryi*. W młodym wieku, w czasach, gdy jeszcze mieszkał w Warszawie, pracując w ministeryum spraw wewnętrznych i religijnych pod przewodem Jana

---

1) Opisał je we wspomnianym już artykule o *Rodzinie Lelewelów* Wincenty Korotyński.

Pawła Łuszczewskiego (dziada Deotymy), pomieszczał już cenne artykuły w *Pamiętniku Warszawskim*, później zaś, gdy powstała *Biblioteka Warszawska*, zasilał ją także swemi pracami, a jedna z nich, *Wspomnienia o działaniach wojennych korpusu pod dowództwem J. H. Dąbrowskiego*, jeszcze do tej chwili nie straciła swej wartości historycznej. Nadto przygotował on do druku i wydał w Poznaniu u Żupańskiego dwa wielkie tomy *Listów Joachima Lelewela do rodziny*. Ożeniony z Aleksandrą Cieciszowską, Jan Paweł Łuszczewski, minister za Księstwa Warszawskiego, należy o tyle tylko do literatury, o ile ogłosił *Dyaryusz sejmu ordynaryjnego pod związkiem konfederacyi jeneralnej obojga narodów w Warszawie roku 1788 rozpoczętego*, oraz kilka swych mów politycznych; ale już syn jego, Wacław Łuszczewski, jako z Cieciszowskiej urodzony, odznaczał się aspiracyami literackiemi. Należąc do grona założycieli *Biblioteki Warszawskiej*, był jednym z jej najczynniejszych współpracowników (głównie w zakresie ekonomii politycznej), o tem zaś, jak wybitne stanowisko w naszej literaturze i poezyi zajęła córka jego, Jadwiga, mówić zbyteczna: czcigodna autorka *Improwizacyi*, *Polski w pieśni* i epopei o »europejskim czynie« Sobieskiego zdobyła sobie, jako poetka, jedno z najpierwszych miejsc na Parnasie polskim, a jako autorka powieści historycznych, takich, jak bohaterskie,

Branki w Jasyrze lub pełna poezyi *Panienka z okienka*, rywalizuje z Sienkiewiczem... Ale odziedziczona po Cieciszowskiej »żyłka literacka« wydała jeszcze drugi rzetelny talent poetycki, który niewątpliwie z tego samego, co talent Deotymy, wytrysnął źródła. Starsza siostra autorki *Zwierciadlanej zagadki*, Kazimiera, wyszła za Antoniego Komierowskiego, a syn jej, niedawno zmarły Jan Komierowski wsławił się pod pseudonimem Wacława Pomiana. Jego, niedokończony, niestety, *Herakles i Omfala*, należy do najpiękniejszych poematów, jakie poezya nasza wskazać może w ostatnich czasach, co w jeszcze wyższym stopniu da się powiedzieć i o jego *Sonacie wiosennej*. Sławny za czasów Królestwa Kongresowego poeta i tłumacz *Przemian* Owidyusza, Bruno Kiciński, także był z Cieciszowskiej urodzony, a redaktor *Ateneum*, znany pedagog i krytyk, Ignacy Chrzanowski, jako urodzony z Heleny Dmochowskiej, wnuczki Adama Cieciszowskiego (siostrzeńcy matki Sienkiewicza) także krwi Cieciszowskich, która w nim płynie, zawdzięcza swe gorące zamiłowanie do literatury...[1]). Że z tego samego źró-

[1]) Od roku 1899, w którym był pisany artykuł niniejszy, Ignacy Chrzanowski, jako autor rozprawy o kazaniach sejmowych Skargi, monografii o Bielskim, tudzież znakomitej *Literatury Polski niepodległej*, wysunął się na czoło badaczów piśmiennictwa ojczystego,

dła pochodzi i genialny talent Henryka Sienkiewicza, za tem przemawia fakt, że rodzina jego *ojca* nie wydała żadnego literata, *matka* natomiast, Cieciszowska, pochodząc z rodziny literackiej, spokrewniona z Lelewelami i Łuszczewskimi, odznaczała się zdolnościami pisarskiemi: miała niepospolitą łatwość wierszowania, a wiersze jej, jakkolwiek były to poezye do albumów, bez pretensyi do jakiejś głębszej wartości artystycznej, bardzo się podobały w kołach znajomych. Stanowczo można twierdzić, opierając się na prawach dziedziczności psychologicznej, że podobnie jak były literackie rodziny Kochanowskich, Morsztynów, Fredrów, które obok całego szeregu pisarzy i poetów mniejszego kalibru, jak Mikołaj, Piotr i Andrzej Kochanowscy, jak różni Morsztynowie i Fredrowie, wydały Jana z Czarnolasu i autora *Ślubów panieńskich*, podobnie i Cieciszowscy mogą być taką literacką rodziną nazwani, z tą różnicą, że wśród wszystkich rodzin literackich w Polsce należy się jej chyba pierwszeństwo przed innemi, zważywszy, że kiedy tamte wydały z siebie po jednym tylko wielkim pisarzu, z tej wyszła taka

---

a od r. 1910 został na miejsce Stanisława Tarnowskiego profesorem historyi literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

trójca, jak Lelewel, Deotyma i Henryk Sienkiewicz [1]).

Ale powiada w swym *Vir consilii* Andrzej Maksymilian Fredro, iż pisząc pochwałę zasłużonego męża, kiedy się już powiedziało o jego przodkach, krewnych, etc. należy też rozwieść się nieco »o kraju, prowincyi lub mieście, gdzie się urodził«. Wobec tego godzi się także powiedzieć cośkolwiek i o Woli Okrzejskiej, w której przyszedł na świat autor *Hani*.

Wola Okrzejska, przylegająca do osady wiejskiej, dawniej miasteczka, Okrzei, leży nad rzeką Okrzejką, w powiecie Łukowskim (w dawnej ziemi Stężyckiej) o 28 wiorst od Łukowa, a w pobliżu Maciejowic, wsławionych pamiętną bitwą z d. 10 października 1794 roku. Jest to majątek niewielki, w roku 1827 składający się z 28 domostw, zamieszkałych przez 208 włościan [2]). Mimo to z nazwą jej, jak i z nazwą sąsiedniej Okrzei, spotkać się można już w XV wieku. Okrzeja, a z nią i Wola Okrzejska, była wtedy własnością Macieja Grotka, podkomorzego ziemi Lubelskiej. W XVI i XVII w. właścicielami dóbr Okrzei byli

---

[1]) Dziś do tej trójcy należy dodać jeszcze i nazwisko Ignacego Chrzanowskiego.

[2]) Okrzeja leży nad rzeką Okrzejką, biorącą początek pod Wolą Okrzejską, a ciągnącą się wężem 40 wiorst długości.

Samborzeccy i Leśniowolscy, z których w r. 1648 Prokop Leśniowolski, kasztelan podlaski, był posiadaczem Woli Okrzejskiej. Później należała ona do Franciszka Leśniowolskiego, starosty brańskiego, a po jego śmierci do syna Andrzeja... Po wygaśnięciu Leśniowolskich w linii męskiej dostała się Okrzeja w drugiej połowie XVII wieku Janowi i Jędrzejowi Firlejom, a gdy i ci zmarli w młodych latach bezdzietnie, wzięli osadę w r. 1683 dwaj Roztworowscy i siostra ich, Katarzyna, żona Kazimierza Cieciszowskiego, starosty mielnickiego. Odtąd, drogą układów rodzinnych, Okrzeja z przynależnościami, w tej liczbie i z Wolą Okrzejską, stała się własnością Cieciszowskich, i z wyjątkiem pewnej części, należącej do dóbr Królewskich, pozostała w posiadaniu tej rodziny niemal aż do ostatnich czasów [1]). Obecnie należy do p. Bernsteina, który jest właścicielem już od r. 1880, nabywając ją od Adama Cieciszowskiego, rodzonego brata Stefanii z Cieciszowskich Sienkiewiczowej, matki autora *Quo vadis* [2]).

Do największych osobliwości Okrzei należy

---

[1]) *Tygodnik powszechny* z r. 1883 Nr. 7, w artykule *Kościół w Okrzei* skreślonym przez Borzywoja na podstawie »dokumentów przechowanych w archiwum domowem Cieciszowskich«. Zob. także *Słownik geograficzny* pod *Okrzeja*.

[2]) Kurjer Warszawski z 22 grudnia 1900 r. w art. Karola Hoffmana p. t. *W Woli Okrzejskiej i w Okrzei*.

miejscowy kościół, pod wezwaniem św. apostołów Piotra i Pawła[1], w roku 1857 przez Adama Cieciszowskiego, (ojca matki Sienkiewicza) przy pomocy parafian odrestaurowany i do stanu, w jakim się teraz znajduje, doprowadzony. Widok zewnętrzny kościoła tego podał w r. 1883 według rysunku Brzozowskiego *Tygodnik powszechny*. »W świątyni znajduje się kilka pamiątek, godnych uwagi znawcy i miłośnika przeszłości. W wielkim ołtarzu, obraz Wniebowstąpienia Pańskiego pochodzi z kościoła ks. Dominikanów Obserwantów w Warszawie, wznoszącego się niegdyś na miejscu późniejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i posągu Kopernika, a zniesionego po roku 1815. Dru-

---

[1]) W tym kościele przyszły autor *Krzyżaków* został ochrzczony, o czem świadczą tutejsze księgi parafialne. Oto kopia aktu urodzenia Henryka Sienkiewicza, zapisanego pod Nr. 30, z r. 1846:

»Wola Okrzejska. Henryk Adam Alexander Pius.

Działo się we wsi Okrzei dnia siodmego Maja, Tysiąc Ośmset Czterdziestego szostego roku, o godzinie siodmej wieczorem. Stawił się wielmożny Józef Sienkiewicz Ojciec Dziedzic Grotek lat trzydzieści dwa mający w Grotkach zamieszkały; W obecności Wielmożnego Adama Cieciszowskiego Dziedzica Woli Okrzejskiej lat Dwadzieścia trzy mającego zamieszkałego w Woli Okrzejskiej, i Wielmożnego Alexego Dmochowskiego Dziedzica Burca lat Czterdzieści ieden mającego w Burcu zamieszkałego, okazał nam dziecię płci męzkiej

gi obraz, wystawiający N. M. P. z Dzieciątkiem naturalnej wielkości, jest dziełem znakomitego Smuglewicza, a darem biskupa Cieciszowskiego. Prócz tego są jeszcze inne obrazy niepospolitego pędzla, oraz misterna grupa rzeźbiona z drzewa, wyobrażająca Ukrzyżowanie, starodawna pamiątka rodziny Cieciszowskich. Zakrystya bogata w aparaty i sprzęty kościelne, ma kilka ornatów z daru biskupa Cieciszowskiego, między niemi zaś dwa wielce wspaniałe, których sam świątobliwy arcypasterz używał, a umierając, kościołowi okrzejskiemu przekazał. Jest też po nim i kielich z patyną... W grobach kościelnych i kata-

urodzone we wsi Woli Okrzejskiej dnia piątego bieżącego Miesiąca i roku, o godzinie szostej wieczor, z Jego Małżonki Wielmożnej Stefanii z Cieciszowskich, lat Dwadzieścia ośm mającej. Dziecięciu temu na Chrzcie Świętym odbytym w dniu dzisiejszym przez Xiędza Antoniego Guttmanna Proboszcza miejscowego, nadane zostały Imiona Henryk, Adam, Aleksander, Pius, a Rodzicami Chrzestnemi byli Wielmożny Adam Cieciszowski, z Wielmożną Józefą Cieciszowską w assystencyi Wielmożny Zdzisław Dmochowski, z Wielmożną Pauliną Dmochowską.

Akt ten po przeczytaniu podpisany został.
Jako świadek Z. Dmochowski.
» » A. Cieciszowski.
X. Antoni Guttmann P. Ok.
Sienkiewicz Jozef Oyciec«.

kumbach przy kościele spoczywają prochy wielu osób z rodziny Cieciszowskich. W r. 1805 złożono tam zwłoki Konstancyi z Jauchów Lelewelowej... W roku 1825 spoczęła w cieniu wzniesionej przez siebie świątyni Teresa z Lelewelów Cieciszowska; a w roku 1873 pochowano na tamecznym cmentarzu Stefanię z Cieciszowskich Sienkiewiczową, matkę Henryka Sienkiewicza...«

Na porządnie utrzymanym cmentarzu okrzejskim spoczęły zwłoki ś. p. Stefanii z Cieciszowskich Sienkiewiczowej, matki Henryka, zmarłej w Woli Gułowskiej 1-go września 1873 roku.

W pobliżu leży ś. p. Antoni Noffok, pułkownik b. wojsk polskich. Piękny pomnik z odpowiedniemi emblematami stawia wytrwale czoło kruszącym zębom czasu.

Nieopodal kościoła stoi niewielki, »przycupły do ziemi«, słomą kryty domek drewniany, będący dawnem mieszkaniem wikaryuszów. Tradycya miejscowa zachowała wspomnienie, iż Tadeusz Kościuszko wzięty do niewoli po bitwie Maciejowickiej, w tym domku przed udaniem się do Petersburga leczył się z ran i odzyskiwał wyczerpane siły.

Tuż pod Okrzeją o kilka staj, w pobliżu równiny Maciejowickiej, przerżniętej tą samą rzeką Okrzejką, wpadającą poniżej do Wisły, wznosi się prastare zamczysko czy może okopisko przedhistoryczne, zajmujące znaczną, bo przeszło sześcio-

morgową wyniosłość, oblaną wodami, dzisiaj uprawną. »W głębi ziemi, podług podania, czepiającego się wszelkich zamczysk, mają się jakoby znajdować lochy, w których wszakże nikt nie był, bo są zawalone, a może i strzeżone przez duchy«... Dokoła nich ciągną się stare okopy, już z epoki wojen szwedzkich.

Od roku 1799 do 1801, gościł w Woli Okrzejskiej 14-letni Joachim Lelewel, przygotowujący się tu do szkół wspólnie ze swymi ciotecznymi braćmi, Cieciszowskimi [1], zbierający miejscowe pieśni ludowe [2], piszący już dzieje Polski, historyę Francyi i Hiszpanii, a »prócz tego« życie Górka, Zamoyskiego, Orzechowskiego, Żółkiewskiego i innych sławnych mężów, uczący się u proboszcza okrzejskiego, pijara Leopolda Moroza, a pozatem biegający po polach, jeżdżący z wizytami w sąsiedztwo, tańcujący na balach i wieczornicach, korespondujący z przebywającą tymczasem w Warszawie rodziną. W wydanych przez Prota Lelewela *Listach* Joachima do rodziny, pierwszych 17 listów pisane są z Woli Okrzejskiej pomiędzy 26 stycznia 1799 a 16 kwie-

[1]) Ludwik S. Korotyński *Zbiorek pieśni ludowych Joachima Lelewela.* (*Prawda*, książka zbiorowa, str. 220—223).

[2]) Tenże, *Piętnastoletni Joachim Lelewel, jako pierwszy zbieracz piosnek ludu w r. 1801* (Księga pamiątkowa Mickiewiczowska, I, 83).

tnia 1801 r. Oto wyjątek z jednego z pomiędzy tych listów: »U nas tu wszystko źle się dzieje — donosił Lelewel bratu d. 14 września 1800 roku Babuleńka [1]) słaba, a do tego ogień całe zabudowania dworskie pożarł. W wieczór, w poniedziałek 10 września, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, z pod strzechy zajęła się stodoła, do tego wiatr był straszny. Odśrubowawszy Babuleńce okiennicę, pobiegłem do ognia, ale już wtedy wszystkie owce, bydło, konie, wygnano i powozy ze stodół wyciągniono, a wszystko już było w ogniu, rozbijano tylko płoty i parkany, aby ogień do wsi nie doszedł. Zgorzały wszystkie stodoły, spichrz, obory, dwie stajnie, owczarnia, zaledwie drwalnię uratowali. Ogień był tak gwałtowny i mocny, iż się szkło topiło, a pisarz, co miał kilkadziesiąt złotych srebrem, znalazł tylko gruzełki. Jednak ta straszna klęska jest nagrodzona dobrodziejstwami sąsiedztwa. Zewsząd zboża zsyłają i inne grzeczności czynią. Obory już stawiać poczęto, które wkrótce staną. Jak się stodoły spaliły, Mościcki ekonom odbiwszy, i to z wielką trudnością, zamek, chciał wyciągnąć swój woreczek, ale ze strachu nie mógł i sił nie miał. Przytomność wszystkim odpadła. Stangret, co był w Okrzei, spostrzegłszy ogień, nie mógł koni do bryczki zaprządz i ich skierować; jeden tylko kucharz i syn ekonoma, co

[1]) Teresa z Lelewelów Cieciszowska, wdowa po pisarzu wielkim koronnym, Adamie.

od początku z przytomnością byli, i im winno bydło, winne konie, winne i powozy, iż się nie spaliły, albowiem ze strachu nikt siły nie miał ani powozów wyciągnąć, ani bydła wyganiać. Pan Adam[1]) w tem zamieszaniu, gdy parobek J. X. Moroza z plebanii dla koni wody wozić nie chciał, powiedział, że mu potem każe obroku dać, a nie uważał, iż się obrok był już spalił... Na świętą Teresę[2]) mieliśmy gości poddostatkiem, a po kolacyi były tańce ledwie nie do białego dnia. Po św. Teresie grałem z panem Adamem w szachy i wygrałem, co się tu rzadko komu zdarza. Ukończone historye hiszpańską i francuzką posyłam. Historyę polską napisałem do Kazimierza Wielkiego«... W dziesięć lat później, już po ukończeniu studyów uniwersyteckich w Wilnie, a bezpośrednio przed udaniem się na posadę nauczycielską do Krzemieńca, bawił jeszcze Lelewel czas jakiś w Woli Okrzejskiej, a w liście pisanym stamtąd w styczniu 1809 r. do ojca (przebywającego wtedy w Woli Cygowskiej pod Radzyminem, majątku rodzinnym Lelewelów) donosił mu między innemi, co następuje: »Deszertowie[3]) z Kloszewa przenieśli się nakoniec do

[1]) Cieciszowski (ojciec matki Sienkiewicza).

[2]) Z powodu imienin babki, Teresy z Lelewelów Cieciszowskiej.

[3]) Maryanna Cieciszowska, córka Ignacego, a wnuczka Dominika, wyszła za Józefa Deszerta z Kloszewa.

Woli Okrzejskiej, kiedy tymczasem z Ozorowa Polkowski zapewnił nas, że w Seroczynie ma być bal. Po wielu trudach i kłopotach pojechaliśmy do niego... Już goście byli się zewsząd pozjeżdżali... W czasie tańców roznoszono poncz, wina, lody, dano wiele ostryg i tak dalej, i to trwało do 7 rano, o której wszyscy rozjechali się drzemać. Nazajutrz, czyli po przespaniu się koło 10-ej zbierała się kompania, a około 12 dano śniadanie czyli raczej obiad, gdzie podobnie była ochota. Po nim koło godziny 3-ej wszyscy zaczęli się rozjeżdżać i my wyjechali nazad do Woli Okrzejskiej. Wszyscy Cieszkowscy [1]) i Woroniecki [2]) wiele mi grzeczności okazywali. Już mi przecie moje prace dobre imię zjednały, bo niedawno je w tamte strony Józef z Warszawy przywiózł, daleko jednak więcej dało mi znaczenia imię ojca... Na samem już prawie wsiadaniu stary Grabowski do mnie przystąpił i z rozrzewnieniem o ojca pracach wspominając, ze mną się poznawał; ledwie wyniosłem łzy z pokoju na sanie, któremim jechał. Wróciliśmy nakoniec do domu. Deszertowie, którzy dopiero dziś z Kloszewa ku Ozorowi posuwać się mają, bawili jeszcze w Woli. Trzeba

[1]) Józefa Kicińska, córka Piusa i Franciszki z Cieciszowskich, wyszła za Józefa Cieszkowskiego.

[2]) Lucyan Książę Woroniecki, ożeniony z Maryanną Łuszczewską, córką Adama.

było tedy panny bawić i tańce i gry różne były temi zabawami, a nadewszystko tańce. Musiałem próbować, czy je umiem; udało się i na nich już jedna para butów się zdarła«. Joachim Lelewel, przyszły samotnik brukselski, którego zawsze wyobrażamy sobie, jako zgarbionego starca w zawalonej książkami stancyjce, Lelewel, bawiący panny, tańczący aż do zdarcia butów, biorący udział w wesołych grach towarzyskich, to chwila w jego życiu, która się już nigdy nie powtórzy... Że chwila ta wypada właśnie na pobyt wielkiego historyka w Woli Okrzejskiej, w której z czasem przyjdzie na świat twórca Trylogii, jest to okoliczność, która, jako zestawienie, tembardziej staje się dla nas ciekawą...

Lecz jednocześnie, gdy czytamy w listach Lelewela te bezpośrednie odbicia się jego wrażeń, doznawanych w Woli Okrzejskiej, budzi się w nas ciekawość, czy też w twórczości Sienkiewicza dadzą się odszukać ślady jego pobytów w dzieciń每stwie w Woli Okrzejskiej; co w jego nowelach na tle życia wiejskiego, w *Starym Słudze*, w *Szkicach węglem*, a szczególniej w *Hani* (nie mówiąc już o niektórych rozdziałach *Bez dogmatu* i *Rodziny Połanieckich*) genezą swą odnosi się do tej zacisznej wsi na Podlasiu, gdzie mu przecież upłynęła część jego »sielskiego, anielskiego« dzieciństwa. Na to pytanie mógłby dać dokładną odpo-

wiedź sam tylko autor *Krzyżaków*. W każdym razie w jego młodzieńczych *Humoreskach z teki Worszyłły*, w drugiej mianowicie, można wskazać na pewno jeden ustęp, który zdaje się powstanie swe zawdzięczać owym okopom szwedzkim pod Okrzeją. Oto rzeczony urywek: bardzo być może, iż opisując to Złotopole, autor wyobrażał je sobie podobnem do swojej wsi rodzinnej.

»Złotopole ślicznie wyglądało i zblizka i zdaleka. Pałac pański prawdziwie wygodny; za pałacem ogród gracowany w ulice, szumiący odwiecznemi drzewami, za drzewami szeroka i ogromna szyba wody, młyn, tartak, grobla sadzona jarzębiną, po bokach jak okiem dojrzał łany mazowieckie, a na końcu widnokręgu okrawek lasu, czarna szumiąca choina.

— Śliczne to twoje Złotopole! — powtórzył książę Antoni. W którą stronę pójdziemy?

— Chodźmy na okop szwedzki, stamtąd piękny widok.

— Gdzież to jest?

— A za ogrodem, niedaleko stawu.

Panowie, przeszedłszy z pół wiorsty, wyszli z ogrodu i wkrótce ujrzeli porosły wrzosem i chwastem wysoki nasyp ziemny, z którego istotnie otwierał się rozległy widok na okolicę.

— To tu? — spytał Miś. — A istotnie ładny stąd widok.

— To okop szwedzki.

— Skąd się tu wziął?

— Jeszcze od wojen szwedzkich. Tu podobno bronił się mój pradziad Karolowi XII«.

SZKIC DO ŻYCIORYSU HENRYKA SIENKIEWICZA.

»W rodzie moim — pisał raz Sienkiewicz na łamach *Kraju* — przeważały wojskowe tradycye; po mieczu mam przodków żołnierzy. Dziadek mój, Józef Sienkiewicz, podpułkownik byłych wojsk polskich, walczył pod Napoleonem. Od dzieciństwa wzrastałem w tych tradycyach. Starszy mój brat odziedziczył żyłkę wojskową: przed laty wyemigrował do Francyi i w szeregach Garibaldiego zginął podczas wojny francusko-pruskiej. Skłonność do pióra i do literatury mam chyba po kądzieli. Pradziad mój z linii macierzystej, który przez lat 56 nosił biskupią infułę, brat rodzony Adama Cieciszowskiego, pisarza koronnego, a stryja matki Brunona Kicińskiego, pisał i drukował wiele. Moja matka, Stefania Cieciszowska z domu, bawiła się piórem i pisaniem wierszy, a spokrewniona była z Lelewelami i Luszczewskimi; stąd moje kuzynostwo z Deotymą. Ojciec mój wszelako, Józef Sienkiewicz, był ziemianinem; posiadał majętność swoją, Grodki w Radomskiem, później gospodarował w Wężyczynie w okolicach Stanisławowa... Ja zaś urodziłem się w domu babki mojej, w Woli Okrzejskiej, w powiecie łukowskim«.

I.

Urodzony dnia 4 maja 1846 roku w Woli Okrzejskiej na Podlasiu, Henryk Sienkiewicz nie był jedynem dzieckiem swych rodziców. W liście do Karola Sienkiewicza w Paryżu pisał dnia 6 maja 1859 roku Joachim Lelewel z Brukselli: »Sienkiewicza ze Stefanii Cieciszowskiej potomstwa z p i ę c i o r o... Bóg błogosławi![1]). Informacya ta była o tyle niedokładna, że Bóg pobłogosławił ten związek nie pięciorgiem, lecz sześciorgiem dzieci: dwoma synami, Kazimierzem i Henrykiem, oraz czterema córkami: Anielą, Heleną, Zofią i Maryą[2]).

Jak Mickiewiczowi, tak i przyszłemu autorowi *Hani* upłynęło »dzieciństwo sielskie anielskie« na wsi, częściowo w samej Woli Okrzejskiej, częściowo w przyległych Grabowcach, częściowo w Wężycznie, dokąd rodzice jego przenieśli się z Grodków po dokonaniu działów rodzinnych[3]). »Lata dziecięce — pisze sam Sienkiewicz o sobie

[1]) Korespondencya Joachima Lelewela z Karolem Sienkiewiczem. Poznań, 1872, str. 86.

[2]) Prot Lelewel, *Rozrodzona rodzina* (rękopis). Starszy brat Henryka Sienkiewicza, Kazimierz, urodził się 5 lipca 1844.

[3]) Stefan Demby, *Henryk Sienkiewicz*, w *Tygodniku illustr.* z r. 1900 Nr. z d. 10 marca

w *Kraju* — spędziłem na wsi, a i potem, na każde wakacye, jeździłem długo jeszcze na wieś, i dlatego też dobrze poznałem lud i język ludowy. Pierwsze moje wrażenia wsi i przyrody przywiązały mnie do ziemi i do ludu«. Te pierwsze wrażenia, »te lasy sosnowe, te pola szerokie z maćkowemi gruszami na miedzach, te chałupy chłopskie, te wiejskie kościoły, te białe domy w gęstwi sadów«[1]), nigdy się nie miały zatrzeć w kolorystycznej pamięci Sienkiewicza, wielokrotnie odbijając się w jego działalności, zarówno w nowelach z życia chłopskiego, zwłaszcza w *Szkicach węglem*, przy których pisaniu — jak to sam nie omieszkał zaznaczyć — »roił mu się w głowie tłum widzeń, złożonych wyłącznie ze wspomnień«, jak i w opowiadaniach na tle życia dworów wiejskich, zwłaszcza w *Starym słudze* i *Hani*, w której obok scen i sytuacyi zmyślonych, wspomnienia i rzeczy widziane w latach pacholęcych, bodaj czy nie przeważają. Co pewna, że bohater *Hani* nosi imię autora, że jego brat tak samo ma na imię Kazimierz, jak starszy brat twórcy *Quo vadis*, i że jego siostry tak samo są młodsze od swych dwóch braci, jak było w Wężyczynie.

Cokolwiekbądź te lata dziecięce i pacholęce,

---

[1]) Zob. *Żórawie* Sienkiewicza, w *Kuryerze Warszawskim* z d. 1 stycznia 1896.

spędzone na wsi, w atmosferze rodzimej, szczeropolskiej, wśród dworów szlacheckich, jak i wśród chat włościańskich, ta możność ciągłego obcowania z rdzenną szlachtą, jak i z ludem, wszystko to wywarło nader doniosły wpływ na przyszłego pisarza, pod każdym względem dodatnio odbijając się na jego duchowym rozwoju; bo nietylko dostarczyło mu cennego materyału do obserwacyi życia wiejskiego, szlachty i ludu, ale nadto dzięki ciągłemu obracaniu się w najczystszym elemencie lechickim i narodowym, stało się najlepszą szkołą języka polskiego. Co także w tej filologicznej dziedzinie miało znaczenie rozstrzygające, to wczesne zapoznanie się z językiem staropolskim, rozczytywanie się w pisarzach Zygmuntowskiej epoki, których stare wydania znajdowały się w domu, a na których przyszły epik *Potopu* wprawiał się w czytaniu. »Zamiłowanie do literatury — są własne jego słowa — rozwinęły we mnie stare księgi, których pełny kufer znalazłem u babki na strychu, i dzięki im, jako dzieciak jeszcze, zapoznałem się najpierw z pisarzami złotego wieku: Rejem, Kochanowskim, Górnickim, Skargą, Borkowskim, Orzechowskim i innymi. To byli pierwsi moi nauczyciele języka polskiego«. »Nie wiem, nie pamiętam — pisze Sienkiewicz w liście do Ignacego Balińskiego — czy umiałem już czytać, gdy uczono mnie *Śpiewów historycznych* Niemcewicza. Chciałem wówczas jeździć po Cecorskiem polu i po

innych błoniach, jak Sieniawski, »odważny i smutny«; innemi słowy: pragnąłem być rycerzem. Potem rozpalił moją wyobraźnię *Robinzon Kruzoe* i *Szwajcarski*. Marzeniem mojem było osiąść na bezludnej wyspie. Te wrażenia dziecinne zmieniły się z czasem w chęć i zamiłowanie do podróży. Porywy te zdołałem po części w życiu urzeczywistnić. Trzecią książką, która wywarła na mnie nadzwyczajne wrażenie, było ilustrowane *Życie Napoleona*. Od chwili jej przeczytania chciało mi się być wielkim wodzem, pragnienia te przetrwały cały wiek dziecięcy, a nawet część pierwszej młodości. Zdawało mi się, że na polu bitew można zyskać prawdziwą sławę, i nosiłem się z myślą wstąpienia do jakiejś szkoły wojskowej. Przypuszczam jednak, że pociąg do powieści wojennej, który rozbudził się we mnie później, ma swą przyczynę w tych właśnie czasach i wrażeniach. Od dzieciństwa pisałem wiersze i utwory prozą, ale właściwie mówiąc, jako dziecko, nie marzyłem o zawodzie wyłącznie pisarskim. Przyszło do tego jakoś samo przez się, jakby trochę z tego powodu, że inaczej być nie mogło. Jakoż, jakkolwiek zgładziłem w moich powieściach ze świata nie mniej ludzi od Napoleona lub Moltkego, obecnie jednak nic już Europie od mego oręża nie grozi« [1]).

---

[1]) *Wieczory rodzinne* z 5 stycznia 1900 r.

II.

Po pierwszych naukach w domu rodzicielskim w Wężyczynie, na dalszą edukacyę wysłany został Sienkiewicz w roku 1858 do Warszawy, do gimnazyum realnego w Pałacu Kazimierowskim, do klasy pierwszej. Mieszkał, jak przeważna część chłopców ze wsi, na stancyi.

Ten pierwszy rok szkolny zapisał się w jego pamięci następującem wspomnieniem, spisanem dopiero u kresu życia, już w czasie obecnej wojny, na krótko przed ostatnim wyjazdem z Warszawy.

Było to przed laty. Chodziłem wówczas do klasy pierwszej i stałem na stancyi na Starem Mieście, w pierwszym z brzegu domu za Świętojańską. Przez tę też ulicę wiodła najprostsza droga do gimnazyum, które mieściło się tam, gdzie dziś Uniwersytet. Ale wolałem chodzić przez Piwną, z powodu sklepu z ptakami. Istniało tych sklepów kilka obok siebie, po lewym boku ulicy. Na zewnątrz wisiały klatki, a w nich czyże, ziemby, szczygły, słowiki i gile, niekiedy nawet sowy, sójki i kraski. Byli to dobrzy moi znajomi, których widok przypominał mi wieś, a zwłaszcza Boże Narodzenie, gdy z powodu mrozów, to ptactwo, które nie odlatuje na zimę, zbliża się do zabudowań. Wystawałem nieraz przed temi klatkami tak długo, że spóźniałem się na lekcye, co, jak wiadomo, pociąga za sobą rozmaite niemiłe następstwa.

Lecz i Świętojańska miała swoje ponęty, z których największą była Fara. Między uczniami panowało wówczas przekonanie, które podzielali z nami zapewne wszyscy mieszkańcy Starego Miasta i ulic przyległych, że jest to jeden z najwspanialszych kościołów na świecie. Ci, którzy słyszeli coś o kościołach rzymskich, przyznawali, że tam, gdzie mieszka Papież, może jest jaki równie okazały; ale pozatem, gdyby kto chciał zaprzeczać pierwszeństwa naszej Farze, miałby był z nami do czynienia. Nie zaglądałem jednak do Fary przez pobożność, mieliśmy bowiem nasze własne gimnazyalne nabożeństwa, tylko przez ciekawość. Gotyckie żebrowania kościelnej nawy, ołtarze, pomniki, portrety, a zwłaszcza posągi rycerzy w zbrojach, oto co pociągało mnie nadzwyczajnie. Nie przeczuwałem wówczas, patrząc na śpiących obok siebie ostatnich książąt mazowieckich, iż będę opisywał ich przodków w *Krzyżakach*. A wszelako sam nie wiem, czy od tych rozmaitych pamiątek, od tych portretów, od tych pomników, od tych marmurowych twarzy nie wiał wówczas na mnie wiatr minionych wieków sławy, siły, wolności i nie nanosił tych ziarn, które długo leżały mi w duszy, zanim wyrosły z nich moje powieści historyczne.

Lecz zajmował mnie także ogromnie obraz w wielkim ołtarzu, gdyż od dziecinnych lat byłem wielkim miłośnikiem malarstwa. Przedstawia on,

jak wiadomo, na górze Matkę Boską, otoczoną wieńcem aniołów, w dole świętego Stanisława, wskrzeszającego Piotrowina, i świętego Jana Chrzciciela, który oparty o skałę, patrzy z ciekawością i powagą na cud polskiego biskupa. Kto był autorem obrazu, nie pytałem, albowiem nie przychodziło mi wówczas na myśl, aby ten obraz był czemś odrębnem od kościoła, nie zaś jego częścią, która powstała z nim razem przed tysiącami lat. Ale zdumiewało mnie coś innego, a mianowicie obecność Jana Chrzciciela przy wskrzeszeniu. W owych »zacofanych« czasach, chłopcy, zwłaszcza wiejscy, przybywający do gimnazyum, umieli na pamięć *Pielgrzyma z Dobromila* i wszystkie daty z historyi polskiej. Z tego powodu nie mogło mi się w głowie pomieścić, jakim sposobem św. Jan, który chrzcił Chrystusa i któremu ucięto przed wiekami głowę, mógł być w tysiąc ośmdziesiąt jeden lat później w Krakowie, a jeśli był, to dlaczego ani w *Wieczorach pod lipą*, ani w *Pielgrzymie z Dobromila* nie było o tem najmniejszej wzmianki. I to pytanie niepokoiło mnie do tego stopnia, iż nakoniec postanowiłem udać się po odpowiedź do osoby najbardziej kompetentnej, to jest do naszego prefekta.

Był nim stary dziekan, dzielny poczciwy ksiądz o złotem sercu, dawny podobno kapelan wojskowy. Chodziły o nim wieści, iż w swoim czasie pod Stoczkiem szarżował z »białymi rabatami« na ar-

maty i bił, ile wlazło. Nie wiem, co było w tem prawdy, ale to pewna, że przez usta naszego prefekta odzywał się często stary żołnierz i że gdy nam wykładał religię, lub odpowiadał krótko a węzłowato na nasze pytania, zdawać się mogło, że odpowiada żołnierzom. Jego wymowa kaznodziejska była też wprost fenomenalną. Wymawiając naprzykład na kazaniu: »Piotr i Paweł«, najbardziej grzmiąco i patetycznie wygłaszał spójnik *i*. Rzeczy religijne i kościelne kładł nam jak łopatą w głowę, a jeśli który z nas nie uważał, kręcił się lub hałasował w czasie wykładu, ksiądz przywoływał go do porządku następującem naglem pytaniem: »Czy cię ta bąki ćwiczą?« Albo: »Zgrzebłem cię ta skrobią, że wierzgasz?«

Miał jednak opinię uczonego, byłem przeto pewien, że jednem słowem potrafi rozproszyć moje wątpliwości. W tym celu wstałem pewnego dnia podczas wykładu i wyciągnąłem w górę dwa palce: »Proszę księdza prefekta...« »Czego znów?« »A, bo ja się chciałem spytać, jakim sposobem Święty Jan Chrzciciel mógł być obecny w Polsce przy wskrzeszeniu Piotrowina?« »Blekotu się najadłeś, czy co?« »Nie, proszę księdza, tylko u Fary jest obraz, na którym święty Jan patrzy na świętego Stanisława, a że świętemu Janowi ucięli głowę tysiąc lat przedtem, więc nie rozumiem, jak to być mogło?...« »To się go ta spytaj!« Między kolegami rozległ się śmiech, a ja siadłem zawsty-

dzony i rozczarowany. Prefekt pomyślał jednak widocznie, iż nie można na tem poprzestać, gdyż po lekcyi zbliżył się do mnie i rzekł: »Polska była niedawno ochrzczona, rozumiesz?« »Rozumiem«. »To i co ta dziwnego, że duch świętego Jana Chrzciciela zstąpił z nieba zobaczyć, czy się porządnie ochrzciła, rozumiesz?« »Rozumiem«. »A że ta ducha malować nie można, bo go nasze grzeszne oczy nie widzą, to prosta rzecz, że malarz wymalował go w ciele. Naaa!« Oczywiście, sprawa stała się dla mnie odrazu jasną, jak słońce, i anachronizmy, których dużo potem widziałem w rozmaitych galeryach, nie dziwiły mnie wcale. Nie zdziwił mnie nawet w jednej zakrystyi na Podlasiu *landszaft*, przedstawiający pana starostę Kaniowskiego w mundurze obywatelskim województwa, całującego w rękę Pana Jezusa. Od tej pory patrzyłem też bez niepokoju na świętego Jana, obecnego przy wskrzeszeniu Piotrowina.

Co za szkoda, że Sienkiewicz nie spisał więcej takich wspomnień z czasów swego czteroletniego pobytu w 2-giem gimnazyum, że nam w tak mistrzowski sposób, jak tego księdza prefekta, nie scharakteryzował swych innych nauczycieli i przełożonych! Gdyby był opisał swoje czasy szkolne, wtedy niewątpliwie byłby naszkicował także i sylwetkę ciotki swojej, Konstancyi Cieciszowskiej, u której jako młodziutki gimnazyalista bywał nader częstym gościem, a która, kochając go serde-

cznie, była jedną z pierwszych w rodzinie, co w nim przeczuła niezwykłe zdolności autorskie.

U tej to ciotki Cieciszowskiej poznał 13-letni wówczas Sienkiewicz bardzo ciekawego człowieka w osobie Kazimierza Łapczyńskiego, świeżo przybyłego z wygnania na Kaukazie, gdzie jeszcze za Mikołaja I. był zesłany za polityczne przestępstwa (najpewniej za udział w powstaniu 1831 roku). Patryota ten, który dużo przecierpiał dla kraju, był w oczach przyszłego autora *Ogniem i mieczem* otoczony aureolą bohaterstwa; to też ogromnie lubił słuchać jego opowiadań, a gdy Łapczyński zaczął prawić różne dykteryjki o Moskalach, mały Henryczek zapłakiwał się ze śmiechu.

Jak dalece Łapczyński umiał sobie pozyskać zaufanie młodego a wrażliwego chłopca, o tem najlepiej świadczy fakt, że Sienkiewicz, który już wtedy próbował pisać i tworzyć, jemu któregoś dnia dał do przeczytania jeden ze swych młodocianych utworów, prosząc o zdanie i krytykę. Jakież musiało być zdumienie Łapczyńskiego, gdy zapoznawszy się z rękopisem, znalazł w nim rodzaj traktatu na temat... oswobodzenia Polski! Ponieważ przy panującym ucisku — dowodził młody statysta — Polacy nic zdziałać nie mogą, więc niechaj opuszczą kraj, przeniosą się do Ameryki, tam niech pracują, wzrastają w siłę, niech wreszcie utworzą armię i wtedy wrócą do Polski, by z niej wypędzić wroga. Łapczyński nie zlekcewa-

żył tego patryotycznego projektu, zwrócił tylko młodziutkiemu twórcy uwagę, iż gdyby Polacy masowo kraj opuścili, to za powrotem nie znaleźliby tu już miejsca dla siebie. Na zakończenie dysputy o tej kwestyi dodał: »Dobrze, że myślisz o tych rzeczach. Myśl tak zawsze, a może kiedyś coś dobrego z tego wypadnie«.

W każdym razie, był to wymowny dowód, że przyszły autor *Trylogii* już jako 13-letni chłopczyna kłopotał się o sprawy ojczyste, i że mu już wtedy leżała na sercu sprawa Polski ujarzmionej, pozbawionej warunków swobodnego rozwoju i rozkwitu [1]).

Ale młody gimnazista, choć czuł tak patryotycznie, a myślą ogarniał tak szerokie widnokręgi, daleko mniej okazywał zapału, gdy chodziło o zwykłą naukę szkolną. Pod tym względem wcale nie mógł być przykładem dla innych, bo wogóle uczył się średnio, tyle tylko, iż przechodził z klasy do klasy, a i to nie zawsze z łatwością.

Mieszkając przez cały rok szkolny w Warszawie na stancyi, jak Henryk w *Hani*, tylko na święta Bożego Narodzenia i na wakacye w lecie jeździł na wieś do rodziców, a wspomnienia tych wakacyi, spędzanych w Wężyczynie pod dachem

---

[1]) Szczegółu tego dostarczyła *Głosowi Narodu* ze stycznia r. 1917 pani Marya Dąbrowska w artykuliku: *Ze wspomnień o Sienkiewiczu*.

rodzicielskiego domu, odbiły się w niejednym z jego późniejszych utworów, a przedewszystkiem w *Hani*, gdzie jeden z takich jego powrotów przedostał się w następującej formie: »Nadbiegł ksiądz Ludwik i Kazio, który o miesiąc wcześniej przyjechał ze szkół na wakacye. Wtem z drugiego pokoju rozległ się tętent bosych nóżek i wpadły dwie moje małe siostrzyczki w koszulkach tylko i czepeczkach, powtarzając: »Henliś psijechal! Henliś psijechal!« i wskoczyły mi na kolana«. Miejsc takich, będących wiernem odbiciem wspomnień Sienkiewicza z czasów szkolnych, znajduje się w *Hani* sporo. Obfituje w nie także i jego późniejsze znacznie opowiadanie o *Żórawiach*, których klekot, gdy raz usłyszał na drugiej półkuli, »przypomniało mi się — pisał — żem w podobne odgłosy wsłuchiwał się nieraz, gdym dzieckiem jeszcze, za szkolnych czasów, jeździł do domu na wakacye«. Ferye te bowiem, spędzane na wsi, gdy w dzień biegało się po polach, strzelało do ptactwa, jeździło konno, błąkało po lesie etc., wieczorami zaś, siedząc przy kominie, gawędziło się w kółku rodzinnem, słuchało ojcowskich opowiadań z dawnych lat, niezatarcie wyryły się w jego pamięci. »Dzisiaj — czytamy w *Hani* — kiedy przypominam sobie podobne wieczory, nie umiem oprzeć się rozrzewnieniu. Wiele fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu, a jednak pamięć skrzydlata ustawicznie

przesuwa mi przed oczyma podobne obrazy dworu wiejskiego, cichej nocy letniej, i takiej rodziny zgodnej, kochającej się, szczęśliwej: stary, posiwiały weteran opowiada tam o dawnych życia kolejach, u młodych skrzą się oczy, dalej jedna twarzyczka, jak kwiat polny...«

III.

W roku 1862, po skończeniu czterech klas w szkole realnej, przeniósł się Sienkiewicz do klasy 5-tej w nowoutworzonem gimnazyum 2-giem w pałacu Staszyca »pod Kopernikiem«, gdzie pozostawał do roku 1864. Klasa była przepełniona, bo liczyła 150 uczniów. Tutaj kolegując z Konradem Dobrskim, z którym niebawem zaprzyjaźnił się serdecznie, o ile »zaniedbywał się« w innych naukach, w łacinie naprzykład, w języku rosyjskim, w chemii, o tyle pilnie przykładał się do języka polskiego, tak, że niebawem stał się ulubieńcem Wojciecha Grochowskiego, wykładającego w V klasie ten przedmiot. Była to niewątpliwa oznaka, że w młodym piątoklasiście budził się już przyszły pisarz, że w nim nad wrodzoną pilnością zaczęły brać górę upodobania literackie. Bo nie z lenistwa zaniedbywał się w rzeczach szkolnych, ale dlatego, ponieważ rwał się do książek, nic ze szkołą nie mających wspólnego, a które

dawały pożądaną karm jego wyobraźni. »Nigdy nie byłem celującym uczniem — pisał z czasem o sobie — ani w szkołach początkowych, ani w gimnazyum; byłem czem innem zajęty: czytałem powieści. Bardzo często, gdy trzeba było się uczyć, ja zagłębiałem się w Walter Scocie lub Dumasie. Było to z korzyścią dla mnie: miałem pociąg do tego i czyniłem zawsze to, co mi najwięcej dogadzało« [1]). A że już wtedy — jak o nim świadczy Prus — »miewał widzenia skrzydlatych rycerzy i ich bojowych trudów, które później skrystalizowały się w *Trylogii*« [2]), więc jedynymi przedmiotami w szkole, których nauka »dogadzała mu«, bo w niej znajdował przyjemność i upodobanie, były historya i literatura polska, oraz język polski. W tej dziedzinie rychło wybił się ponad swych rówieśników, a jego wypracowania, pisane doskonałym stylem i językiem, stały się sławnemi w klasie. Pisał je łatwo, *ex abrupto*, tak, że w tem nawet wyręczał mniej zdolnych kolegów, mających o wiele trudniejsze pióro, a zwłaszcza nie mogących się pochlubić taką, jak on, literacką inwencyą.

Zdarzyło się raz, iż profesor Grochowski zadał

---

[1]) Jeremiasz Curtin, *Moje znajomości z Sienkiewiczem Tygodnik Illustr.* w marcu 1888 r.

[2]) Pisze o tem Prus na podstawie opowiadania dr. Dobrskiego w *Kronice tygodniowej* z 8 grudnia 1896 r. w *Kuryerze codziennym.*

do wypracowania klasowego następujące dwa tematy do wyboru: 1) »Mowa ucznia, kończącego gimnazyum, do nauczycieli i kolegów po otrzymaniu świadectwa dojrzałości«, i 2) »Mowa Żółkiewskiego do rycerstwa polskiego pod Cecorą«. Sienkiewicz chcąc dopomódz dwom mniej zdolnym kolegom, (jednym z nich był syn Moniuszki), napisał dla każdego z nich wypracowanie na pierwszy temat, co mu zajęło dobre pół godziny. Na uwagę siedzącego przy nim Dobrskiego, iż za dużo czasu poświęca kolegom, a zapomina o sobie, odrzekł: »Dla siebie opracuję temat drugi. Żółkiewski dłużej nad dziesięć minut wśród wrzawy wojennej mówić nie mógł i mnie tyle czasu pozostaje, więc zdążę jeszcze«. I zdążył istotnie. Cała mowa bohaterskiego wodza zawierała zaledwie dwadzieścia wierszy pisma, ale była tak skończenie piękna, że przeniesiona w inne czasy, śmiało by mogła figurować w którejkolwiek z późniejszych sienkiewiczowskich powieści historycznych [1]). Lapidarne to, prawdziwie rzymskie przemówienie kończyło się słowy: »Jezus Marya, hajże na wroga!« Szczegół charakterystyczny, iż

---

[1]) Pisząc z czasem *Potop* w Mentonie, mówił Sienkiewicz swemu dawnemu koledze ze szkolnej ławy, Stanisławowi Skarzyńskiemu, że wypracowanie to stało się w jego umyśle zaczątkiem *Trylogii*. Zob Stan Skarzyńskiego *Wspomnienie z ławy szkolnej* w *Kuryerze Warszawsk'm* z 3 grudnia 1916.

prof. Grochowski, naprzód przeczytawszy wypracowanie Moniuszki, przyznał mu pierwszeństwo nad innemi; dopiero przeczytawszy ćwiczenie Sienkiewicza, zmienił zdanie, uznając je za najlepsze ze wszystkich. Trzecie wypracowanie Sienkiewicza, napisane dla drugiego z kolegów, również zostało wyróżnione zaszczytnie.

W VI-ej klasie wykładał język i literaturę polską znakomity historyk, Julian Bartoszewicz. Wpływ jego na Sienkiewicza, jako na przyszłego autora powieści historycznych, niewątpliwie był bardzo korzystny. Bartoszewicz odrazu poznał się na wyjątkowem uzdolnieniu tego ucznia. Gdy na Boże Narodzenie wszyscy uczniowie złożyli mu ćwiczenia, skreślone na dowolnie obrany temat, natychmiast wyróżnił świetnie pod każdym względem napisane wypracowanie Sienkiewicza, przywołał go do katedry i miał z nim dłuższą rozmowę. A na sesyach nauczycielskich, gdy inni profesorowie niekorzystnie wyrażali się o Sienkiewiczu, jako wcale nie wzorowym uczniu, Bartoszewicz zawsze bronił go żarliwie, podnosząc jego niewątpliwe zdolności stylistyczne.

W *Kuryerze Warszawskim* z 18 stycznia 1901 roku ukazał się w felietonie artykuł podpisany inicyałami I. U. a zatytułowany *Sienkiewicz w szkole*. W artykule tym, opartym na dokumentach, czytamy między innemi: »Języki nowożytne nie były obowiązujące i Sienkiewicz się ich w gi-

mnazyum nie uczył. Z języka łacińskiego autor *Quo vadis* miał trójki, a nawet na jeden kwartał dwójkę. Z języka rosyjskiego w klasie V i z chemii w klasie VI robił niedostateczne postępy, ale mierny stopień z jednego przedmiotu nie przeszkadzał według przepisów ówczesnych do otrzymania promocyi. Wybitne zdolności ujawniał tylko w nauce historyi powszechnej i w języku polskim, z których miał przeważnie stopnie celujące, z historyi polskiej w klasie V-tej miał również stopnie celujące, te jednak spadły na dostateczne w klasie VI, gdy wykład objął znany historyk Julian Bartoszewicz... W porównaniu z innymi kolegami, o ile można sądzić ze stopni, postępy Sienkiewicza nie zwracały szczególnej uwagi nauczycieli... Rektorem gimnazyum II podczas bytności w niem Sienkiewicza był Pankiewicz w r. 1862, a od 17 stycznia 1863 r. Rogiński. Nauczycielami byli: Ks. Wojno religii, Kudasiewicz polskiego, Oleszkiewicz rosyjskiego, Izdebski i Popłoński języków starożytnych, Thieme matematyki i fizyki, Rogalewicz chemii, Bogucki historyi naturalnej, Grzybowski historyi powszechnej«.

W roku 1863, po sprzedaniu Wężyczyna, przenieśli się rodzice Sienkiewicza na stały pobyt do Warszawy, gdzie kupili mały dom na Pradze. Tym sposobem i autor *Hani* już odtąd nie potrzebował mieszkać na stancyi.

IV.

Po otrzymaniu promocyi z klasy VI do VII przeniósł się Sienkiewicz (wraz ze swym serdecznym przyjacielem Dobrskim) do gimnazyum IV, tak zwanego gimnazyum Wielopolskiego, mieszczącego się przy ulicy Królewskiej i tu, złożywszy świadectwo z ukończonych sześciu klas, wydane mu w gimnazyum II przez rektora Rogińskiego, a datowane dnia 13 października 1864 roku, przyjęty został bez egzaminu do klasy VII.

Uczył się nieszczególnie, a tak dalece był znudzony nauką szkolną, że już w listopadzie nosił się z myślą porzucenia gimnazyum, aby wstąpić odrazu na kursa przygotowawcze Szkoły Głównej, lub też zdawać potrzebne egzamina, po których by mógł zapisać się na wykłady uniwersyteckie. Ale jakoś poniechał tego zamiaru, a tymczasem o ile wcale nie należał do celujących uczniów, bo opuszczał się coraz bardziej, o tyle z zapałem studyował Homera i Szekspira. »W gimnazyum Wielopolskiego — opowiada w swej notatce biograficznej w *Kraju* — dorwałem się do Homera i Szekspira i w tych dwóch rozmiłowałem się tak, iż do dzisiejszego dnia uznaję ich za moich najulubieńszych autorów«. Z Szekspirem poznał się już w czternastym roku życia, ale początkowo nie mógł się w nim rozsmakować. W Homerze, zwłasz-

cza w *Odyssei* w przekładzie Siemieńskiego, który uważał za jeden z najwspanialszych pomników języka polskiego, rozczytywał się z nigdy nie słabnącym zachwytem. *Iliadę* cenił niemniej wysoko, tylko jej polski przekład Dmochowskiego nie zadowalał go w należytym stopniu, a za mało umiał po grecku, by rozkoszować się pięknościami oryginału. Trzecim poetą, którym się zachwycał w tych czasach, był Słowacki, przedewszystkiem jako autor *Beniowskiego* i *Lilli Wenedy*. Jednocześnie z wielkiem rozmiłowaniem rozczytywał się w dziełach Karola Szajnochy, przedewszystkiem w *Jadwidze i Jagielle*, co z pewnością nie pozostało bez wpływu na przyszłego autora *Krzyżaków*. Naturalnie, że oprócz tego ciągle czytał mnóstwo powieści, w pierwszym rzędzie Kraszewskiego, którego był ogromnym wielbicielem.

Ale nietylko rozczytywał się w powieściach. Pisał je również sam. Dość powiedzieć, że do roku 1865 był autorem już czterech powieści, z których wprawdzie żadnej nie doprowadził do końca, które jednak, mimo swej fragmentaryczności, w »krytyku« Dobrskim zdołały obudzić przekonanie, że w Sienkiewiczu tkwi materyał na powieściopisarza. Bo cokolwiek miał im do zarzucenia, zawsze w nich widział talent, łatwość pisania, ładny, barwny język, doskonały styl i polszczyznę bez zarzutu. Zdaje się jednak, że najmniej go zadowalała fabuła tych powieści, albowiem przyszło

mu na myśl, żeby we dwóch napisali jakiś utwór powieściowy, przyczem on chciał obmyśleć treść, a Sienkiewicz miał przyoblec ją w konkretne kształty. Wynika to z jednego listu Sienkiewicza do Dobrskiego z r. 1866, gdzie mu tak pisze między innemi: »Przypomnij sobie, jak pewnego razu rzuciłeś projekt, aby razem pisać jaką powiastkę. Prawda, że wtedy miały nam przypaść różne role względnie do tych, które dziś przybieramy, ty bowiem miałeś wymyślić rzecz samą, a ja miałem ją obrobić« [1]).

Gdy nadszedł koniec roku szkolnego, a więc czerwiec roku 1865, Sienkiewicz opuścił gimnazyum, wcale nie przystąpiwszy do egzaminów ostatecznych. Niedość pewny siebie, czyby teraz zdołał otrzymać świadectwo dojrzałości, zdecydował się odłożyć to na później, a przedtem przygotować się należycie.

V.

W sierpniu 1865 roku wyjechał 19-letni Sienkiewicz »na kondycyę« na wieś do państwa Weyherów, mieszkających w Poświętnem pod Płońskiem, ażeby tam, w roli guwernera ich synka,

---

[1]) Stefan Demby, *Fragment z życia Sienkiewicza*. Zob. *Kuryer Warszawski* z 19 listopada 1916.

wśród spokoju i ciszy wiejskiej, przygotować się do egzaminów na patent gimnazyalny, bez którego nie mógł myśleć o wstąpieniu do Szkoły Głównej.

Jako dziecko wsi, czuł się w Poświętnem doskonale. Przedewszystkiem był zachwycony parkiem i jego cudnymi zakątkami. Oto, jak go już w parę dni po przybyciu opisał w liście do Dobrskiego i innych kolegów:

Wystawcie sobie dziewiczy australski las; środkiem stoi woda, cała tak pokryta rzęsą, że ani kropli czystej nie widać, i woda ta ciągnie się długo a wązko między ogromnemi drzewami świetnej także zieloności. Około gałęzi i pni drzew wije się niezliczone mnóstwo pnących roślin, dzikiego wina, chmielu i innych, które plącząc ze sobą zielone warkocze swoje, tworzą pyszne girlandy, rotundy i jakby wodospadem zieloności spływają w spokojną i zieloną także wodę. Cisza tam taka, że usłyszeć można każdy szmer liścia; czasem tylko czysty głos wilgi przerwie ten uroczy spokój i tęskne obudzi uczucia, albo pukanie dzięcioła tajemniczem echem odezwie się po lesie. Słońce tam nie dochodzi, tylko przebija przez zieloną obsłonę i jej kolorem barwi swoje promienie; a te zielone promienie rzuca na czarne pnie, ziemię szarą i twarz podróżnika: słowem, tam jest panorama zieloności.

Czytając ten kolorystyczny opis, mimowoli myśli się o opisowej stronie *Listów z Afryki.*

Mając dużo wolnego czasu, bo ani obowiązki guwernera nie były zbyt ciężkie, ani przygotowanie do egzaminów nie pochłaniało go nadmiernie; już we wrześniu, gdy przyszła kolej na dłuższe wieczory, zaczął przyszły autor *Pamiętników poznańskiego nauczyciela* pisać powieść pod tytułem *Ofiara.*

Oto, co o niej donosił w liście z dnia 24 września 1865 roku Dobrskiemu:

Piszę zaciekle powieść, ale śmiać mi się chce z tych głupstw, które tam się w niej mieszczą. Wystaw sobie, piszę jaki kawałek tkliwy, czuły a ognisty, wyrzekający na losy i ustawy świata. Pióro skrzypi, ja mam minę niezmiernie przejętą własną wielkością i, słowo daję, zdaje mi się, iż nie wiem, jakie arcydzieło tworzę, ósmy cud świata.

Piszę zwykle wieczorem, na drugi dzień z rana wstaję i pierwszą moją myślą jest przeczytać słowa, które mnie mają postawić w liczbie pierwszorzędnych talentów autorskich. Czytam więc i po przeczytaniu nieraz śmiechem parskam i sam sobie się dziwię, jak coś podobnie głupiego mogło wyjść z mojej głowy. Doświadczysz tego, ręczę, jeśli kiedy weźmiesz się do pisania. Zresztą takie tam trudności, iż

człowiek mało nie zwaryuje. Nie wiem, co moi bohaterowie i moje bohaterki mają do siebie mówić, jak mają trzymać ręce, głowy, nogi i inne organiczne członki. Nie wiem, jak przejść z dyalogu do opisu, z opisu do rozumowania, słowem, jestem czasem, jak tabaka w rogu.

Ale nie zrażając się temi technicznemi trudnościami, świadczącemi jeszcze o jego wielkiem niewyrobieniu, pisał dalej, a d. 28 września, w cztery dni po wysłaniu poprzedniego listu, tak się zwierzał swemu przyjacielowi w Warszawie:

Moja powieść idzie teraz łatwiej. Nie biedzę się przynajmniej z formą, w jakiej mam treść wyrazić. Napisałem już blizko 12 arkuszy, więc się wprawiłem. Naturalnie zawsze paskudna, niezręczna, bez znajomości człowieka i rzeczy ludzkich zrobiona, ale piszę ją jednak co wieczór, chociaż dla wprawy.

W grudniu powieść była już skończona. Przesyłając ją do przeczytania Dobrskiemu, dołączył do niej Sienkiewicz następujący list:

Posyłam ci moją powieść pod tytułem *Ofiara*. Ja zacząłem coś i skończyłem? Sam nie mogę przyjść do siebie z radośnego zadziwienia i wyznać ci muszę, że kiedym wyczytał wyraz k o n i e c na piątym arkuszu, byłem prawie dumny z siebie. Nie dlatego, iżby powiastka ta miała jakąś wartość szczególną, broń

Boże! Cieszyłem się z tego powodu, że z pięciu rozmaitych powieści, jakie zacząłem, pierwszą skończyłem zupełnie. Wracam teraz do samej powiastki. Naprzód muszę ci powiedzieć, że to jest dziecię chorowitej wyobraźni mojej, które pewnego dnia, mniejsza o datę, zaczęło się szarą godziną pod piecem, a w dwa dni później ujrzało już światło dzienne. Jest to malowidło jaskrawe, jak wszystko, co wyjść może z pod mego pióra. Bohater na początku skacze, w środku się uczy, a pod koniec płacze. Bohaterką jest córka budowniczego, nad której jednak charakterem nie rozpisywałem się bardzo, chcąc cały ciężar utrzymania powieści zwalić na bohatera samego. Ale największą wadą tej powieści jest nieproporcyonalność składowych jej części do całości — zresztą — sam to zobaczysz. Pomimo najłatwiejszej formy powieściowej, to jest, opowiadania, nie potrafiłem uniknąć właściwych tej formie powtarzań się i nudnej jednostajności stylu. Trudno bo zresztą było, pisząc prędko i na czas oznaczony, Henryk bowiem dziś wyjeżdża, wyminąć się ze wszystkiemi następstwami prędkiego pisania. Gdybym miał więcej czasu, ociosałbym toporem zastanowienia te wszystkie chropowatości, które mogą razić delikatny smak czytelnika. Że jednak muszę się śpieszyć z oddaniem, tobie to zostawiam.

Że jednak i ta rzecz, którą ci posyłam, pomyślana jest nieźle, zrób więc, jeżeli masz czas, stosowne na ten temat waryacye, rozwałkuj ją na kilkanaście arkuszy, a wtedy może wyjdzie coś podobnego do ludzi. Nie radzę ci jednak zmieniać formy, ani nawet przerabiać w zupełności, bo ręczę ci, że spotkasz trudności, jakich nie przewidujesz. W takiej formie n. p., gdzie ktoś przedstawiony przez autora, opowiada rzecz samą, nie tak bardzo razi owo nudne: rzekł, powiedział, w te odezwał się słowa i t. p. Co innego, gdy powieść wypływa z akcyi osób działających, wtedy trzeba się ogromnie pilnować prawideł powieściowych, których my, na nieszczęście, nie znamy wcale, bo, jak wiesz, nauki prozy, prócz wymowy, nie przechodziliśmy z Helladą [1]). Jak napisałem, pomyślałem też sobie, jakie wrażenie zrobi moja praca na znajomych kolegach. Przyszły mi głównie trzy osoby na pamięć, a temi są: Grochowski [2]), Strzałkowski i Fagoński [3]). Grochowski powiedziałby owo swoje lapidarne:

[1]) Nauczyciel Cypryan Izdebski, przezywany przez uczniów H e l l a d a.

[2]) Nauczyciel języka polskiego w 2-giem gimnazyum.

[3]) Koledzy gimnazyalni Sienkiewicza, którym widocznie, obok Dobrskiego, czytywał swoje poprzednie utwory.

»Dobrze«, Strzałkowski zachwycałby się, a Fagoński obcierałby łzy, płynące z jego tkliwych oczu i ciężkiemi westchnieniami przygrywałby podczas antraktów, t. j. między peryodami. Ty, Sławiński [1]), et comp. jesteście krytycy i gotowiście suchej nitki na człowieku nie zostawić, ale ja, bijąc w to, że to jest pierwszy utwór młodocianego autora, powtórzę w takim razie za Słowackim: »Krytykom, jak psom, rzucam parę kości«, z *Beniowskiego* mądre słowa, ale trudno się czasem do nich zastosować, zresztą powiedzieć je może tylko ten, kto ma śmiałość wyrzec: »Ja syn pieśni, syn królewski«, a ja ani jedno, ani drugie: bo poezyi nie piszę, a mój ojciec nie jest wcale królem, tylko skromnym obywatelem Pragi. Jedno od drugiego dosyć daleko.

Nowych planów do powieści przelatuje mi tysiące przez głowę, żeby nie szkoda było czasu, tobym was zasypał moimi utworami. Zbladł i zniknąłby Kraszewski«.

W kilka dni później, ciekawy, co powie Dobrski o jego powieści, napisał mu nowy o niej list, przez to charakterystyczny, że w nim przyszły autor *Listów o Zoli* już teraz występował stanowczo, jako przeciwnik nadmiernego realizmu

---

[1]) Kolega gimnazyalny Sienkiewicza.

w sztuce, głoszonego przez pozytywizm, a jednocześnie jako zwolennik idealizmu, hołdujący prawdzie życiowej, ale uszlachetnianej wyborem artystycznym. O ten ideał był zdecydowany kruszyć kopię, choćby to nawet miało niepodobać się krytyce. Jednem słowem, już marzył o roli pisarza i bojownika pewnej idei, już się widział na niwie literackiej, pracującego dla dobra literatury polskiej.

Samą *Ofiarę* poświęciłem, jak owo jagnię białorunne, na ofiarę Minerwie, satyrom i innym tego rodzaju bóstwom. Przyjdzie jednak czas, w którym wydam wojnę tym siłom, i chociaż przewiduję burzę, nie spodziewam się, ażeby olimpijskie pioruny krytyków miały mnie, blizkiego nieba, strącić znów do jego podnóża. Wybacz, może cię razi moja werwa klasyczna, ale dziś właśnie tłómaczyłem Cezara...

Dziś przynajmniej sądzę, że jeżeli teraz jeszcze nie mam dość siły, to ją mieć muszę, a zdobędę ją przez ciągłą pracę nad sobą, przez ciągłą walkę wewnętrzną, która zahartuje moją wolę i postawi silnym do walki na śmierć i życie, jaką kiedyś pragnę podjąć w imieniu idealizmu.

Dziś jestem słaby; zwycięstwo byłoby dla mnie niepodobnem. Ale chcę dlatego walczyć

w imieniu tego, co nazywają idealnem, pięknem i dobrem. Idealizm, piękno i dobro są, zdaje mi się, pojęcia zbliżone do siebie bardzo. Proza więc życia, mówiąc o życiu ducha, które dziś pod nogami realizmu, musi pociągnąć wiele złego, wiele brudu i głupoty, dlatego powtarzam, chcę walczyć przeciwko takiemu życiu.

Nie pragnę jednak rozegzaltować ludzkości, ażeby pienia poetów na pierwszym kładła planie, a nie zważała na nędzę fizyczną, nie! tego nie chcę, bo podzielam zasadę: zdrowy duch w zdrowem ciele, ale chcę coś idealniejszego, coś szlachetniejszego pierwiastku przymieszać do codziennego, tak zwanego praktycznego życia. Naturalnie, że te dwa światy chcę pogodzić naprzód, a może nawet jedynie w sobie; czy mi się to uda? – Bogu wiadomo. W każdym razie zostawiłbym przykład, że można tak żyć, jak ja...

A że już w przyszłym noweliście i autorze *Rodziny Połanieckich* tkwił i powieściopisarz historyczny, wzorujący się na Walter Scocie i Dumasie, o tem niezbicie świadczy następujący urywek z tegoż listu do Dobrskiego:

Zapomniałem ci powiedzieć, że mam zamiar napisać szkic historyczny pod tyt. *Spytko z Melsztyna*, będzie to pół powieść, pół histo-

rya. Przedmiot dosyć się nadaje. Opisów mogę wsadzić mnóstwo, ale trzeba mieć trochę więcej źródeł, niż ja mam do tej pory. Dużo jest wprawdzie materyału w *Jadwidze i Jagielle* Szajnochy, ale zawsze nie tyle, co potrzeba. Bądź więc łaskaw zobaczyć w III tomie *Biblioteki Warszawskiej* z r. 1844. Tam zdaje mi się jest artykuł Michała Balińskiego p. tyt. *Spytko Melsztyński i ród jego.* Jeżeli znajdziesz, to jak przyjadę, porobię sobie wypisy.

Z tego szczególnego zainteresowania się figurą i epoką Spytka z Melsztyna miał z biegiem lat, po długiej ewolucyi twórczej, zrodzić się pomysł do wielkiej powieści historycznej o *Krzyżakach*.

VI.

Tymczasem, w połowie roku 1866, po kilkunastomiesięcznym pobycie w Poświętnem, wrócił Sienkiewicz na stały pobyt do Warszawy, przedewszystkiem dla otrzymania matury, a następnie, by wstąpić do Szkoły Głównej. Po szczęśliwem zdaniu egzaminów, gdy przyszło decydować się na wybór rodzaju studyów, niewątpliwie, gdyby to zależało od niego wyłącznie, byłby się zapisał na wydział filozoficzny, jako najbardziej odpowiadający jego aspiracyom literackim; ale rodzice, którzy w pierwszym rzędzie praktyczne cele mieli

na widoku, zdołali go nakłonić, że poszedł na medycynę, choć do niej nie czuł najmniejszego pociągu. Ale czego się nie robi dla rodziców!

Lecz niedługo popasał na tym wydziale. Przekonawszy się, a przekonawszy także rodziców, że nie to jest jego powołaniem, już na początku roku 1867 przeniósł się na wydział filozoficzno-historyczny na sekcyę historyczną[1]), ażeby sobie zdobyć potrzebne ostrogi dla przyszłej pracy na polu literackiem.

Zostawszy studentem, już nie mieszkał z rodzicami, lecz sam z paru kolegami. W *Gazecie Polskiej* z grudnia 1900 r. między różnemi wspomnieniami o Sienkiewiczu znalazło się także i *Echo z czasów studenckich*, którego początek przynosił następujący przyczynek do tej warszawskiej epoki w życiu autora *Hani:* »W kamienicy, wówczas Rychłowskiego, mającej trzy fronty na ulice: Wielką, Sienną i Ślizką, w dużym pokoju na 2 piętrze mieszkało 4 studentów. Jednym z nich był Sienkiewicz, najstarszy z tego grona. Był on wówczas studentem pierwszego kursu wydziału historyczno-filologicznego w Szkole Głównej. Z trzech pozostałych, dwaj bracia, Kazimierz i Leon G., chodzili do 6-ej klasy gimnazyum Mieszanego, na Zielnej, czwarty, Julian G., był

[1]) Wydział historyczno-filologiczny Szkoły Głównej składał się z trzech sekcyi: historycznej, filologii klasycznej i języków słowiańskich.

uczniem konserwatoryum. Sienkiewicz był wtedy młodzieńcem średniego wzrostu, o ściągłej smagłej twarzy, ciemnych oczach, usposobienia łagodnego. Ubierał się skromnie. W domu bywał mało i jeśli pracował, to również nie w domu, gdzie towarzysze nie widzieli go, żeby czytywał lub pisywał. Natomiast, wróciwszy do domu wieczorem, po całodziennej niebytności, grywał czasami na fortepianie Julka G., lub śpiewał, sam sobie akompaniując«.

W Szkole Głównej, w ciągu trzech lat, słuchał Sienkiewicz takich profesorów, jak: Kowalewski, Plebański, Przyborowski, Tyszyński, Lewestam, Pawlicki i paru innych. Najbardziej korzystał na wykładach Przyborowskiego. Oto, co o tych wykładach pisze jeden z kolegów Sienkiewicza, który na nie uczęszczał z nim razem: »Na wykłady prof. Przyborowskiego chodzono ze zdwojoną gorliwością. Profesor czytał fonologię, morfologię i etymologię języka polskiego. Wykład był jasny, prosty, spokojny, ściśle naukowy, nie zabarwiany stylem, ni żadnemi apostrofami. Był to wykład uczonego profesora niemieckiego, mający na celu samą naukę i nic więcej. Ale właśnie ta naukowa podstawa, ta ścisłość, nie dopuszczająca żadnych zboczeń, otoczyła wykłady, profesora i katedrę niezwykłą powagą. Czuliśmy, że to, co słyszymy jest nauką w europejskiem znaczeniu tego wyrazu, że to i na słuchaczów rzuca pewien odbłysk uczo-

ności, że to jest coś prawdziwie uniwersyteckiego: więc, gdy i sam przedmiot pociągał nas niewymownie, pracowaliśmy z zapałem. Z tej garści filologów, która zapisana była wówczas do Szkoły Głównej, nie brakło na lekcyi Przyborowskiego nigdy nikogo. Lekcye odbywały się wieczorem przy świetle gazu; pamiętam, jak dziś, twarze nieicznych moich kolegów, którzy schyleni nad zezytami notowali skwapliwie, i profesora na katedrze, czytającego głosem spokojnym, jednostajym. W audytoryum panowała prawdziwie filoogiczna powaga. Korzystaliśmy niezmiernie wiele«[1]. Niemniej pouczającemi były prelekcye Tyszyńskiego, wykładającego historyę literatury polskiej, lub Lewestama, mówiącego o literaturze powszechnej. Kowalewski i Plebański wykładali historyę powszechną, Pawlicki filozofię grecką średniowieczną, Struve logikę. Prócz nich wykładali jeszcze docenci: Pawiński historyę, Bełciowski literaturę.

Ponieważ była to epoka t. zw. pozytywizmu warszawskiego, którego głównym apostołem mieił się *Przegląd Tygodniowy* Wiślickiego, więc oza studyami uniwersyteckiemi, głównie ograiczającemi się do wykładów z dziedziny języka, istoryi i literatury polskiej, ulegał teraz Sienkieicz wpływowi ówczesnej literatury pozytywisty-

---

[1]) *Słowo* Nr. 65 z 23 marca 1882 r.

cznej, zwłaszcza, iż w samej Szkole Głównej gnieździło się największe zarzewie pozytywizmu, a to dzięki takim młodym wyznawcom tej doktryny, jak Świętochowski, Chmielowski, Ochorowicz, Kotarbiński, Głowacki (Prus) i jeszcze kilku innych. Autor *Ofiary* jednak, zaczytany w Dickensie, a zwłaszcza w Szekspirze, w *Hamlecie* i seryi Henryków w Falstaffem, do którego czuł szczególną predylekcyę, trzymał się trochę zdaleka od tego obozu młodych bojowników pozytywizmu, i — jak świadczy Prus — »nie należał do żadnej partyi, gdyż partye szukają użyteczności, a on, jako artysta, szukał tylko piękna. Dla tego piękna stale pochylał się ku przeszłości, gdyż ona wydaje się piękną, i czuł pociąg do klas d o b r z e u r o d z o n y c h, które bądź co bądź są ekstraktem życiowego piękna«[1]). Ten ówczesny pociąg 20-letniego Sienkiewicza do krwi błękitnej, w każdym razie charakterystyczny w tym czasie demokratycznych prądów wśród młodzieży warszawskiej, podkreśla także i Świętochowski, który w swem wspomnieniu o Sienkiewiczu z tych lat uniwersyteckich pisze o nim w następujący sposób: »Śród bogatego roju młodzieży, dojrzewającego w ulu Szkoły Głównej, wcześnie wyróżniały się różne gatunki pszczół: widziałeś leniwe trutnie, widziałeś pracownice, widziałeś matki, które kiedyś królować

[1]) *Kuryer codzienny*. Kronika tygodniowa z 8 grudnia 1896 r.

niały. Rozwój umysłowy biegł szybko, zdolności też zarysowywały się wyraźnie. Prawie każda wybitniejsza tam głowa nie zniżyła się później pod średnią miarę. Z ostatniego trzechlecia szkoły Chmielowski, Głowacki, Ochorowicz, Rajchman, Kotarbiński i inni, którzy w niej przerastali towarzyszów, albo nie zawiedli wróżb dobrych, albo je nawet przekroczyli daleko. Był wszakże w komplecie grona wydziału historyczno-filologicznego student, który niczem nie zapowiadał wysokiego talentu, i żył zupełnie poza tem wyborowem kołem. Pamiętam tylko, że idąc raz z nim przez ulicę, zdumiałem się nad jego biegłością w rozpoznawaniu herbów na arystokratycznych gmachach i karetach, oraz nad znacznym zasobem wiedzy z historyi rodzin szlacheckich. Była to wszakże jedyna niezwykła w nim cecha. Wątły, chorowity, w audytoryum rzadko widzialny, w życiu studenckiem nie biorący żadnego udziału, przed egzaminami mocno zakłopotany i na uboczu trzymający się, zwracał na siebie słabą uwagę kolegów, tak, iż gdy po skończeniu Uniwersytetu Kotarbiński, upewniał nas kilku, że Sienkiewicz napisał piękną powieść *Na marne*, rozśmieliśmy się serdecznie i zapisali tę wiadomość na rachunek złudzeń powiatowej sympatyi jednego Podlasiaka dla drugiego« [1]).

---

[1]) *Prawda* z r. 1884 str. 316—317.

A jednak Kotarbiński nie łudził się wcale, lecz trafnie oceniał ten świeżo z pączka wykłuwający się talent. Dowiodły tego, jeszcze kiedy Sienkiewicz był studentem Szkoły Głównej, jego pierwsze drukowane artykuły i rozprawy, wobec których odrazu musiał ustać »serdeczny śmiech« różnych sceptyków.

Pierwszą drukowaną pracą, podpisaną imieniem i nazwiskiem Henryka Sienkiewicza, było sprawozdanie teatralne, poświęcone gościnnemu występowi Wincentego Rapackiego z Krakowa w *Naszych najserdeczniejszych* Sardou, a napisane w zastępstwie nieobecnego w Warszawie chwilowo Józefa Kotarbińskiego. Zamieścił je *Przegląd tygodniowy* dnia 18 kwietnia 1869 roku. W niespełna trzy miesiące potem ukazało się w dwóch numerach *Tygodnika Ilustrowanego* 3 i 10 lipca 1869 r. »studyum literackie« o *Mikołaju Sępie Szarzyńskim*, po którem w niecały rok później, w lipcu 1870 r. nastąpiła podobna rozprawa o *Kacprze Miaskowskim*. Obie te prace, świadczące o gruntownych studyach w zakresie literatury staropolskiej, napisane doskonale pod każdym względem, pełne trafnych i subtelnych spostrzeżeń krytycznych, cechowała bardzo staranna forma, zarówno jako styl, jak i jako kompozycya. To też nie straciły one nic ze swej literackiej i naukowej wartości aż po dziś dzień.

Ale nie tylko prozą pisał Sienkiewicz w tych

czasach. Rozczytując się w Słowackim, próbował także tworzyć wierszem. W zbiorach po ś. p. doktorze Dobrskim, z którym i jako student Szkoły Głównej autor *Ofiary* żył najbliżej i w największej przyjaźni, zachowało się sporo wierszy Sienkiewicza z tego czasu. Dwa z nich, z r. 1867, zostały nawet niedawno ogłoszone drukiem.

Pierwszy, niedokończony poemacik à la *Beniowski* o jakiejś uroczej Litwince, spotkanej na stacyi kolei żelaznej, wydrukował świeżo *Rok polski*. Zaczynało się to tak:

Sam nie wiem, jak mam weną poetycką władać,
Jak wiersze, strofy, zwrotki i rymy układać:
Czy, szanując pojęcia w sztuce prawidłowe,
Ubrać swe myśli w szaty trzynastozgłoskowe,
Czyli też, Słowackiego zachwycony sławą,
Porzucić heksametry, a pisać oktawą,
Czy nareszcie, sekstyny szanować zalety,
Czy rondo, madrygały, tercet lub sonety.
W tem wszystkiem wieś, spokojność, powodzenie wróży;
Lecz nie wszystko przystoi na opis podróży.
A od niej zacznę, chociaż początek już wiecie,
Bośmy oba z Konradem [1]), siedząc przy bufecie,
On z moją torbą w ręku, ja nad bułką z szynką,
Promieniste spojrzenia zmieniali z Litwinką,
Jasną, bladą, błękitną, bardzo idealną,
Jak szept gajów litewskich. Jej buzię owalną
Niewinność tak spowiła w spokój i tęsknotę,
Żem pomimo nieśmiałość spytać miał ochotę,

---

[1]) Z Konradem Dobrskim.

Gdzie jedzie, jak daleko, którą wreszcie klasą.
Gdy w tem głos matki zabrzmiał: »Lolu!« Ja, jak Tasso
Nieboszczyk ucieszony dźwięcznością imienia,
Nie szukając już nawet jednego spojrzenia,
Siadłem i czekam. Wkrótce słychać świst szalony,
Chwila cicho, świst znowu; zadrżały wagony,
I jedziem, coraz szybciej... I wreszcie szarawe
Obłoki dymu... skryły przed nami Warszawę.
Więc rozmowa się wszczyna... Wtem z drugiej prze-
[grody
Jakiś głosik niewieści, dźwięczący i młody,
A pełny tych akcentów, po których i w piekle
Rozpoznałby Litwina, rzekł: »Jak skuczno wścijekle,
»Co? długoż to tak będzie?«

Niezrażeni tym akcentem litewskim, którego nie powstydziłby się sam pan Podbipięta z Myszykiszek, dwaj przyjaciele, a zwłaszcza przyjaciel Konrada, wkrótce zawarli znajomość z temi paniami, mianowicie z panienką i jej korpulentną mamą (niczem Heleną i Kurcewiczową z *Ogniem i mieczem*), przyczem mama niebawem doszła do wniosku, że miała z bardzo dowcipnymi i sprytnymi Warszawiakami do czynienia.

»Takie to koronijarze chitre, co? No, proszę,
»Nie darmo starzy mówią: Do Litwy po grosze,
»Do Korony po rozum«. Więc ja, zawstydzony
Własną chytrością, pytam dalej, z której strony
Litwy wyprowadzają swe gniazdo rodzinne,
Naturalnie wielmożne i imieniem słynne.
Alem wkrótce zapłonął wstydem i sromotą,
Bo ojczyzną mej nimfy... było Pińskie błoto!

W *Ateneum* z r. 1901 ogłoszono, również z papierów doktora Dobrskiego, poemacik Sienkiewicza, trochę wzorowany na *Sielance młodości* Gaszyńskiego, ale więcej jeszcze na *Beniowskim* i *Panu Tadeuszu*. Początek tego niedokończonego poematu, napisanego dnia 18 października 1867 roku, a przeznaczonego do odczytania w gronie koleżeńskiem, pisany oktawą na wzór Beniowskiego, brzmiał, jak następuje:

Jaś był studentem w szkole [1]) i nad medycyną,
Siadywał dnie i noce, pracując ochoczy,
A Helcia była sobie ładniutką dziewczyną:
Usta miała, jak róże, a jej cudne oczy
W takie blaski i barwy mieniły się jasno,
Jak czerwie świętojańskie, co ukryte w lesie,
Gdy wszystkie światła dzienne wieczorem zagasną
Czekają, aż noc chwile miłości przyniesie.

W jej piersi okrąglutkiej i bielszej od śniegu
Serduszko jakoś dziwnie, jakoś szybko biło,
Jakby wskutek uczucia ze zwykłego biegu
Wypadło i o drugiem serduszku marzyło.
I tak było niestety!! Nieraz gdy usiadła,
By zagrać i rączęta kładła na klawisze,
To jakaś tęskna łezka z oka jej wypadła
I piosnką rzewną, smutną, przerywała ciszę.

I choć nikomu jeszcze serca nie oddała,
Nikt nie usłyszał słowa: »Kocham cię, mój drogi!«
Jednak czas ten nadchodził: Helcia to wiedziała
I czekała nań, można powiedzieć, bez trwogi;

---

[1]) W Szkole Głównej.

Owszem, z radością nawet. Jaś o tem nie wiedział,
Bo on Helenki nie znał, nawet nie przeczuwał;
On sobie nad nauką całe życie siedział
I z pracy całe szczęście i przyszłość wysnuwał.

Jaś był przystojny chłopak. Miał oczy błękitne,
I ciemne bujne włosy, rumieniec na twarzy
I rysy regularne, chociaż nie wybitne,
A czoło jasne, piękne, co myśli i marzy.
Oboje byli ładni, tak, jakby dla siebie
Stworzeni, jakby złączyć ich Opatrzność chciała.
Lecz, nieszczęsna Helenko! Wszak Jaś nie znał ciebie.
Lecz, nieszczęsna Helenko! tyś Jasia nie znała!

Helcia chciała się kochać. Bywała w kościele
Na kazaniach u Fary: zwykle się modliła.
Tam bywało i brzydkich i przystojnych wiele.
Lecz nie było takiego, jak Helcia marzyła.
Bywał tam jakiś blondyn, przygarbiony trocha
Przez całą mszę on wzrokiem pożerał dziewczynę:
Widać mu było z twarzy, jak czuje i kocha,
Ale nie był przystojny i nudną miał minę.

Ale którejś niedzieli wreszcie, gdy z matką szła z kościoła na spacer,

by wśród drzew i chłodu
Popatrzeć na zieloność Saskiego Ogrodu,

spotkała na ulicy Jasia, który

szedł szybko, śmiało i zuchwale
I zaglądał po drodze pod gęste woale,
Gapił się na pojazdy.

Gdy spostrzegł »wlepionych w siebie dwoje jasnych oczu«,

Zczerwienił się, jak wiśnia, i zmięszał się cały,
Bo te oczy tym dziwnym wyrazem patrzały,
Co wstrząsa całą duszę i serce człowieka.

W tej samej chwili

Oczy jej powiedziały: »To tyś, mój jedyny!«
Pierś się zlekka podniosła; opadły jej ręce,
Oczy się przymróżyły, kwiatek po sukience
Zsunął się do nóg Jasia...

Od tej chwili w młodym studenciku dokonała się nagła przemiana: stracił dawny spokój i równowagę, ciągle marzył tylko o pięknej nieznajomej, co niedzielę latał na Mszę do Fary, a gdy ślęczał nad książką, jasne oczy panny patrzyły nań z każdej kartki.

O Helenko miła!
Czy wiesz, żeś serce Jasia na wieki zraniła,
Że mu twój obraz wiecznie przed oczyma staje
I że mu na prelekcyach uważać nie daje,
Że jeśli mu egzamin niedobrze wypadnie,
To wina nie na niego, lecz na ciebie spadnie.

Lecz i panienka zmieniła się tak samo.

Dawniej było, chychocząc spędzała dnie całe:
Dziś jakoś tęskno, rzewnie modrem okiem goni.
Dawniej było, jak ptaszę, zawsze piosnką dzwoni,
Dziś smutna, zamyślona, nieraz łezkę kryje.

O, bo kto się z kielicha miłości napije
Nie dla niego już śmiechy i huczne zabawy,
Ni wesołość dziecięca: zawsze smutny, łzawy
Obraca się bez celu w wielkiem marzeń kole:
Z piersią, rozdartą w głębi przez rozpacz i bole,
Których z duszy nie wyrwą wszystkie skarby świata,
Nie ukoi niepamięć, nie utulą lata.

Jak pszczoła, gdy nad kwiatem zawiśnie na skrzydłach,
Tak, jakby w niewidzialnych oplątana sidłach
Wisi w powietrzu jasnem nad kwiata kielichem
I ledwie ją rozpoznasz po brzęczeniu cichem:
Tak Jaś ponad Helenką zawisł myśli kołem,
Omotał ją marzeniem...

Jak powój, co za dębem z tęsknoty usycha,
Tak ona by go białem oplotła ramieniem,
Złączyła się na wieki, choćby dłoni drżeniem,
Chociażby wzrokiem tylko... Ach!!! gdyby ustami!!!
Nie!! Ona tak nie marzy: jej myśli nie plami
Żadna pieszczota ziemska. Myśl jej, jak niebianka,
Tak jasna i przejrzysta, jakby oczy Janka!

Chociaż słowa nigdy nie zamienili z sobą, choć »koło Helci zalotników wieniec powiększał się z dniem każdym«, a nie brakło między nimi przystojnych i bogatych, to jednak ona i Janek wzdychali tylko do siebie, marząc o wspólnem szczęściu.

Taki był »początek powieści«, osnutej podobno na zdarzeniu prawdziwem, tak dalece, że nawet imiona zostały niezmienione. Dalszy ciąg jakoś nie został napisany. Początek ten, niewątpliwie nie bez oznak rzeczywistego talentu, posłał Dobrski

redakcyi *Tygodnika ilustrowanego*, nie bez myśli o tem, ażeby go wydrukowano. Odpowiedź jednak, jaką w Nr. 425 r. 1867 dano jemu i jeszcze paru innym autorom, wypadła negatywnie: »Nadesłane utwory drukowane nie będą. W szczegółową ich ocenę wdawać się nie możemy; chociaż niektóre z nich nie są pozbawione pewnych zalet, ale brak miejsca i czasu zmusza nas do sądu sumarycznego« [1]).

W początkach roku 1869 zamieniono Szkołę Główną na Warszawski Uniwersytet Cesarski z językiem wykładowym rosyjskim, tak, iż Sienkiewicz, zanim w roku 1870 otrzymał świadectwo ukończenia nauk uniwersyteckich, ostatnich wykładów musiał słuchać już w »języku urzędowym«, o ile naturalnie uczęszczał na te wykłady...

VII.

Od chwili skończenia Uniwersytetu zaczęła się w życiu Sienkiewicza nowa epoka: zdecydowany poświęcić się literaturze, odrazu wszedł w te »stosunki literackie, walki prądów, myśli i osobistości nawet, w cały ów świat gorączkowy trochę, ale

---

[1]) Ign. Chrzanowski, *Pierwszy utwór Sienkiewicza*, *Ateneum*, 1901, II. 596—601.

żywy, żywotny, ateński i streszczający w sobie życie duchowe całego ogółu« [1]).

Ciężkie i frasobliwe były te jego pierwsze kroki na szerszej literackiej arenie, ale mimo to, ponieważ je zaprawiała i urozmaicała cyganerya malarsko-dziennikarska, tak zabawnie odtworzona z czasem przez niego samego w *Tej trzeciej*, więc i one nawet miały swój osobliwy urok, jako nie pozbawione poezyi, a pełne humoru i werwy.

Nie należąc do żadnego zdeklarowanego obozu politycznego, ani do żadnej literackiej koteryi, jakkolwiek mocno nasiąkły doktrynami ówczesnego pozytywizmu (co nie znaczy wcale, aby był ślepy na jego różne ułomności na gruncie polskim wogóle, a warszawskim w szczególności), pisywał Sienkiewicz aż do roku 1872 wraz z Świętochowskim, Chmielowskim, Ochorowiczem, Kotarbińskim i innymi »artykuły krytyczne« wyłącznie do *Przeglądu Tygodniowego*, w którego »dodatku powieściowym« zaczęły też w maju 1872 roku, ukazywać się jego *Humoreski z teki Worszyłły*. Wyszło ich dwie naogół: *Nikt nie jest prorokiem między swymi* i *Dwie drogi*, obie dość słabe, jako całość, choć w poszczególnych epizodach już świadczące o wybitnym talencie obserwacyjnym autora, a zwłaszcza o jego szczeropolskim humorze. Jednocześnie w tym samym dodatku do *Prze-*

---

[1]) *Listy z podróży* (po Ameryce), t. j. 262.

glądu Tygodniowego drukował się w polskim przekładzie *Rok dziewięćdziesiąty trzeci* Wiktora Hugo, który to słynny romans tłumaczyli Wiślickiemu trzej jego młodzi współpracownicy: Walery Przyborowski, Daniel Zgliński (Freudensohn) i... Henryk Sienkiewicz! Tłumaczenie tej znakomitej powieści historycznej nie pozostało bez wpływu na późniejszego autora *Trylogii*.

Począwszy od 7 maja 1872 zaczęła wychodzić w *Wieńcu* powieść Sienkiewicza »z życia studentów kijowskich« (a właściwie warszawskich), pod wiele mówiącym i dramatycznym tytułem: *Na marne*. Nawiasem mówiąc spotkał powieść tę nielada zaszczyt: redakcya *Wieńca* bowiem drukowała ją z ilustracyami, co oczywiście równało się niezwykłemu wyróżnieniu.

Lecz o wiele jeszcze zaszczytniejszem było to, co poprzedziło druk tej powieści. Oto Dobrski przesłał jej rękopis Kraszewskiemu, ten zaś, po przeczytaniu jej, tak o niej się wyraził w liście z Drezna, dnia 29 maja 1871 roku: »Powieść *Na marne* pisana jest wybornie. Czytałem ją z wielkiem zajęciem i jednem szczerem słowem mogę powiedzieć to tylko, że rzadko pierwsza praca tak jest dojrzałą. Winien to autor i talentowi, i tej wielkiej trafności, z jaką obrał sobie przedmiot z własnego lub widzianego i znanego życia, a mógł malować z natury«. Ta pochlebna opinia autora *Rzymu za Nerona* niemało dodała odwagi Sienkie-

wiczowi. »Wielce mnie ucieszyły słowa Kraszewskiego — pisał w tej sprawie d. 4 czerwca 1871 r. do Dobrskiego - a choć pierwsze wrażenie już przeszło, zawsze jestem kontent, poczuwszy się, jak to mówią, na siłach«. Wobec tego mógł Dobrski odstąpić od swego szlachetnego zamiaru wydrukowania powieści przyjaciela własnym nakładem, ile że list Kraszewskiego był dla redakcyi *Wieńca* aż nadto wystarczającą rekomendacyą. Powieść ta — opowiada Kotarbiński — nie ukazała się w druku w tej formie, jaką jej nadał młody autor, niektóre bowiem ustępy nie mogły zyskać aprobaty rosyjskich celników myśli, baczących czujnie, aby do prasy i literatury nie przemknęła się kontrabanda patryotyczna. Ustęp, wykreślony przez cenzurę, przez swą plastykę i nastrój wrył się Kotarbińskiemu tak silnie w pamięć, iż nie zapomniał go nigdy. Oto do domu szlachcica podolskiego nocą zjawia się tajemniczy goniec, donoszący o wybuchu wojny krymskiej. Stary patryota, były wojak z roku 1830, przyjął tę nowinę z radością i otuchą, myśląc, iż stanie się ona hasłem nowego protestu orężnego przeciwko przemocy rosyjskiej. Nadzieja była płonna. Naród, pogrążony w politycznym bezwładzie, dopiero w dziewięć lat później zerwał się, aby wstrząsnąć kajdanami niewoli. Tak to — konkluduje Kotarbiński — już w jednym z najpierwszych błysków

twórczości dał Sienkiewicz wyraz tęsknocie duszy polskiej do niepodległości Ojczyzny [1]).

VIII.

Gdy w roku 1872 powstała *Niwa*, redagowana w duchu pozytywistycznym, został Sienkiewicz odrazu jej stałym współpracownikiem. Pisując najprzód krytyki literackie, a następnie także i recenzye teatralne (pełne entuzyazmu dla Modrzejewskiej), równocześnie podjął się w *Gazecie Polskiej* »smutnej roli chochlika-felietonisty«, pisując w tem poczytnem piśmie przez ciąg roku 1873 na przemiany z Władysławem Bogusławskim i Edwardem Leo stały felieton tygodniowy pod napisem: *Bez tytułu*. Czynił to również i przez cały rok 1874.

---

[1]) Zob. *Kuryer Warszawski* z dnia 27 listopada 1916 r. *Sienkiewiczowi w hołdzie*. O ówczesnym przygnębionym nastroju Sienkiewicza tak opowiada w swem *Wspomnieniu z ławy szkolnej* (w *Kuryerze Warszawskim* z dnia 3 grudnia 1916 r. Stanisław Skarzyński: »Rozgoryczenie Sienkiewicza było wtedy tak silne, iż powziął zamiar pokierowania się w inną stronę i oznajmił ś. p. Konradowi Dobrskiemu i mnie zamiar objęcia posady przy budowie jakiegoś wielkiego mostu na Wołdze. Staraliśmy się zamiar ten zwalczać w obawie, aby to opuszczenie kraju nie wpłynęło zgubnie na przyszłość naszego kolegi. Ponieważ w sprawie postanowienia grała rolę strona materyalna, radziliśmy wydanie gotowego *Na marne*, wzor-

Dopiero w roku 1875 zaczął już sam pisać co tydzień literacko-publicystyczne sprawozdania z *Chwili obecnej*, w którym to felietonie, jak Prus w swych słynnych *Kronikach tygodniowych*, namawiał ludzi — jak sam powiada — »do zakładania straży ogniowych, szkółek, ochronek, jedwabnictwa, muzeów, resurs rzemieślniczych, ogrodów zoologicznych, spółek, banków, regulowania brzegów Wisły, asanizacyi, kanalizacyi, giełd zbożowych, wołał o drogi bite, napadał na niewinne spekulacye pograniczne z okowitą (tak, jakby system wolnego handlu nie był wyższy od celnego), nie dawał ani chwili odpoczynku zalegającym w opłatach członkom rozmaitych towarzystw (tak, jakby godziło się marnować grosz ciężko zapracowany na Bóg wie jakie niepewne cele), słowem,

---

ków z nas zebranych. Dobrski jechał na jakiś kongres medyczny do Augsburga i zabrawszy rękopis *Na marne*, zostawił go do oceny J. I. Kraszewskiemu w Dreźnie. Wracając odwiedził wielkiego pisarza i ku swej radości czytał na zostawionym egzemplarzu te prorocze słowa: »Brylant czystej wody, radzę młodemu człowiekowi uprawiać nadal talent pisarski«. To zdecydowało odrazu kolegę naszego Mieczysława Orgelbranda do wydania w książce rękopisu Sienkiewicza ku naszej radości i pożytkowi autora«. W *Okruchach literackich* Ign. Chrzanowskiego znajduje się ciekawe studyum, dotyczące utworu p. t. *»Kilka słów o powstaniu pierwszej powieści Sienkiewicza«*.

dawał się we znaki najspokojniejszym obywatelom naszego kraju« [1]).

Z powodu tych felietonów Sienkiewicza w *Gazecie Polskiej*, felietonów, które odrazu zwróciły powszechną uwagę na ich wielce utalentowanego autora, opowiada w głośnem swego czasu *Towarzystwie Warszawskiem* Antoni Zaleski nader ciekawe szczegóły: »Kiedy losami *Gazety Polskiej* władał ówczesny jej redaktor, Sikorski, w gronie współpracowników był także młodzieniec, który świeżo ukończył wydział filologiczny w Szkole Głównej i debiutował w *Tygodniku Ilustrowanym* rozprawą o Sępie Szarzyńskim. Polecono mu w *Gazecie* pisywanie felietonów tygodniowych. Młodzieniec zabrał się do tej pracy z zapałem, a i ówczesne jego *Kroniki* zwróciły odrazu uwagę wszystkich na nowo objawiający się talent. Sikorskiemu jednak bardzo się nie podobały owe felietony, pełne młodzieńczej werwy, młodzieńczego entuzyazmu i poezyi. Autorowi ich odmawiał zupełnie talentu, a co większa, zarzucił mu niesumienność, ponieważ za wiele było w jego *Kronikach* poezyi, a za mało faktów. Ja chcę faktów! Proszę o fakta!... powtarzał ustawicznie biednemu felietoniście, kreśląc mu wszystko, co było tylko żywszem, oryginalniejszem i ponad szablon wyskakiwało. Z felietonu też leciały co tydzień strzępki, a zostawał

[1]) *Listy z podróży* (po Ameryce).

tylko suchy szkielet. Taka była jednak potęga tego talentu, że i ten szkielet świadczył jeszcze o niepospolitej zdolności. Pewnego dnia ktoś z współpracowników *Gazety* (a był nim Stanisław Kronenberg) winszował Sikorskiemu felietonisty. Wielka sztuka! odpowiedział surowy Argus: Patrz pan, ile tu musiałem wyrzucić i jakem się napracował! I pokazywał rękopis cały pokreślony, a w nim powymazywane najpiękniejsze ustępy, istne perełki poezyi. Chcąc też w y r o b i ć »niesumiennego« młodzieńca, powierzał mu najsuchsze i najpospolitsze roboty reporterskie. Nic też dziwnego, iż Sienkiewicz pod takim redaktorem czuł się skrępowanym i tracił wszelką do pisania ochotę...«

Odżył dopiero, gdy redakcyę *Gazety Polskiej* objął Edward Leo. Ten wraz z Dyonizym Henkielem, który był głównym *spiritus movens* dziennika, odrazu poznali się na wielkim talencie Litwosa, otworzyli mu łamy swego pisma, za czem poszło, iż przez rok przeszło miała *Gazeta* kronikarza całkiem *hors ligne*, a felietony jego o *Chwili obecnej* czytała cała Warszawa. Talent Sienkiewicza zaczął się w nich po raz pierwszy rozwijać na wielką skalę, a Litwos stał się Benjaminkiem *Gazety*, jej ukochanem dzieckiem i chlubą. Sympatyczne te węzły zacieśniły się jeszcze, gdy Benjaminek zaczął drukować w odcinku swe *Szkice z życia i natury*, gdy jako pierwszy z tych szki-

ców, ukazał się *Stary sługa*, po którym niebawem, napisana z namowy redaktora Lea, zaczęła wychodzić dłuższa już znacznie *Hania*.

Była to najświetniejsza chwila w całej egzystencyi *Gazety Polskiej*, w życiu Sienkiewicza zaznaczająca się wybitnie, jako bujna epoka sejmików w cukierni Lourse'a, lub w restauracyi u A n d z i, gdzie połowa literatów obradowała nad plotkami dnia, gdzie zasiadały różne trybunały opinii, epoka, w której »paczkę« Sienkiewicza stanowili: z literatów Lubowski, Czapelski, »major« Olędzki (Jacek Soplica), Kotarbiński, Prus, Antoni Zaleski, Przybylski, z malarzy zaś Witkiewicz, Chełmoński, Chmielowski (późniejszy »brat Albert«). Życie cygańskie, jakie poza redakcyami i pracowniami prowadziło to wesołe grono, wiele miało podobieństwa z życiem Śniateckich, Ostrzyńskich i Cepkowskich z Sienkiewiczowskiej *Tej trzeciej;* rola zaś, jaką w tej nieporównanej humoresce gra aktorka Ewa Adami, w rzeczywistości przypadła Modrzejewskiej, która wtedy z Popielką, Bakałowiczową, Żółkowskim i Królikowskim święciła swe największe na scenie warszawskiej tryumfy. Jeżeli w Ewie Adami kocha się główny bohater *Tej trzeciej*, to takich, co wówczas świata nie widzieli poza uroczą »panią Heleną«, było wielu, a między innymi także i Sienkiewicz należał do tego bractwa adoracyi dla wielkiej i pięknej artystki. To sprawiało głównie, że bardzo

w tych czasach interesował się teatrem, że stał w blizkim związku z życiem teatralnem, że dużo obracał się w sferach aktorskich, a że w *Niwie* prowadził wraz z Kotarbińskim dział krytyki teatralnej, więc też i liczono się z nim w tych kołach. Wtedy to, obeznawszy się z obyczajami zakulisowymi, wyrobił sobie Sienkiewicz ten niekoniecznie dla środowiska tego pochlebny sąd, któremu w *Tej trzeciej* dał tak kategoryczny wyraz, twierdząc, że »teatr psuje dusze, zwłaszcza kobiece«, i że jeśli w teatrach znajduje się nawet dużo kobiet fizycznie niewinnych, to jednak, »gdyby gorsety ich chciały kiedy zdradzić wszystkie żądze swych pań, najbezczelniejszy pawian mógłby się zarumienić na wszystkich nieporosłych sierścią miejscach«. »Trudno nawet wymagać — pisze z powodu Ewki Adami zakochany w niej po uszy bohater *Tej trzeciej* — żeby w kobiecie, która co wieczór gra miłość, wierność, szlachetność i t. d. nie wyrobiło się w końcu instynktowne poczucie, iż te wszystkie cnoty są to rzeczy kinkietowe, należące do sztuki dramatycznej i aktorskiej, a nie mające żadnego związku z życiem. Ciągłe zetknięcie z ludźmi tak zepsutymi, jak aktorowie, rozbudza w nich zmysły. Niema tak białego kota angora, którýby się nie umorusał w podobnych warunkach. Zwyciężyć je może tylko olbrzymi talent, który się oczyszcza w ogniu sztuki, albo natura tak nawskroś artystyczna, że zło nie przesiąka przez

nią, jak woda nie przesiąka przez pióra łabędzie«. Taką naturą artystyczną, takim olbrzymim talentem, słowem, takim ideałem aktorki, była właśnie w oczach Sienkiewicza, Witkiewicza, Chmielowskiego i innych, Helena Modrzejewska, wówczas już od niedawna pani Karolowa Chłapowska.

IX.

Było to w czasie, kiedy Modrzejewska zdecydowała się opuścić kraj, by grywać na scenach angielskich i amerykańskich, zaczynając od tych ostatnich. W bezpośrednim związku z tymi zamorskimi projektami wielkiej artystki pozostaje wyjazd Sienkiewicza w lutym 1876 r. do Ameryki, wyjazd, którego wyraźnej przyczyny i celu domyślał się mało kto [1]), a który przedewszystkiem równał się »wyskokowi z życia czczego i jałowego«, oderwaniu się od dziennikarskiej taczki, od smutnej roli wesołego chochlika-felietonisty, którą — jak sam się do tego w swych *Listach z podróży* przyznaje — tak się zmęczył, że aż pojechał na drugą półkulę, między jaguary, niedźwiedzie i grzechotniki, ażeby wytchnąć i wypocząć. Oto co

---

[1]) Świętochowski w swym szkicu o Sienkiewiczu tak pisze o tej jego nagłej podróży amerykańskiej: »Pewnego dnia bez wyraźnej przyczyny i celu przypadkowo pobudzony, wyjechał do Ameryki«.

w tej sprawie pisze sama Modrzejewska w swych pamiętnikach: »Myśl przesiedlenia się poruszył najpierw Sienkiewicz. Zwolna i inni przyłączać się jęli do jego zdania i niebawem znalazło się ich pięciu, pragnących szukać przygód w matecznikach tej dziewiczej ziemi. Na dobrowolne wygnanie wybierali się z nami najpierw Henryk Sienkiewicz, potem przyjaciel nasz żonaty Juliusz Sypniewski, dalej Lucyan Paprocki, wreszcie Stanisław Witkiewicz ze swym przyjacielem Adamem Chmielowskim. Wczesną wiosną Sienkiewicz i Sypniewski puścili się na zwiady w drogę ku obiecanej ziemi. My mieliśmy podążyć za nimi w lipcu«. W swych *Wspomnieniach osobistych o Sienkiewiczu* [1]) opisuje dr. Bronisław Maysel ten wyjazd autora *Hani* z Warszawy. »Było to w sobotę 19 lutego 1876 r. w dzień jasny, słoneczny, przy lekkim przymrozku. Wprost od Andzi (Czuleńskiej) około godziny 2 z południa, z torebką podróżną przez ramię, udał się Sienkiewicz z całem gronem biesiadników na dworzec kolei Wiedeńskiej. Tutaj oczekiwała go już płeć piękna z Heleną Modrzejewską na czele. Znakomita artystka żegnała przyszłego arcymistrza słowa polskiego widocznie wzruszona, z pełnemi łez oczyma. A gdy pociąg ruszył, długo jeszcze powiewały chu-

[1]) W księdze zbiorowej prac literackich pod tyt. *Na powodzian*.

steczki w stronę wychylającego się z okna wagonu autora *Hani*«.

Po szczęśliwej podróży przez Niemcy, Francyę i Anglię i koleją dwóch oceanów z Nowego Yorku przez całą Amerykę północną do Kalifornii, stanął wreszcie Sienkiewicz w stolicy tej »ziemi obiecanej« w San-Francisco, zamieszkawszy u Juliana Horaina, ekdziennikarza z Warszawy, korespondenta *Gazety Polskiej*.

W San-Francisco mieszkała wtedy mała garstka Polaków-emigrantów, a w ich liczbie i kapitan Rudolf Korwin-Piotrowski, nagrodzony w swoim czasie przez generała Różyckiego orderem *virtuti militari*, a niezawodnie najoryginalniejsza postać wśród Polonii kalifornijskiej. Mierzył wzrostu stóp 6 i pół, twarz miał ogromną, bielmo na prawem oku; postacią przypominał typy z przed dwóch wieków; a jako taki był jakby nietkniętym zabytkiem z czasów Paska. Choć dźwigał już ósmy krzyżyk, gryzł orzech z łatwością, jak rzepę, a razu pewnego w restauracyi rozgniewawszy się na posługacza, uderzył swą »rączką« tak silnie w stół, że cały bok blatu utrącił. Już to wogóle siłę posiadał niepospolitą.

Sienkiewicz odrazu przylgnął do niego i odwiedzał go codzień. Grał z nim w szachy lub wyciągał go na dykteryjki, w których kapitan był mistrzem prawdziwym. A skoro wpadł w ferwor opowiadania, to tak łgał, że aż się kurzyło, zwła-

szcza na temat swych miłosnych podbojów po wszystkich częściach świata. Razu pewnego rzekł doń Sienkiewicz z tym uśmiechem sobie tylko właściwym, z poza którego zawsze jakaś głębsza myśl wyglądała: »Wiesz, kapitanie, że ja ciebie jeszcze kiedy uwiecznię«. »A bodaj ci się pysk skrzywił!« odrzekł, śmiejąc się stentorowym głosem Piotrowski. Naówczas nie zrozumieliśmy owych słów Sienkiewicza i wzięliśmy je za żart i śmieliśmy się wspólnie z kapitanem. Dziś dopiero widzę — powiada autor *Wspomnień tułacza* — że już wtedy chodziły po głowie twórcy *Ogniem i mieczem* późniejsze jego wielkie dzieła i dziwnym trafem, tam nad oceanem Spokojnym, zdjął do nich portret swego Zagłoby. I rzeczywiście, kto znał kapitana Piotrowskiego, z całą jego oryginalną rubasznością, szlacheckimi przesądami i łgarstwem artystycznem, ten czytając *Trylogię*, odrazu w Zagłobie poznał starego kapitana. Nawet wyrażenia takie, jak: »Boże, Ty słyszysz, a nie grzmisz!« lub owa dosadna odpowiedź, którą dał Sienkiewiczowi, i inne dosadniejsze jeszcze, żywcem są wyjęte z jego ust [1]).

»Kapitan Korwin Piotrowski — pisze o nim Modrzejewska w swych pamiętnikach — był to typ niezwykły, z XVII wieku przypadkiem w nasze czasy zabłąkany, wskrzeszony jakiś zawa-

[1]) *Wspomnienia tułacza* drukował *Kraj* w r. 1899.

dyacko-krotochwilny Falstaff, którego parę w grobie spędzonych wieków nie zdołało pozbawić rodzimej ochoty i niespożytego zacięcia; humor dawny zachował, i animusz, i język jędrny, krewki i dosadny, a nie naszą współczesną, bezbarwną, płaską gadaninę. Był to zamaszysty szlachcic polski przeszczepiony na grunt amerykański, gdzieś niedługo po powstaniu listopadowem. Bawił jakiś czas na południu, był nawet profesorem języka francuskiego w jakiejś amerykańskiej wszechnicy, w r. 1849 przejechał przez wielkie równiny aż do Kalifornii, gdzie osiadł i był powszechnie znany, jako »kapitan Korwin«. Dłuższy pobyt w różnych stronach Nowego Świata wytworzył w nim dziwną mieszaninę rodzimej, staropolskiej, buńczucznej i rubasznej szlacheczyzny z giętkością nowożytnego amerykańskiego p o l i t i k e r a i b u s i n e s m a n a. Przywiązanie jego do drugiej ojczyzny objawiało się między innemi w ten sposób, że wybitnym amerykańskim mężom stanu nie szczędził staropolskich tytułów: zwał ich wojewodami i kasztelanami, rozróżniając karmazynów od pospolitych szaraczków. Jego polszczyzna trąciła myszką, a władał nią wyśmienicie; wybornie też mówił po francusku, a i angielski język znał doskonale, jeno, że uparcie wymawiał wszystko »jak się pisze«, z czego wypadały wielce zabawne kombinacye. Po mnogich wędrówkach, sporo doświadczywszy przygód, przyjaciel nasz osiadł w San-

Francisco, gdzie piastował dobrze płatny urząd inspektora immigracyi i cieszył się ogólnem poważaniem, które zaskarbił sobie swą prawością i samorodnym, a nieprzebranym humorem. Pomimo swego podeszłego wieku, kapitan serce zachował młode i lubił wywnętrzać się ze swych strapień miłosnych. Takim był kapitan Piotrowski, z którym przypadkowe zetknięcie podrażnić miało wyobraźnię wielkiego pisarza, że wziąwszy parę luźnych rysów z tego rubasznie jowialnego szlachcica, stworzył jedną z najwspanialszych postaci powieściowych. A ci dopiero, co znali ten prototyp Zagłoby, a potem poznali Zagłobę, ocenić mogą w całej pełni moc twórczą Sienkiewicza« [1]).

Tymczasem drukowały się w *Gazecie Polskiej* nadsyłane przez Sienkiewicza z za oceanu świetne jego *Listy z podróży*, po których nastąpiły z kolei świetniejsze jeszcze *Szkice amerykańskie*. Te ostatnie pisane były w Kalifornii południowej, w »błogosławionej dolinie Anaheimskiej« będącej »prawdziwym rajem«.

Żył tam Litwos na łonie najcudniejszej pod-

---

[1]) Nie dożył jednak kapitan Piotrowski swej sławy: na starość ociemniał zupełnie i podążył do Paryża po ratunek do słynnego okulisty-rodaka Gałęzowskiego, ale i ten nie miał lekarstwa na wiek podeszły. Wkrótce po przybyciu do Francyi zmarł tam Piotrowski w szpitalu.

zwrotnikowej przyrody, najwięcej czasu spędzając na polowaniu na grubego zwierza. Stamtąd to pisał do *Gazety Polskiej*, że w Anaheimie (małem miasteczku, zamieszkałem przeważnie przez Hiszpanów i Niemców) »najniebezpieczniejszemi istotami dla myśliwców są chyba *sinoritas* hiszpańskie, odbijające się biało na ciemnem tle palm, jak zaziemskie zjawiska. Jest to jednak niebezpieczeństwo, od którego się nie ucieka, ale na które idzie się na oślep. Otóż widzicie, że mi tam mogło być dobrze i... było dobrze« [1]).

Z Anaheim, gdzie go w końcu znudziło tamtejsze »sielankowe życie«, gdy mu się sprzykrzył »brak cieniów w obrazie«, przeniósł się »młody myśliwiec« do położonego nad samym brzegiem oceanu Anaheim-Landing i tu przemieszkał czas jakiś zupełnie sam, mając za jedynych towarzyszy prócz swej »menażeryi« (psa, borsuka i orła z przestrzelonem skrzydłem) kilku majtków-rybaków, po większej części Norwegów, i młodego niemczyka-oberżystę, stołującego tychże rybaków. Tutaj, poza godzinami spędzanemi na łódce, którą jeździł do poblizkiej wyspy Santa Catarina, i poza godzinami przegawędzonemi z owymi rybakami, pisał dalszy ciąg *Selima Mirzy*, aż wreszcie któregoś wieczora, gdy Norwegowie wyjechali na morze, zasiadł w swym alkierzu i pod wpływem tę-

[1]) *Listy z podróży*, I, 240.

sknoty za krajem, obudzonej przed paru dniami klangorem przelatujących żórawi, wyszły mu z pod pióra następujące słowa:

W e w s i B a r a n i a G ł o w a, w k a n c e l a r y i w ó j t a g m i n y, c i c h o b y ł o j a k m a k i e m s i a ł...

I zaczął pisać swe słynne *Szkice węglem*[1]). Skończył je »w puszczy«, w górach Santa Ana, w domku skwatera, gdzie odcięty od świata, oddalony o 70 mil od San Diego, przemieszkał całą jesień, wiodąc życie leśne, myśliwskie, i pisząc po parę godzin dziennie (przyczem rozpierał się »jak Wolter w swoim fotelu« w krześle z czerepu wołowego, wysłanem wiązką mchu między rogami).

Wśród takich okoliczności doczekał się przyjazdu Modrzejewskiej z mężem i rodziną. Zjechano się w Anaheim. Modrzejewska w swych *Wspomnieniach i wrażeniach* tak pisze o tem spotkaniu: »Na dworcu oczekiwała nas cała nasza wychodźcza gromadka wraz z Sienkiewiczem, który powrócił z Anaheim-Landing i ukazał nam się silny, zdrowy i rumiany, tak, iż mój mąż aż dziwił się takiej zmianie. »Zawdzięczam to kąpielom w oceanie — odparł młody powieściopisarz — i powietrzu morskiemu; w żadnym zaś razie nie zawdzięczam tego próżnowaniu, bo robota idzie mi nie źle: na-

[1]) Zob. szkic Sienkiewicza pod tyt. *Żórawie*.

pisałem właśnie nowe *Szkice węglem*, które chętnie wam przeczytam przed wysłaniem ich do druku«.

Ale już po kilku tygodniach wspólnego pobytu w Anaheim przyszła kolej na szalone napady nostalgii. »Sienkiewicz — opowiada Modrzejewska siadywał na progu z łokciami na kolanach i chwilami kąsał szczękami powietrze; pewnego wieczoru zdybaliśmy znów Paprockiego, jak płakał wsparty o drzewo; i tak spostrzegliśmy, że nas męczy tęsknota za krajem. Ażeby ją zmódz zmianą wrażeń, przeniesiono się do Anaheim-Landing, gdzie Sienkiewicz robił honory... puszczy, pokazując nam miejsca najciekawsze, różne swe ulubione zakątki i ścieżki, tudzież pałac, w którym mieszkał był niedawno i pisywał swe szkice«.

Lecz ostatecznie wrócono do Anaheim, gdzie niebawem przybył w gościnę także i kapitan Piotrowski. »Po powrocie do Anaheim (opowiada Modrzejewska) zastaliśmy w domu list Piotrowskiego. Kapitan, który przy naszem wylądowaniu w San-Francisco powitał nas na czele Polonii kalifornijskiej, a potem zaprzyjaźnił się z nami wielce, przyrzekł był nam na usilne z naszej strony nalegania, iż spędzi u nas tydzień w nowej naszej siedzibie. Otóż teraz zapowiadał listownie swój przyjazd. Więc zabraliśmy się odrazu do przygotowań na przyjęcie takiego gościa, zaczynając od wstawienia do bawialni łóżka w miejsce kanapy.

Najważniejszem wszakże zadaniem było ułożenie kulinarnego programu, kapitan bowiem lubił jeść dobrze i dużo, gdyż jego okazała postawa wymagała intenzywnego odżywiania«.

Z kolei przeniesiono się do San-Francisco, gdzie Modrzejewska zaczęła przygotowywać się do występów na scenach amerykańskich, a Sienkiewicz w dalszym ciągu pisał swe *Listy z podróży*, *Selima Mirzę*, oraz pełną humoru *Komedyę pomyłek*. Nadto snuły mu się w głowie pomysły do całego szeregu noweli obrazków z życia amerykańskiego, które z czasem miały się stać perłami belletrystyki polskiej, jako *Orso*, *Przez stepy*, *Sachem*, *Wspomnienie z Maripozy*, *Latarnik*.

Z czasów tego pobytu Sienkiewicza w San-Francisco zapisała Modrzejewska następujący arcyciekawy i ważny szczegół o przyszłym twórcy Trylogii: »Do dawnego pokolenia należał również inny weteran z powstania listopadowego, sędziwy kapitan Franciszek Wojciechowski, stary towarzysz Piotrowskiego, znany w Kalifornii, jako »kapitan Francis«. U niego to przemieszkiwał obecnie Sienkiewicz po swym przyjeździe z Anaheim. Ja nie znałam go bliżej; pamiętam tylko, iż był bardzo wysoki, bardzo chudy i małomówny. Opowiadał mi Sienkiewicz, jak raz w dzień słoneczny przechadzał się piaszczystą drogą z zażywnym i barczystym kapitanem Piotrowskim i chudym jak tyka kapitanem Wojciechowskim, a idąc

w środku między nimi, zobaczył na ziemi cień własny pomiędzy cieniami dwóch owych kapitanów: małą a zwinną sylwetkę pomiędzy otyłą i zamaszystą postacią Piotrowskiego i chudą a cichą figurą Wojciechowskiego. I ta dziwna trójca cieniów tak uderzyła jego wyobraźnię, iż mówił, że coś o tem napisze. Wówczas nie napisał. Kto wie jednak — bo dziwne bywają drogi myśli twórczej — czy wspomnienie tej trójcy cieniów nie było Sienkiewiczowi później podnietą do stworzenia niezrównanej trójcy epicznej: Zagłoby, Podbipięty i Wołodyjowskiego«.

Doczekawszy się pierwszych tryumfów Modrzejewskiej na scenach amerykańskich, spotkał się z nią Sienkiewicz raz jeszcze w Nowym Jorku, gdzie się zatrzymał na krótko, nim wsiadł na okręt. »Gdy przyszedł mię odwiedzić — pisze wielka artystka — wyglądał tak zadowolony ze swej powrotnej podróży, iż mu szczerze gratulowałam zakończenia tego dobrowolnego wygnania z kraju, gdzie kwitnie cytryna, i powrotu w strony ojczyste, z sanną i zaspami śnieżnemi«.

X.

Przepłynąwszy Atlantyk, zamiast spieszyć prosto do Warszawy, odbył jeszcze Sienkiewicz dłuższą podróż po Francyi i Włoszech, z której to wy-

cieczki napisał do *Gazety Polskiej* swe wysoce artystyczne »listy« z Paryża, z Rzymu, z Wenecyi. Znalazłszy się z powrotem na warszawskim bruku, znów z konieczności musiał się zaprządz do literackiego jarzma. Z tego to czasu pochodzą *Janko muzykant*, oraz *Pamiętnik poznańskiego nauczyciela*.

Nowele te, jak i inne, będące odbiciem wrażeń kalifornijskich, a drukowane przeważnie w *Niwie*, słusznie nazwano »szczytem twórczości nowelistycznej Sienkiewicza«, szczytem, na którym stanął odrazu po swym powrocie z Ameryki. Albowiem był to już inny Sienkiewicz, niż ten, który do roku 1876 pisywał *Chwilę obecną*. Pobyt na drugiej półkuli, w Nowym Świecie, jak wogóle dłuższe przebywanie na Zachodzie, w największych ogniskach kultury, rozparł mu piersi szeroko, zaprawił wzrok do spoglądania w dal nieskończoną, tak, iż wrócił stamtąd, jako talent niepospolity, pierwszorzędny [1]).

Z tą chwilą zaczęła się też wielka sława Sienkiewicza, jako nowelisty, jego nadzwyczajna popularność w kraju, a zwłaszcza w Warszawie. Oto, co w tej mierze w r. 1880 pisał Bolesław Prus, na parę dni przed odczytem Sienkiewicza w Sali Ratuszowej, gdzie miał odczytać swoje *Za chlebem*: »Dla publiki warszawskiej zbytecznem będzie

[1]) *Stara i młoda prasa* Walerego Przyborowskiego

wspominać, że bohaterem bieżącego miesiąca wogóle, a tygodnia w szczególności, jest wielkiego talentu autor, p. Henryk Sienkiewicz... Nigdzie w minionym karnawale nie zgubiono tylu serc i nie zamieniono tylu par kaloszy, co na wieczorach, na których bywał on sam... Nareszcie, spotykając co krok fryzury à la Sienkiewicz, wiedząc, że młodzi panowie jeden po drugim zapuszczają hiszpanki, starają się mieć posągowe rysy i śniadą cerę, postanowiłem poznać jego samego«.

Pisując wciąż jeszcze, jako Litwos, do *Niwy* rodzaj przeglądów krytyczno-literackich o książkach, obrazach i teatrze, w tych *Mięszaninach artystyczno-literackich* hojną ręką rozrzucał prawdziwe perły poezyi i stylu. Mieszaniny te pisywał aż do roku 1881 włącznie, poczem przeniósł je od roku 1882 do świeżo założonego *Słowa*. Jednocześnie ukazywały się po kolei, najprzód w *Niwie*, a potem w *Słowie* (już nie w *Gazecie Polskiej*) jego utwory belletrystyczne: najprzód *Za chlebem*, którą to przejmującą nowelę wpierw odczytał publicznie w sali ratuszowej, potem obrazek sceniczny *Czyja wina?*, a wreszcie grany potem w Teatrze Rozmaitości efektowny dramat *Na jedną kartę*.

Na ten czas także przypada niezmiernie ważny fakt w życiu Sienkiewicza: jego ożenienie się z panną Maryą Szetkiewiczówną. Małżeństwo to, poprzedzone nastrojami, z których wiele odbiło

się w drukowanych wtedy w *Niwie* »mieszaninach« i później w noweli *U źródła*, stało się prawdziwem źródłem szczęścia dla przyszłego twórcy *Trylogii*, w żonie bowiem »dziwnie miłej, zacnej i dobrej, grutownie, choć nie pretensyonalnie wykształconej«, znalazł swego dobrego geniusza, któremu pod każdym względem miał niezmiernie wiele do zawdzięczenia. Ona — powiada Antoni Zaleski — odegrała w jego życiu ważną i zwrotną niemal rolę, wywierając olbrzymi wpływ na rozwój zarówno, jak i na skondensowanie się jego pisarskiego talentu i temperamentu. Ona go przykuła do miejsca, ona dała mu to szczęście, które sił przysparza, ufność w siebie samego budzi i możność pracy podwaja. Bez niej nie mielibyśmy może *Ogniem i mieczem* ani *Potopu*, bo ich autorowi, przyzwyczajonemu dotychczas do kilkunasto-felietonowych nowelek, zabrakłoby wytrwałości do napisania obszerniejszych rozmiarów powieści. Ona przytłumiła w nim tę pesymistyczną nutę, która zawsze dźwięczała trochę rozpaczliwie we wszystkich jego poprzednich utworach; ona rozpogodziła ten umysł, co zbyt czarno zaczął już na świat patrzeć; ona była największem jego na ziemi uczuciem, przyjaciółką, powiernicą, doradczynią, krytykiem i jedyną osobą, o kórej sąd i zadowolenie dbał istotnie. Nosił się niegdyś Sienkiewicz z myślą napisania powieści, której przeznaczał tytuł *Kronika szczęścia*. Było to wkrótce po

jego ślubie. Nietrudno zgadnąć, czyjego szczęścia miała to być kronika [1]).

Oprócz tej kroniki, wysnutej z przeżyć osobistych, nosił się także Sienkiewicz w tych czasach z myślą napisania *Bajki o królu Władysławie*, której bohaterem miał być Władysław Warneńczyk. Temat podsunął mu Kallimach swoją *Historia de rege Vladislao seu clade Varnensis* [2]) i opisana tam romantyczna przygoda miłosna króla na Węgrzech. Ale pomysł ten, świadczący już o jego zwrocie w kierunku przeszłości narodowej, zarzucił niebawem, a opracował inny motyw historyczny, kreśląc wzruszającą opowieść na tle *Niewoli tatarskiej*, stylem przypominającą *Pamiętniki Paska*, a osnową *Księcia Niezłomnego* Kalderona (naturalnie w tłómaczeniu Słowackiego).

W dziejach twórczości Sienkiewicza stanowi *Niewola tatarska*, wydrukowana w *Niwie* w r. 1880, niewątpliwie chwilę przełomu. »Uczułem niesmak — pisał jej autor w tym czasie do jednego ze znajomych — do nowelek, do bohaterów-liliputów, do rozczulania się na kwincie cienko brzmiącej, do swoich i cudzych utworów tego rodzaju, powiedziałem więc sobie: *Jam satis!* Spróbuję na inną nutę. Tam, w przeszłości, wszystko

---

[1]) *Towarzystwo Warszawskie*, t. II.

[2]) Przekład polski Michała Gliszczyńskiego *O królu Władysławie czyli o klęsce Warneńskiej* wyszedł w Warszawie w r. 1854.

takie wyraźne i wielkie w przeciwstawieniu do marności dzisiejszego życia«. I postanowił przerzucić się do powieści historycznej, do której pisania, jak tego dał świetny dowód w *Niewoli tatarskiej*, posiadał wszelkie warunki. Szczegół charakterystyczny, gdy ta nowela ukazała się w wydaniu książkowem, krytyka warszawska z Chmielowskim na czele, osądziła ją bardzo surowo, wyrokując na jej podstawie, iż autor nie posiada żadnych danych do tworzenia rzeczy w rodzaju historycznym. Jeden tylko Stan. Tarnowski napisał w *Przeglądzie Polskim* pod wrażeniem *Niewoli tatarskiej* entuzyastyczną recenzyę, wykazując w niej, iż Sienkiewicz na tej historycznej strunie umie grać po mistrzowsku. Napomknął też mimochodem, iż autor *Janka muzykanta*, o ile by nie zmienił zakresu swoich pomysłów, łatwo by mógł »zepsuć się, wpaść w powtarzanie, w jednostajność, w manierę«. A tego należało się strzedz. Co gorsza, iż ta maniera, to »rozczulanie się na kwincie cienko brzmiącej«, stało się dzięki niesłychanemu powodzeniu jego nowel, rodzajem mody, wywołało naśladownictwo w całej ówczesnej literaturze nowelistycznej. Tego było mu już nadto! »Kto wie — powiada ściśle zaprzyjaźniony z nim Antoni Zaleski — czy ostateczny przełom nie nastąpił u Sienkiewicza skutkiem obrzydzenia, jakie mu sprawiła cała rzesza naśladowników i naśladowniczek, te legiony Janków muzykantów, które

nagle zaczęły się pokazywać w każdem piśmie, codzień niemal. Znienawidził biednego Janka za to, że tak liczną miał progeniturę, a istotnie mogła mu go ona obrzydzić, pojawiły się tu bowiem monstrualne w tym kierunku rzeczy, rozpoczęło się powszechne na tę nutę kwilenie. Każdy tworzył swojego Janka, każdy kazał mu kraść, nawet zegarki, i powstał chór, który rzeczywiście mógł zdenerwować i zniechęcić tego, co pierwszy właściwie poddał mu nutę. Sprzykrzyło się więc Sienkiewiczowi wygrywanie na wyciągniętej kwincie uczucia i postanowił zagrać z innego tonu«.

Ale przedewszystkiem miał zwrot ten do zawdzięczenia *Szkicom historycznym* Kubali, które wtedy wyszły świeżo w dwóch tomach, a z których mu wypadło zdać sprawę w *Niwie*. Przeczytawszy je jednym tchem, tak się zapalił do tego wspaniałego tematu do powieści, tak mu się dał opętać po prostu, że już w swem barwnem, a bardzo obszernem streszczeniu tych niezrównanych »szkiców« aż w dwóch zeszytach *Niwy*, podkreślił ich całkiem wyjątkową wartość »dla dramaturga lub historyka-powieściopisarza«. »Doprawdy, iż jest to powieść, która się sama pisze«[1]). Ale zanim przystąpił do pisa-

---

[1]) Drugą pracą historyczną, z której Sienkiewicz przy pisaniu *Trylogii* czerpał wiele materyału, były *Dwa lata dziejów naszych* Szajnochy.

nia tej »powieści z lat dawnych«, skreślił najpierw epiczne dzieje *Bartka zwycięzcy* w wojnie prusko-francuskiej. Nowela ta wyszła w *Słowie* w roku 1882.

XI.

Ogniem i mieczem zaczęło wychodzić w temże *Słowie* w roku 1883. Zrazu miała ta powieść nazywać się *Wilczem gniazdem* i skupiać się głównie około rodziny kniaziów Kurcewiczów. Tytuł *Ogniem i mieczem* wymyślił Dyonizy Henkiel. Dopiero pod piórem, w ciągu pisania, rozwinął się szeroki obraz, powyrastały postacie. Punktem kulminacyjnym, tą główną sceną w powieści, do której zmierzała cała akcya, miało być przejście Skrzetuskiego przez obóz kozacki pod Zbarażem [1]).

W różnych miejscach pisana była ta epopea: z początku w Warszawie, później w Nałęczowie, potem w Zell am See, w Arcachon, w Mentonie, a przyczyną temu była wciąż rozwijająca się choroba piersiowa pani Sienkiewiczowej, dla której wypadało przenosić się z jednej stacyi klimatycznej do drugiej [2]).

---

[1]) *Towarzystwo warszawskie* (Ant. Zaleskiego).

[2]) Może nie bez interesu będzie wiadomość, że Sienkiewicz za książkową odbitkę z *Ogniem i mie-*

W jeszcze cięższych warunkach pisany był później *Potop*, którego większa część powstała w Meranie, w San Remo, w Reichenhall, »wśród najstraszliwszych cierpień i rozpaczy, w chwili, gdy wszelka nadzieja ratunku biednej pani Henrykowej nikła, i kiedy jedynym środkiem oderwania myśli od przewidywań rychłej katastrofy, była właśnie przymusowa i forsowna praca nad tą powieścią«. Praca ta przypada głównie na rok 1885, w którym też nastąpiła przedwczesna śmierć pani Sienkiewiczowej. Nie przypuszczał młody małżonek, gdy zamierzał pisać swą *Kronikę szczęścia*, że taki będzie jej epilog, że nie upłynie lat kilka, a on zostanie wdowcem z dwojgiem maleńkich dzieci...

Wkrótce po ukazaniu się *Potopu* przyjechał do Warszawy słynny krytyk europejski, Jerzy Brandes. Dla talentu Sienkiewicza powziął on odrazu wielką sympatyę i z niezmiernemi wyrażał się o nim pochwałami. Znał naturalnie drobne tylko

---

czem otrzymał od wydawców, Antoniego Zaleskiego i Eugeniusza Bonieckiego, rubli 800, płatnych w dwóch ratach, i to jeszcze z tem zastrzeżeniem, że »gdyby tom II nie obejmował 250 najmniej stronic, Henryk Sienkiewicz obowiązuje się dodać nowelkę do liczby stron 300«. Dnia 6 stycznia 1883 r. otrzymał autor *Ogniem i mieczem* rubli 300, zaś dnia 3 maja 1883 r. poświadczył odbiór rubli 500. Szczegółów tej umowy udzielił mi łaskawie dr. Józef Skłodowski.

jego nowele z przekładów francuskich i niemieckich: ani *Ogniem i mieczem*, ani *Potopu* nie czytał. Wychodząc jednak ze swej doktrynerskiej zasady naturalistycznej, zgodnej z teoryami Taine'a i Zoli, miał Sienkiewiczowi do zarzucenia, iż zamiast pisać powieści współczesne, kreślić to życie, które zna i na które patrzy, rzucił się na tematy historyczne i tworzy nie z obserwacyi, lecz z fantazyi [1]. Odpowiedź Sienkiewicza krytykowi duń-

[1] Poglądom tym, zrazu wypowiadanym w Warszawie w rozmowach poufnych, dał następnie Brandes konkretny wyraz w swych studyach literackich, w których tak pisał między innemi: »Ulubieniec polskiej publiczności, Henryk Sienkiewicz, prawdziwie patrycyuszowska natura, talent bogaty i gibki, pełen uczuć subtelnych i ciętej satyry, najwyżej stanął w tych utworach, gdzie z przenikliwym realizmem porusza tematy psychologiczne, jak n p. w *Szkicach węglem*, w tej chwytającej za serce i mistrzowskiej historyi Rzepowej. Doskonałe są również jego nowele, nadzwyczaj malownicze i pełne serdecznego uczucia. Niestety, w ostatnich latach Sienkiewicz, na wzór Dumas'a ojca, rozpłynął się w produkcyi nieskończonych historycznych romansów, które imię jego uczyniły popularnem w najszerszych kołach. To zatopienie się w epoce, której pisarz z doświadczenia własnego nie zna, to podporządkowanie sztuki celom postronnym tak ujemnie wpłynęły na artystyczną stronę utworów Sienkiewicza, iż stracił on najlepszych swoich czytelników, a historyczne jego powieści mają tylko przelotne powodzenie, jako narkotyki«. Zdaniem Brandesa, »tylko życie współczesne,

skiemu na ten zarzut była bardzo prosta (opowiada naoczny świadek tej historycznej rozmowy): »Realistyczna metoda — dowodził twórca *Potopu* — nigdzie właśnie nie da się lepiej stosować, aniżeli w powieści historycznej. Tu bowiem autor rozporządza w całej pełni tem, co realiści nazywają dokumentami ludzkimi. Ma on cały zasób

---

rzeczywiste może być źródłem natchnienia« i »jeżeli poeci polscy w naszych czasach chcą poważnie współzawodniczyć z najznakomitszymi pisarzami Europy, z największymi prozaikami Francyi i Rosyi — jest rzeczą konieczną, aby odwrócili się od dalszej przeszłości i trzymali jedynego pola, na którem poeta może uniknąć wszystkiego, co konwencyonalne i być nietylko natchnionym, ale i prawdziwym. Ten silny artystyczny pociąg do przeszłości opiera się ostatecznie na przesądzie, że tylko przeszłość i historya, historyczne poezye i obrazy pozwalają nam przedstawić ideał. Przyszłość może przekona nas, że żywioł historyczny jest również zbyteczny w poezyi, jak żywioł spirytystyczny«. Rozumowanie to, nie pozbawione pewnych cech słuszności w stosunku do innych literatów europejskich, dowodzi, jak Brandes nie odczuł psychologii narodu polskiego, narodu w niewoli, karmiącego się obrazami przeszłości narodowej, z czasów wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej. W każdym razie pisał to Brandes w czasie, kiedy *Trylogia* i *Quo vadis* jeszcze nie były przetłomaczone na języki obu półkul, a więc kiedy on sam nie znał tych historycznych powieści Sienkiewicza. Przypuszczać należy, iż Brandes, po zapoznaniu się z nimi, zmienił zdanie co do tej fazy twórczości autora *Krzyżaków.*

tych dokumentów i wie nietylko, jak się taki n. p. Bogusław Radziwiłł ubierał, jak wyglądał, ale zna najtajniejsze jego plany i zamysły, zna jego listy, pamiętniki, korespondencye prywatne i urzędowe, wyznania wyrwane z głębi duszy, myśli skrzętnie ukrywane przed całym światem. Może go więc obserwować w najrozmaitszych położeniach i wypadkach życia, może te dokumenty segregować i rozróżniać, jakim był wtenczas, kiedy pozował przed drugimi, a jakim wówczas, gdy występował przed powiernikami w całej swojej nagości. A nadto obserwator ma tu przed sobą postać całą, skończoną, życie zamknięte; wie nietylko, czego chciało, ale czego dokonało; ma fakty niezbite. Nie potrzebuje więc tworzyć, ale może odtwarzać daną postać z systematyczną prawie ścisłością. Fantazya odgrywa tu artystyczną tylko rolę, daje formę; treści zaś dostarczają owe najpewniejsze, najbardziej skrupulatne i niezawodne dokumenty ludzkie. Nie obserwuje on tu sam jeden, ale zlewa obserwacye tysiąca ludzi i pokoleń. Po czyjej więc stronie istotna prawda i rzetelny realizm? Zresztą — ciągnął dalej Sienkiewicz — cóż go obchodzić może ta szara, mgława codzienność nasza? Tam rozgrywają się wielkie wypadki i występują wielcy ludzie. Tam jest się do czego i czem zapalać: są wielkie charaktery, wielkie zbrodnie i wielkie poświęcenia. Czyż może go do tyla obchodzić jakiś współczesny pan X lub pan Y, aby miał

obserwować, badać życie i cierpienie jego odtwarzać? Oni go przedewszystkiem nudzą. Jeśli zaś idzie o tendencye i oportunizm powieściopisarski, to czyż nie lepiej i zdrowiej, zamiast malować dzisiejszy stan umysłów i ludzi, dzisiejszą ich nędzę, sprzeczność z samymi sobą, bezsilność i szamotanie się, pokazać swemu społeczeństwu, iż były chwile jeszcze gorsze, straszniejsze i bardziej rozpaczliwe, i że pomimo to ratunek i odrodzenie przyszło. Tamto może do reszty zniechęcić i zrospaczyć, to sił dodaje, nadzieję wlewa, ochotę do życia zagrzewa«[1]).

Tej samej tezy bronił z czasem Sienkiewicz w swym polemicznym odczycie *O powieści historycznej*, wygłoszonym w Warszawie, we Lwowie, w Krakowie i w Poznaniu. Przedtem jednak, w ciągu roku 1887 zaczął pisać *Pana Wołodyjowskiego*, który tak samo, jak *Ogniem i mieczem* i *Potop*, wychodził jednocześnie w warszawskiem *Słowie*, w krakowskim *Czasie* i w *Dzienniku Poznańskim*, oraz w licznych przekładach na język rosyjski[2]).

---

[1]) *Towarzystwo warszawskie*, t. II.

[2]) Dzięki brakowi konwencyi literackiej w Rosyi, Sienkiewicz nic nie miał z tych przekładów rosyjskich prócz platonicznej wdzięczności wydawców różnych miesięczników i dzienników. Po powodzeniu *Ogniem i mieczem*, gdy zapowiedziany był *Potop*, zwrócił się do Sienkiewicza wydawca moskiewskiej *Niwy*, Marks,

Jakie wrażenie czyniła ta »dla pokrzepienia serc« pisana *Trylogia* na czytający ogół polski, na jego wszystkie warstwy od pałaców aż do poddaszy i suteryn, jak były rozchwytywane jej książkowe wydania, rozchodzące się w tysiącach egzemplarzy, a jednocześnie, jak ten entuzyastyczny *vox populi* pozostawał w rażącej niezgodzie ze zjadliwymi głosami przeważnej części fachowej krytyki literackiej, o tem pamiętamy wszyscy. Ale najmilej, najuroczyściej, najrzewniej, zapisała się

---

proponując mu po 500 rubli za arkusz druku, byle tylko rosyjski przekład tej powieści wychodził o 24 godzin wcześniej, niż oryginał polski w *Słowie*, a tem samem korzystał z praw oryginału, t. j. uniemożliwiał inne przekłady rosyjskie jednocześnie. Choć propozycya była bardzo tentująca finansowo, Sienkiewicz odpowiedział odmownie... Nadmienić się godzi, iż wiele powieści Orzeszkowej, między innemi *Nad Niemnem* wychodziły w ten sposób, najpierw po rosyjsku, a nieco później w polskim oryginale. Podobnie postępowali sobie i autorzy francuscy, w stosunku do Anglii i Ameryki, i wiele powieści Bourgeta najprzód wychodziło po angielsku w Londynie i Nowym Yorku, a dopiero potem drukowały się w Paryżu. Gdyby Sienkiewicz zawarł podobny układ z Marksem, byłby niewątpliwie na transakcyi tej zrobił majątek. Zrezygnowawszy z tego, musiał pogodzić się z tem, iż go okradano bezkarnie, bo ledwo *Potop* zaczął wychodzić w *Słowie*, zaraz pojawiło się kilka różnych tłomaczeń rosyjskich w różnych czasopismach moskiewskich i petersburskich. Jednocześnie zaczęły wychodzić tłomaczenia niemieckie.

ta Sienkiewiczowska epopeja w pamięci tego pokolenia, które ją czytało wtedy na ławie szkolnej w Królestwie, pokolenia, które wtedy gnębione systemem rusyfikacyjnym Apuchtina, w tych szczeropolskich »powieściach z lat dawnych«, tak wspaniale odtwarzających bujną przeszłość narodową, znajdowało skuteczne antidotum na zatruwające wpływy »pedagogiczne« szkoły rosyjskiej.

O tym wpływie *Trylogii* na młodociane umysły ówczesnej młodzieży gimnazyalnej, wpływie błogosławionym i niezapomnianym, prześlicznie napisał niedawno Lorentowicz, jako właśnie jeden z tego pokolenia. »Nad literaturą polską XIX wieku — są wymowne słowa tego utalentowanego krytyka — unosił się tragiczny łopot skrzydeł geniusza, który w Improwizacyi poszybował w niebo, aby z Bogiem rozpocząć pojedynek na uczucia o nieszczęśliwy naród. Sienkiewicz przyniósł orędzie pogody i głębokiego optymizmu. Nie mogąc żyć w teraźniejszości, zawołał: Nie skończyła się jeszcze legenda! Obudzę śpiących rycerzy!... I z czarodziejstwem zaiste niesłychanem wypuścił w świat całe zastępy żywych bohaterów, ludzi »zbytkiem życia wściekłych«, jakich sztuka nie widziała od czasu Odrodzenia. Nasza powieść historyczna budowała epokę z kostyumów, zbiorów archeologicznych, z kronik i studyów językowych; Sienkiewicz ogromnym czynem twórczym stwierdził, że ludzie epoki dopiero wówczas

żyć poczynają, gdy się tchnie w nich dusze. I społeczeństwo polskie pomnożyło się, wzrosło o całe szeregi bytów idealnych, tak wyrazistych, tak plastycznych, tak niewątpliwych, że stały się potężnym czynnikiem jednoczenia. Od dziesiątków lat były wciąż z nami, są i w tej chwili pośród nas... Widzę was, drogie, ukochane widziadła młodości naszej dziecinnej! Widzę cię, mości panie Skrzetuski, arcy-typie rycerza polskiego, który z woli autora, w oczach naszych, zamieniasz się w posąg wszelkich doskonałości. Widzę cię, muszkieterze polski, mały panie Wołodyjowski, rycerzyku o niechybnem cięciu i sercu nad miarę skłonnem do afektów. Pędzisz przed naszym zdumionym wzrokiem, Kmicicu, junaku nad junaki, człowieku o wulkanicznej krwi a głowie szalonej. Idziesz ty ku nam i ty, uroczy Bohumie, abyśmy dalej podziwiali twą feniksową naturę: srodze pokłuty, potem zabity w pojedynku z Wołodyjowskim, potem zamordowany powtórnie przez Rzędziana, wstawałeś, zlepiony siłą talentu autora, aby nas czarować dalej. Bije tu żywiej niejedno serce na twe wspomnienie, Zbyszku, wrzący nadmiarem młodzieńczej, męskiej siły, przykuwający uwagę poezyą heroicznego czynu. Idziesz ty ku nam i ty, panie Longinusie Podbipięto, mocniejszy od niedźwiedzia, ścinający swym mieczem olbrzymim po trzy łby wraże, idziesz ku nam ze swą melancholią Wajdeloty, siłą tytana i sercem gołębia.

Widzimy was wszystkich, polskie Achillesy i Orlandy szalone! Jesteście dziś bliżej nas, niż kiedykolwiek; wyście to bowiem, nieustraszeni bohaterowie, dokazywali cudów waleczności pod Rokitną i Łowczówkiem, w Karpatach i nad Styrem... Słyszymy w tych zapasach homeryckich i śmiech. To ty opowiadasz o swych zwycięstwach, panie Zagłobo, rozkoszny arcyłgarzu, nieustraszony tchórzu, pociecho chwil smutnych, najświetniejsza emanacyo humoru polskiego, której nie przyćmi swym blaskiem żadna z wielkich postaci literatur europejskich. Zjawy cudowne, niezapomniane zjawy! Wyście to wypełniły w Polsce mroczne sale szkoły rosyjskiej, chrzęst to waszego oręża, szczęk waszych szabel, głuszył dźwięki narzuconej mowy obcej. Zaludniliście ziemię naszą, chodziliście od domu do domu i roznosiliście frenetyczny okrzyk: wrogi zalały całą Rzeczpospolitę!... Smucił się niegdyś Klaczko, że *Trylogia* nie była napisana wierszem, bo jako epopeja przetrwałaby wszystkie czasy. Proza — mówił — jest zbyt kruchym i słabym materyałem, który wietrzeje jak granit; wiersz zaś jest liściem aloesu, co utwór literacki chroni od zapomnienia i konserwuje na wieki. Nie uwierzymy w tę przepowiednię. Postacie *Trylogii* mają w sobie żywotność niepożytą. Nie umrą, jak nie umrze nigdy Don Kiszot ze swym towarzyszem. Może przygasną mniejsze perły talentu, które autor *Bartka zwy-*

ciężcy rozsiewał tak hojnie; może nawet, bez liścia aleosu, zbledną z czasem piękności rozrzuconego po świecie w milionach egzemplarzy *Quo vadis;* może przyjdzie czas, że żywa dziś i wdzięczna pamięć zasług obywatelskich Sienkiewicza przejdzie na zimne karty historyi. Ale żywot nieprzerwany, żywot prawdziwy, krwią i uczuciem pokoleń zasycony, mieć będą zawsze wielkie epickie wizye *Trylogii*. One to, jako jeden z najbujniejszych kwiatów marzenia polskiego, stanowią wiecznotrwały pomnik poety, najmocniejsze zapewnienie jego nieśmiertelności« [1]).

Kiedy wyszła *Trylogia*, nader surowo osądzona przez »fachową« krytykę, a zwłaszcza przez Zygmunta Kaczkowskiego [2]), jedynym krytykiem,

---

[1]) Zob. *Kurjer Warszawski* z 26 listopada 1916.

[2]) Tak n. p. po wyjściu *Olbrachtowych rycerzy* Kaczkowskiego napisał Chmielowski w *Ateneum* studyum porównawcze p. t. *Kaczkowski i Sienkiewicz*, w którem Kaczkowskiemu, jako powieściopisarzowi historycznemu, przyznał stanowczą wyższość nad Sienkiewiczem. Zdaniem Chmielowskiego Kaczkowski wierniej trzyma się prawdy historycznej, aniżeli Sienkiewicz, który to sąd równa się zupełnemu zapoznaniu pierwiastku t w ó r c z e g o w *Trylogii*. Jakby w odpowiedzi na ten zarzut Chmielowskiego, Konopnicka tak charakteryzuje rodzaj twórczości Sienkiewicza, jako powieściopisarza historycznego: »Sienkiewicz nie wskrzesza przeszłości, jako Piotrowina, po to, żeby ją przed sądem naszym stawiać i od

który ją osądził tak, jak na to zasłużyła dzięki swym patryotycznym walorom, był Stanisław Tarnowski. Zdaniem jego — wyrażonem w *Przeglądzie polskim* — *Ogniem i mieczem*, *Potop* i *Pan Wołodyjowski*, z chwilą ukazania się swego, »przestały należeć do wyrabiającej i formującej się teraźniejszości, a zajęły miejsce między dziełami dokonanemi w literaturze i w Panteonie dzieł wielkich, w arce przymierza między dawnemi a nowszemi laty«. »Dawno nie złożono w tej arce nic tak pięknego, tak godnego i zdol-

---

niej świadectwo winy przeciw żywym brać. I tem się różni Sienkiewicz od tych, którzy, mając czarnoksięskie zwierciadło Twardowskiego, ukazują nam w niem mary przeszłości. Gdy na zwierciedle rozciągnie się zasłona, mary znikną, przewieją i tylko chłód grobowy pójdzie od nich na nas. Nie! Takiem zwierciadłem Sienkiewicz nie posługuje się nigdy. I w tem leży czarodziejstwo jego. Nigdy też ani w *Trylogii*, ani w *Krzyżakach* nie słyszymy suchego szelestu przewracanych kart starych kronik, martwego łamania się starych pergaminów i charakterystycznego zgrzytu mozolnie dobieranych kluczy do zardzewiałych zamków dalekiej przeszłości. Nigdzie nie widzimy tego namarszczenia, które, gdy raz na czole badacza uczyni się oku patrzącemu widnem, natychmiast i w dziele zostawia ślady bruzd i zmarszczek. Nigdzie i w najmniejszej nawet mierze nie czujemy tej kurzawy i stęchlizny wieków, przez które nam, bądź co bądź, trzeba kroczyć. Ów zgrzyt, ów martwy szelest, owo namarszczenie czoła i stęchlizna wieków, wszystko to

nego łączyć nowsze lata z dawnemi, utrzymywać w tych nowych miłość dawnych, między niemi święty związek miłości ojczyzny, wszystkiego, co dobre w ojczyźnie, wszystkiego, co dobre na tej ziemi, a sprawiedliwe i święte w niebie. Od lat prawie czterdziestu, od czasu, jak śmiercią lub milczeniem wielkich poetów zamknęła się u nas epoka wielkiej poezyi, nie wydał naród w literaturze pięknej nic takiego, jak to dzieło Sienkiewicza«. A porównywując *Trylogię* z dziełami naszych wielkich poetów romantycznych, tak pisał Tarnowski o jej genialnym autorze: »U tamtych

---

niezawodnie było, być musiało. Owszem: im dzieło wolniejsze ma być od stęchlizny takiej, tem więcej twórca dzieła nałykać się jej musi. Bo dopiero nałykawszy się jej pełne płuca, może przerobić stęchliznę ową na świeży dech«. Stąd i niezmierne bogactwo typów w *Trylogii* i w *Krzyżakach*. »Jedne z nich tworzy (Sienkiewicz) przedziwnym poetyckim kunsztem, który w kreacyach tych znajduje skończenie artystyczny wyraz; inne — temperamentem, brawurą, rozmachem ręki, jakimś niezawodzącym instynktem rycerskiej krwi w żyłach. W każdym z nich czuć mocny puls własnego życia; każdy uderza nas silnym konturem, poza którym czuć cały świat własnych pobudek, dążeń, pojęć, całą odrębność psychiczną, indywidualną. A przecież we wszystkich tych doskonałych indywiduach wyjawiają się głębokie rysy duszy płomiennej«. Wszystkiego tego brak w historycznie wiernych, ale zimnych i oschłych — i nudnych — *Olbrachtowych rycerzach*.

yła mistyczna wiara i nadzieja, były szlachetne łudzenia ludzi i pokoleń, liczących ufnie na pewny, na rychły tryumf dobrego ziemi. Ten, syn gorszych czasów, a świadek samych złego powodzeń, smutny spektator podłych widowisk, który nie miał ani jednej takiej wiosny w życiu, jak Mickiewicz, ten wie, że na nic i na nikogo oglądać się nie można i nie warto: że siły odrodzenia szukać trzeba u Boga, a środków jego w własnej nądrości i cnocie. Trzeźwy też jest, kiedy patrzy na przeszłość, surowy, kiedy dla teraźniejszości wyciąga z niej naukę. Jednej wszystkie piękności zasługi widzi w takim blasku, jak nikt drugi; drugiej obowiązki wskazuje pośrednio tylko, ale stanowczo, jak kaznodzieja lub spowiednik. Cała jego dusza rozpala się i roztapia w miłości i uwielbieniu tego, co było wielkiem w naszej przeszłości; ale cały jego rozum i jego sumienie wytęża się, by rozpoznać i wskazać w niej to zło, które było powodem upadku. Bez osobistej znajomości, bez żadnego materyalnego związku, jest on duchowym synem tych ludzi, co kiedyś w emigracyi wołali o zwycięstwo nad sobą, jako warunek podstawę zwycięstwa nad nieprzyjacielem; co później, po ostatecznym pogromie i w ostatecznym ucisku, nadzieję sprawy zasadzali na nadziei poprawy; i czy księciu Jeremiemu każe odpierać pokusę, czy Radziwiłłowi pod nią upaść, czy Skrzeuskiemu każe być wzorem cnoty, czy Kmicicowi

wzorem skruchy i poprawy, mówi on swoim sposobem to, co mówił w kazaniach Kajsiewicz, Krasiński w *Resurecturis*, co innym, ale zgodnym z nimi tonem mówiły *Wiadomości polskie*, co wreszcie po nieszczęściu, w politycznych i historycznych pismach mówił Szujski i Kalinka. Jak tamci wszyscy, tak on, siedząc nad brzegami »Babilońskiej wody«, odzywa się rozdzierającym głosem: *Miserere!* Uzdrów mnie, Panie, bom chory jest, a udręczone są kości moje!« a razem ślubuje:

Jeżeli cię zapomnę kiedy, o Jerozolimo miła,
Niech język mój przyschnie do ust, i słowa
Niech więcej nie mówi.

a w głosie jego odzywa się echo współczesnego szwedzkim wojnom *Lamentu* Starowolskiego. Nigdy, jak świat światem, nie wzięła na siebie powieść tak wielkiego posłannictwa, nigdy go dotąd nie pełniła. A że zdołała sprostać i temu wielkiemu patryotycznemu obowiązkowi i z nim razem odpowiedzieć wszystkim warunkom, wszystkim wymaganiom sztuki, to wyciska na niej znamię szlachetności, jakiego dotąd nie nosiła, i pozwala jej świadczyć, że stoi ona także »na straży narodowego pamiątek kościoła«, a zarazem czuwa nad kolebką narodowego odrodzenia« [1]).

[1]) Należy podziwiać zręczność Sienkiewicza, który to wszystko potrafił napisać pod kontrolą rosyjskiej cenzury, w cenzuralnej formie, tak, iż z całej *Trylogii* cenzura nie wyrzuciła ani jednego wyrazu.

Podobne zdanie wypowiada o *Trylogii* także i w wygłoszonym niedawno o Sienkiewiczu odczycie Ignacy Chrzanowski, gdy twierdzi, że autor *Niewoli tatarskiej* dopiero wówczas uświadomił sobie całą potęgę swoich orlich skrzydeł, gdy zaczął szybować nad przeszłością swojej ojczyzny. »A wtedy zagrał na strunach jej miłości i chwały tak wspaniale jak nikt w Polsce od śmierci romantyków, i wtedy wskrzesił jej przeszłość tak poetycznie, jak nikt od śmierci Słowackiego«[1]). Wrażenie, jakie w całej Polsce wywołały te trzy powieści Sienkiewicza, porównywa Chrzanowski z wrażeniem, jakie na słuchaczach w Soplicowie uczynił koncert nad koncertami Jankiela.

Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła:
Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!«

»To nie przesada — powiada Chrzanowski — wszyscyśmy usłyszeli w *Trylogii*, a i w *Krzyżakach* Sienkiewicza, te cztery słowa, o których prawdę powiedział Witkiewicz, iż są to największe słowa, jakie po stracie niepodległości usta polskie wy-

[1]) Tu zaznaczyć należy, iż właśnie tym poetą, którego wpływ na *Trylogii* odbił się najwyraźniej, był Słowacki, jako autor *Beniowskiego*. Pisze o tem szczegółowo prof. Kallenbach w swej rozprawie o *Twórczości Sienkiewicza*.

mówiły. Łudził się wróg, a przynajmniej chciał wmówić w świat, że cudowna muzyka tych słów przestała już grać w sercach polskich, myśmy ją sami coraz dalszą i coraz cichszą słyszeli, już konającą »gdzieś na niebios progu«, ale kiedy ją nam Sienkiewicz zagrał na sercach, one oddźwiękły równie głośno, jak dawniej, tą samą wiarą, tą samą nadzieją, tą samą miłością, równie głęboką, ale bez porównania szerszą: bo dawniej tę pieśń śpiewała tylko cząstka narodu, ale *Trylogia* Sienkiewicza nauczyła ją śpiewać całe tysiące, a raczej całe miliony ust i serc polskich, które jej dawniej nie znały, a przynajmniej nie rozumiały i jeszcze nie kochały. Tak, jeżeli dzisiaj muzyka tej pieśni ukochanej gra już we wszystkich duszach polskich, jest to w ogromnej mierze zasługą Sienkiewicza. Przecież nigdy żadna książka polska nie była tak poczytną, jak *Trylogia;* przecież nie Mickiewicz, tylko Sienkiewicz dożył tego szczęścia, iż książki jego »zbłądziły pod strzechy«; przecie to nie bajka, tylko szczera prawda, że chłop polski dawał na mszę za duszę Podbipięty, iż na Litwie i w Prusach, w Rosyi i w Ameryce niejedna dusza polska, która w połowie już zatraciła swą polskość, odzyskiwała ją w całej pełni po przeczytaniu *Trylogii.*

Po wyjściu *Pana Wołodyjowskiego* otrzymał Sienkiewicz bezimienny list z wyrazami uwielbienia dla tego niezrównanego cyklu powieści histo-

rycznych, list z podpisem »Wołodyjowski«, a do listu, jako pozytywny akt hołdu dla świetnego pisarza-patryoty, był dołączony pakiecik, zawierający 15000 rubli w gotówce. Ofiarodawcy — którym okazał się pan Wołodkowicz z Ukrainy — zależało na tem, by Sienkiewiczowi choć w części stworzyć sytuacyę niezależną materyalnie. Ale autor *Ogniem i mieczem*, choć ujęty tym wspaniałomyślnym darem, podyktowanym najlepszą intencyą, nie przyjął go (bo jak się wyraził: nie pozwalała mu na to jego artystyczna »fantazya«), lecz złożył tę sumę w depozycie Akademii Umiejętności w Krakowie, jako fundusz żelazny imienia Maryi Sienkiewiczowej, z którego odsetek mogli by korzystać polscy literaci lub malarze, dotknięci chorobą piersiową.

Tym sposobem *Trylogia* była nietylko wielkim czynem literackim, obywatelskim i patryotycznym, ale nadto wywołała dobry uczynek swego znakomitego twórcy, uczynek dla dobra braci artystycznej.

Tymczasem zaczęła *Trylogia* zdobywać sobie popularność w Europie i w Ameryce, najprzód w Niemczech, a z kolei w Ameryce i w Anglii. Oto, co w tej kwestyi pisze tłómacz Sienkiewicza na język angielski, Jeremiasz Curtin, w artykule swym w *Century Review*, z lipca 1898 p. t. *Moje znajomości z Sienkiewiczem:* »Zajmując się badaniami etnograficznemi w instytucie Smithsona

w Waszyngtonie, zamówiłem sobie egzemplarz *Trylogii* Sienkiewicza. Śledząc z upodobaniem rozwój literatur słowiańskich, wiedziałem, że dzieła te wywołały wielkie, wprost niebywałe zainteresowanie wśród Polaków i Rosyan. Wiedziałem także, że były one znacznej objętości, ale zobaczywszy na mojem biurku trzynaście tomów o blizko 4000 stronic, byłem cokolwiek przerażony. Wziąłem się przeto do czytania po kolei. Znalazłem pierwszy rozdział tak znakomitym, że jednym tchem przeczytałem wszystkie cztery tomy. Wspaniałe opisy akcyi i charakterów były dla mnie źródłem wielkiej i prawdziwej rozkoszy. Odkryłem Sienkiewicza! zawołałem, skończywszy *Trylogię*. Czytelnicy amerykańscy będą się rozkoszowali temi dziełami, muszę je przetłómaczyć«. Zaczął od przetłómaczenia *Ogniem i mieczem* [1]), ale nakładca nowojorski, któremu zaproponował wydanie przekładu, odrzucił manuskrypt, bo »wprawdzie dzieło jest wspaniałe i oryginalne, ale historya polska to przedmiot zbyt obcy i odległy«. Dopiero Little, Brown et Comp. w Bostonie zgodzili się na ryzykowną próbę wydawniczą. Powodzenie od razu było ogromne. »Książkę przyjęto z takiem uznaniem — pisze Curtin — że posta-

[1]) Nawiasem mówiąc, tłomaczył je podobno Curtin początkowo nie z oryginału, lecz z rosyjskiego przekładu.

nowiłem zabrać się do *Potopu*. Pierwszy tom był gotów z końcem 1890, reszta do lata 1891. *Pana Wołodyjowskiego* tłómaczyłem w Irlandyi. Wkrótce po wydaniu *Ogniem i mieczem*, zacząłem odbierać listy od całkiem mi nieznanych osób, tak mężczyzn jak i kobiet, ze wszystkich stron amerykańskiej unii. Pisali oni do mnie po prostu dlatego, aby mi donieść, że czytali *Trylogię* z taką rozkoszą, iż czują potrzebę zawiadomienia mnie o tem i podziękowania za przyswojenie tych dzieł czytelnikom amerykańskim, a zachwyt ten Amerykanów jest wprost żywiołowy. Pisał do mnie kiedyś jeden ze znajomych, inżynier w warsztatach okrętowych Newport News Massachusetts: »Dałem James'owi (urzędnikowi w biurze) *Trylogię* Sienkiewicza. Od tej chwili zwaryował. Wcale do pracy nie przychodzi. Leży na łóżku, wykładając nogi to na krzesło, to na ścianę, i czyta zapamiętale. Groźby i prośby nie pomagają. Choćbym miał miejsce stracić, nie przyjdę, póki nie skończę, oświadczył kategorycznie. I co z nim począć«. Tak to *Trylogia* działała i na obcych, na obu półkulach.

XII.

Skończywszy szczęśliwie *Trylogię*, zamierzał Sienkiewicz napisać wielką powieść z czasów Ja-

giełły, zakończona pod Grunwaldem pogromem Krzyżaków. Niestety, musiał poniechać tego zamiaru, gdyż po niebywałym sukcesie, jaki sobie w całej Polsce zdobyły te jego rapsody rycerskie, cenzura warszawska, z inicyatywy Hurki i Apuchtina, zawiadomiła go zawczasu, że mu nadal nie pozwoli na druk żadnej powieści historycznej, poczerpniętej z przeszłości polskiej narodowej; że albo musi pisać powieści historyczne osnute na tle wypadków kosmopolitycznych, jakichkolwiek, byle nie polskich, albo winien powrócić do tematów współczesnych.

Wobec tego[1]), po napisaniu w roku 1888 w Ostendzie *Tej trzeciej* zaczął Sienkiewicz późną jesienią roku 1889 w Zakopanem pisać psychologiczną historyę Płoszowskiego, jako bohatera *Bez dogmatu*. Po tej mistrzowskiej powieści, którą wielu krytyków uznało za najartystyczniejszy utwór Sienkiewicza, za jego arcydzieło powieściowe, godne zestawienia z najznakomitszymi romansami francuskimi, nastąpiła w r. 1893 *Rodzina Połanieckich*. Z kolei ukazały się wspaniałe *Listy z Afryki*, aż wreszcie w r. 1895 zaczęło się drukować *Quo vadis*, po którem ostatecznie, dzięki

[1]) Sienkiewicz wogóle liczył się z warunkami cenzury, tak dalece, że nigdy nie napisał nic niecenzuralnego. Nawet najbardziej patryotyczne myśli przyoblekał w formę, w której rosyjski cenzor nic nie miał do wykreślenia.

nieco łagodniejszym stosunkom cenzuralnym, uzyskał Sienkiewicz możność pisania projektowanych oddawna *Krzyżaków*. Pozatem, w przerwach między tymi utworami na wielką skalę, tworzył i rzeczy drobniejsze, takie klejnoty nowelistyczne, jak *Pójdźmy za Nim*, *Lux in tenebris*, *Sielanka*, *Z puszczy białowieskiej*, *Na jasnym brzegu* etc., w miarę zaś, jak rosła jego sława wszechświatowa, zabierał również głos i w sprawach politycznych, czy to, gdy wypowiadał swój tacytowski sąd o Bismarku, czy też, gdy pisał swój głośny list do baronowej Suttner, czy wygłaszał mowę przy odsłonięciu pomnika Słowackiego w Miłosławiu, czy wreszcie, gdy w rodzaju swych dawnych *Mieszanin z Niwy*, pisał artykuły krytyczne o powieściach Anatola France'a (którego był wielkim zwolennikiem), o poezyach Konopnickiej i t. p.

Spragniony wrażeń, zasilających jego wyobraźnię, odkąd został wdowcem, wrócił Sienkiewicz do dawnego koczowniczego życia, znów zaczął szukać przygód po szerokim świecie. Jakaś nerwowa niespokojność popychała go z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, z gór na równiny, z nad błękitów morskich w podobłoczne krainy wiecznych śniegów, z zacisznych wsi bretońskich w zawrotny wir bulwarów paryskich, z nad lagun weneckich pod ponure sklepienia Escurialu, z cyrków hiszpańskich na ruiny Aten, z puszcz afrykańskich do watykańskich muzeów. »Dziwnie

raz w życiu — powiada on sam o sobie — spotkałem się ze słynnym poetą czeskim Vrchlickym. Było to późno w noc, na praskim Przykopie, przy księżycu. Zamieniliśmy kilkanaście słów, rozeszli się i nie zetknęli więcej. Lecz w rok lub dwa później doszedł mię tom poezyi Vrchlickiego, w którym znalazłem echo tego spotkania. »Tyś jest jak obłok, mówi do mnie Vrchlicky, który wiatr nosi po szerokim świecie, a jam, jak czeska chata, patrząca okienkami na zawsze jednaki widnokrąg«. I rzeczywiście odmienne są nasze losy: istotnie jestem jak obłok, który wiatr nosi, czasem aż do umęczenia«.

Wiatr ten pognał go w r. 1892 w głąb Afryki, gdzie mu pozwolił [1]) przez szereg miesięcy prowadzić życie pełne przygód, polować na antylopy i krokodyle, strzelać do hipopotamów i nosorożców, chronić się przed palącem słońcem w cień gigantycznych baobabów, przeprawiać się z murzynami przez olbrzymie rzeki Czarnego Lądu, żyć przez czas jakiś wśród francuskich misyonarzy, przedzierać się przez dziewicze lasy podzwrotnikowe, co wszystko potem opisał w swych egzotycznych *Listach z Afryki*.

Innego roku, po zwiedzeniu Konstantynopola, odbył pielgrzymkę do starożytnej Hellady, oddychał ciepłem »ambrozyjskich« nocy greckich.

---

[1]) W towarzystwie hr. Tyszkiewicza.

na Akropolu podziwiał »prawdziwie boski ład« złotawych kolumn, błądził po marmurowych uroczyskach Parthenonu i Erechtejonu, a owocem tych dumań w stolicy Grecyi jest nietylko przepyszny opis tej »wycieczki«, ale i pełen antycznego stylu, zupełnie czyniący wrażenie kartki wyciętej z jakiegoś poematu Homera *Wyrok Zeusa*, jedno z arcydzieł nowelistycznych Sienkiewicza, daleko prześcigające wszelkie tego rodzaju powiastki Anatola France'a.

Z wrażeń doznanych w czasie podróży po Hiszpanii, powstał przepyszny opis walki byków w cyrku madryckim, ostatnie słowo plastyki i kolorytu.

Z częstych pobytów Sienkiewicza w ojczyźnie Dantego i Petrarki zrodziły się barwne karki *Z wrażeń włoskich*, pełne mórz, widzianych w blasku słonecznym lub w zorzach, upstrzone białymi i bronzowymi żaglami rybackimi, przesycone oślepiającym blaskiem słońca, obfite w orzeźwiający cień oliwnych ogrojców, melancholijne okruchami grobowców, widzianych na różnych Campo Santo, zdobne przepysznym pióropuszem Wezuwiusza, szemrzące pluskiem weneckich gondoli, połyskujące marmurami kąpiących się w Canale Grande pałaców, rozmarzające szeptem duetów miłosnych na placu św. Marka, oszałamiające hałasem i rozgardyaszem neapolitańskiej Chiai, kojące ciszą i chłodem kościołów

Sieny i Asyżu, pełne spokoju i powagi ruin Forum Romanum i Coloseum, malownicze smukłością cyprysów i rozłożystością pinij, kraśne czerwienią kwitnących róż i rododendronów. Tym włoskim wrażeniom, rozproszonym po całym szeregu utworów Sienkiewicza, zawdzięczamy najartystyczniejsze rozdziały w *Bez dogmatu* i *Rodzinie Połanieckich*, wrażeniom zaś doznanym w Rzymie, w którym Sienkiewicz kochał się tak samo, jak w nim kiedyś rozmiłowany był autor *Irydyona*, mamy do zawdzięczenia *Quo vadis*.

O genezie tej przesławnej powieści, tłómaczonej na wszystkie języki świata, tak pisze sam Sienkiewicz, w liście do literata francuskiego, Ange Galdemar [1]):

> Był to wynik licznych przyczyn. Miałem zwyczaj od wielu lat, przed zaśnięciem czytywać historyków łacińskich. Robiłem to nietylko z zamiłowania do historyi, która mię zawsze nader silnie zajmowała, ale również ze względu na łacinę, której nie chciałem zapomnieć. To przyzwyczajenie pozwalało mi czytywać prozaików i poetów łacińskich z mniejszą trudnością i budziło zarazem coraz gorętszą miłość do świata starożytnego. Najwięcej pociągał mię, jako dziejopis, Tacyt. Wczytując się

[1]) List ten ogłosił przed kilkunastu laty *Kurjer Warszawski*.

w Annale, niejednokrotnie czułem się kuszonym przez myśl przeciwstawienia w dziele artystycznem tych dwóch światów, z których jeden był potęgą rządzącą i wszechwładną machiną administracyjną, gdy drugi reprezentował wyłącznie siłę duchową. Myśl ta pociągała mnie, jako Polaka, przez swą ideę zwycięstwa ducha nad siłą materyalną; jako artystę, porywała mnie przez zachwycające formy, w jakie umiał przyoblekać się świat starożytny.

Siedm lat temu, podczas ostatniego mego pobytu w Rzymie, zwiedzałem miasto i okolice z Tacytem w ręku. Mogę powiedzieć, że sama myśl już była we mnie dojrzała; chodziło tylko o znalezienie punktu wyjścia. Kaplica *Quo vadis*, widok bazyliki św. Piotra *Tre fontane*, góry Albańskie, dokonały reszty. Wróciwszy do Warszawy, rozpocząłem studya historyczne, które zapaliły mnie jeszcze mocniejszą miłością do projektowanego dzieła.

Taka jest geneza *Quo vadis*. Do tych motywów możnaby dołączyć jeszcze dużo innych; me uczucia osobiste, wędrówki po katakombach, świetlany krajobraz, który otacza zawsze miasto wieczne, akwadukty, widziane o zachodzie lub wschodzie słońca...

Powiada Mickiewiczowski Konrad, że nietylko by pragnął dźwignąć i uszczęśliwić swój naród, ale

chciałby nim także »cały świat zadziwić«. Nie udało się to dotychczas żadnemu z naszych wielkich poetów, ani Mickiewiczowi, ani Słowackiemu, ani innym. Pierwszym pisarzem polskim, którego czytał i podziwiał świat cały, był Henryk Sienkiewicz. On sprawił, że o »kraju Sienkiewicza« wiedzą wszystkie cywilizowane narody, że w całej Rosyi, w całej Anglii, w całych Włoszech, w Niemczech, we Francyi, w Ameryce, w Azyi, w Afryce i w Australii, wszystko, co mieni się inteligencyą, czyta i zachwyca się jego powieściami, a tem samem zaczyna interesować się i społeczeństwem, które wydało tak znakomitego pisarza. Powieści jego, przetłómaczone na wszystkie języki, nie wyłączając nawet takich, jak armeński i hebrajski, rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy, a według obliczeń bibliografów angielskich, »na rekordzie wszechświatowym literatury XIX wieku« palma pierwszeństwa przypadła w udziale twórcy *Quo vadis*. Albowiem »pod względem ilości przekładów na różne języki, jak i pod względem ogólnej liczby egzemplarzy wszystkich wydań, żaden utwór literatury pięknej upłynionego stulecia nie może sprostać temu dziełu«. Gdy w roku 1900, na pamiętnym obchodzie jubileuszowym Uniwersytetu Jagiellońskiego stanęli przed jego Senatem delegaci uniwersytetów amerykańskich, zaświadczyli głośno, że przybywają z kraju, któ-

rego każdy mieszkaniec ma w swojem sercu Kościuszkę, a w swoim domu, obok Pisma świętego, także i *Quo vadis*[1]).

Podczas jubileuszu tego przyznał Uniwersytet krakowski Sienkiewiczowi tytuł doktora *honoris causa*, a cesarz Franciszek Józef ofiarował mu wysoki order *litteris et artibus*.

XIII.

A jakże przedstawiał się człowiek, którego natura obdarzyła tak fenomenalnym talentem, a który, dzięki temu talentowi właśnie, zdobywszy wszechświatową sławę na obu półkulach, stał się temsamem chlubą swego narodu? Najlepszą odpowiedź na to pytanie, odpowiedź, będącą krótką

---

[1]) Fakt ten opowiada Chrzanowski w swym odczycie o Sienkiewiczu (str. 29):

»Sienkiewicz, jako rosyjski poddany, nie mógł korzystać z praw konwencyi literackiej, obowiązującej na całym świecie, prócz Rosyi. Wobec tego wszyscy tłomacze na obce języki, którzy przekładali *Quo vadis*, czynili to bezkarnie, a choć sami, jak n. p. Curtin, ciągnęli z tego, wraz z wydawcami, olbrzymie zyski, Sienkiewiczowi przesyłali tylko platoniczne wyrazy zachwytu i entuzyazmu dla jego geniuszu. Tylko jedna firma (zdaje się amerykańska), po niesłychanem rozejściu się *Quo vadis*, przysłała Sienkiewiczowi w postaci tantiemy kilkanaście tysięcy franków«.

a doskonałą charakterystyką Sienkiewicza, jako człowieka, dał w roku 1886 w *Towarzystwie Warszawskiem* Antoni Zaleski, wówczas redaktor *Słowa:* »Sienkiewicz — zdaniem jego — nie należy do tych, co sami rzucają się w oczy; raczej od ludzi stroni, aniżeli ich szuka. Wszystko w tym człowieku jest jakoś dziwnie równe, harmonijne, artystycznie pełne. Weź samą jego postać. Twarz piękna, ale nie banalnie przystojna, rysy ostre, wyraziste, męskie, w spojrzeniu jakiś odcień zadumania, które nie jest bynajmniej rozmarzeniem. W zachowaniu się spokój, miara, prostota. Nigdy żadnej pozy, nigdy udawania czegoś lub kogoś. Raczej apatyczny, aniżeli nieśmiały, nie znosi towarzystwa ludzi mało sobie znanych. Nowa znajomość jest dla niego istnem poświęceniem. Skorym też do niego nie bywa. Za to w gronie bliższych przyjaciół staje się swobodny, wesoły, dowcipny czasami, dawniej zwłaszcza, nawet swawolny, jak żak. Bez fałszywej skromności, obojętny jest jednak na pochwały i uznania, o tyle naturalnie, o ile człowiek śmiertelny, który zawsze woli, aby go spotkało dobre, aniżeli złe, obojętny być może. Powodzeniem nie gardzi (byłoby to bowiem pozą), ale gdyby go zabrakło, sądzę, iż nie uskarżałby się wcale i nie kiwnąłby nawet palcem, aby je sztuczną posiąść drogą. W rezultacie wszystko, co o nim i na niego piszą, zarówno dobrze, jak źle, mało go obchodzi, nie dlatego, aby

był tak bezdennie zarozumiały, ale skutkiem pewnej w tym kierunku apatyi i znieczulenia nerwów. Trzeba jakiejś bardzo wybitnej i istotnej powagi, by zdanie, które o nim wygłosiła krytyka, mogło go zainteresować. W całem powodzeniu *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu* jedno mu tylko zrobiło zadowolenie, to mianowicie, iż dochód, jaki mu te powieści przyniosły, umożliwił troskliwą kuracyę chorej żony. Pozatem, jak napaści nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, tak i pochwały sprawiały mu względne tylko zadowolenie, o tyle tylko, że mógł je pokazać żonie i tem jej sprawić przyjemność. Czuje dobrze wartość swego talentu i dzieł, nie mniej jednak zarozumiały nie jest i nie był nim nigdy; przeciwnie, nikt chyba z piszących równie łatwo nie przyjmuje wszelkich rad i wskazówek, jak on. Powolność w tym kierunku posuwa często aż do przesady, słuchając takich nawet, którzy prócz życzliwości osobistej, żadnej innej nie przedstawiają kompetencyi. Jest jednym z tych rzadkich, co nie cierpią o sobie samym rozmowy. To go głównie odstręczyło od bywania w świecie, gdzie salonowych komplementów i zdawkowych pochwał znieść nie mógł, tak go one nużyły, a co gorsza, nudziły[1]). Nie należy do tych, coby nudę, jak

[1]) Najchętniej bywał na męskich zebraniach piątkowych u doktora Karola Benniego, których jako ser-

sport uprawiali; owszem boi się jej straszliwie i unika starannie, choćby z narażeniem swej popularności i kosztem zdobycia przydomku mizantropa. W sądach o innych czasem aż do słabości wyrozumiały: czyni to zapewne głównie z obawy, aby go o małostkową zazdrość nie posądzić. Natura to nawskroś estetyczna, która wielu rzeczy nie popełnia głównie dlatego, że się niemi brzy-

---

deczny przyjaciel gospodarza, nie opuszczał nigdy, o ile bawił w Warszawie. Gdy uczestnicy tych słynnych »piątków« (słusznie nazywanych »parlamentem warszawskim«) postanowili uczcić ich 25-lecie, i ofiarowali doktorowi Benniemu z tego powodu obraz kredkowy Kamieńskiego, przedstawiający takie posiedzenie piątkowe przy ul. Brackiej, Sienkiewicz odczytał jubilatowi następujący przez siebie zredagowany i własnoręcznie na pergaminie skreślony adres:

»Drogi nasz gospodarzu!

Upłynęło dwadzieścia pięć lat od czasu, jak nas przyjmujesz na swoich piątkach. Stały się one już poniekąd instytucyą miłą a potrzebną i pożyteczną, każdy bowiem, kto przychodził do Ciebie, niechał kłopotów osobistych, zapominał o swoich prywatnych troskach i sprawach, a mówił i myślał o rzeczach wyższych, szlachetniejszych, całą powszechność obchodzących. Siałeś na swoich »piątkach« rozliczne ziarna, z których już jakoweś zboże wyrosło. Że tak było, to zasługa Twoja, Twojej poczciwej polskiej gościnności i nastroju, jaki umiałeś swym przyjęciom nadać.

Dlatego też, my obecnie zebrani, ofiarujemy Ci

dzi i że jest za bardzo wykwintna. Z wszystkich sztuk pięknych najwięcej lubi malarstwo i zawsze żałuje, iż nie jest malarzem«.

W słynnej scenie zamkowej, gdzie stary klucznik Gerwazy opowiada hrabiemu, jako ostatniemu z Horeszków, jego historyę rodzinną, »która się stała właśnie w tej izbie, nie w innej«, zainteresowany nią hrabia, wysłuchawszy jej w mil-

---

na pamiątkę ten karton z naszemi podobiznami, jako dowód czci i serdecznej wdzięczności. Przyjmij go takiem sercem, jakiem Ci go dajemy i przyjmij zarazem nasze życzenia, abyśmy za dwadzieścia pięć lat mogli Ci w lepszych czasach ofiarować znowu nasze portrety.

Niech żyje doktor Karol Benni!

Henryk Sienkiewicz«.

Nadto karton ten podpisało 14 uczestników »piątków«.

Drugim warszawskim przyjacielem Sienkiewicza, u którego bywał najchętniej, a gdzie mógł być sobą, był redaktor *Gazety Polskiej*, a później od roku 1891 *Biblioteki Warszawskiej*, Dyonizy Henkiel, zwany przez licznych swych wielbicieli »pustelnikiem z Mazowieckiej ulicy«, gdyż tam zajmował skromne mieszkanko w oficynie w podwórzu. Tam to między godziną 6 a 7 wieczorem gromadziło się przy herbacie doborowe grono ludzi na pogawędkę z niepospolitym gospodarzem. Sienkiewicz, na którego twórczość wogóle Henkiel zawsze miał olbrzymi wpływ, bywał tu bardzo często.

czeniu, konkluduje w końcu: »Szkoda, że masz niewielki dar opowiadania!«

Uwaga ta nie nasunęła by mu się z pewnością, gdyby kiedykolwiek miał sposobność podziwiania narracyjnego talentu Sienkiewicza, ten bowiem, jak był niezrównanym narratorem, jako powieściopisarz, tak i w zwykłej rozmowie, o ile mu dogadzało towarzystwo, odznaczał się całkiem wyjątkowym darem opowiadania, przyczem lubił dawać folgę swemu wrodzonemu humorowi i dowcipowi. Bo jako twórca Zagłoby, miał humor nietylko w piórze: miał go także w życiu, w swoich stosunkach z ludźmi, zwłaszcza z przyjaciółmi. »W gronie kolegów i przyjaciół — pisze jeden z dobrych jego znajomych — nie skąpił nigdy słowa. Był doskonałym narratorem i wiedział o tem. Wiedział także, że go słuchano inaczej, niż innych. Chętnie też zabierał głos i opowiadał bądź o swoich przygodach czasu podróży do Ameryki, Afryki i Konstantynopola, bądź o wrażeniach życia potocznego w Warszawie i w Krakowie, w te bowiem dwa miasta był doskonale »wżyty« i znał wszystkie ich towarzyskie sfery. Opowiadania jego wywoływały niejednokrotnie wybuchy śmiechu. Umiał on utrzymać do końca uwagę słuchacza w naprężeniu i doprowadzić go do *point'y*, którą zwykle zaznaczał dyskretnie, usuwając siebie, jako opowiadającego na plan dalszy. Ile w tych opowiadaniach było dowcipu, ile finezyi, ile *talentu*,

ile bystrej spostrzegawczości i doskonałej znajomości ludzi, o tem wiedzą najlepiej ci, którym dane było słyszeć bezpośrednio z ust Sienkiewicza jego żywe słowo«.

Zamiłowany podróżnik i myśliwy namiętny, skoro go znużyła czczość i szablonowość naszego codziennego życia, stale snuł plany dalekich podróży, a między innemi marzył o Indyach, o polowaniu na tygrysy, bo zdaje się był to jedyny zwierz, do którego nie strzelał w swojem bujnem życiu. Jedną z jego najulubieńszych lektur były też zawsze, od dziecka, opisy podróży, a jak w swoim czasie z zapałem czytywał Jules Verne'a i Mayne Reade'a, a potem Stanleya i Livingstona, tak później z niemniejszym zapałem studyował Nansena. Z powieściopisarzów miał kult dla starego Dumasa, dla Dickensa, bardzo wysoko cenił Anatola France'a, Bourgeta, zwłaszcza jego romans *Cosmopolis*, i d'Annunzia (pierwsze romanse). Do autora *Nany*, jak tego dał konkretny dowód w swych *Listach o Zoli*, był uprzedzony, pomimo całego uznania dla jego niezwykłego talentu, a szczególniej dla jego *Debâcle*, którą to powieść, jak mi sam mówił, czytał kilka razy. Bardzo wysoko cenił Maupassanta, choć wolał od niego Daudeta, którego nawet sam kilka nowel tłómaczył dla *Słowa*, a był czas, iż zamierzał przełożyć całego *Tartarin sur les Alpes*, bo dla Tartarina, jak dla Falstaffa, miał osobliwą słabość, co i na Zagłobę

nie pozostało bez wybitnego wpływu. Natomiast nie cierpiał Ohneta i wszystkich salonowych romansistów; zarzucał im szablonowość, ckliwość i banalność. Mimo to lubił powieści angielskie, nawet pisane przez kobiety. O Tołstoju wyrażał się z najwyższem uznaniem. Wogóle powieści czytywał mnóstwo, będąc zawsze *au courant* wszystkich celniejszych nowości w tej dziedzinie.

Z pośród narodów najwyżej cenił Anglików, pełen uwielbienia dla ich wysokiej kultury. Dla Francuzów miał wrodzoną sympatyę, tak samo, jak do Włochów. Najmniej pociągali go Niemcy, z których językiem zresztą był słabo obeznany. Dla muzyki miał mało zmysłu.

W jaki sposób tworzył? »Ma on swój odrębny, charakterystyczny sposób tworzenia — pisze o nim Antoni Zaleski: — nie pisywał nigdy inaczej, jak urywkami, z felietonu na felieton, z numeru na numer. Tak powstała niegdyś w *Gazecie Polskiej* pierwsza jego obszerniejsza powiastka *Hania*, tak samo pisały się wszystkie późniejsze powieści historyczne i współczesne, od *Ogniem i mieczem* aż do *Krzyżaków* włącznie. Niektóre tylko drobniejsze nowelki przyszły na świat za jednym zamachem; inne pisane były z dnia na dzień. Cały plan układał sobie w myśli; żadnych notatek nigdy nie robił; nie wiedział, co to brulion; pisał odrazu do druku. Dopiero w ciągu roboty rozmiary powieści i figur rosły mu pod piórem. Kiedy zaczy-

nal *Ogniem i mieczem*, sądził że powieść ta będzie miała dwa tomy: zrobiły się cztery. *Potop* miał mieć cztery, a powstało sześć. Skoro raz zasiadł do pisania, skoro już raz wciągnął się do roboty, szła mu niezmiernie łatwo i prędko, choć kreślił sporo. Najdłużej trwały przygotowania mozolne i pracowite. Studya historyczne do *Ogniem i mieczem* trwały rok przeszło; do *Potopu* trochę mniej. Przedewszystkiem czytał bardzo dużo, wertując prawie całą literaturę, odnoszącą się do danego przedmiotu: głównie pamiętniki współczesne, rękopisy, kroniki, *silva rerum*. W ten sposób wżywał się w epokę, zaznajamiał się z nią w najdrobniejszych szczegółach, i dopiero, kiedy wszystkie historyczne postacie stawały mu, jak żywe z krwi i kości, przed oczyma, zaczynał pisać [1]). Kompozycya nigdy nie była jego silną stroną«.

---

[1]) O tem, jak sumiennie Sienkiewicz przygotowywał się do pisania swych powieści historycznych, niech poświadczą jego następujące dwa listy do Stanisława Smolki w sprawie *Krzyżaków*:

Zakopane, 3 lipca 1899.

...Wziąłem ze sobą mało książek. Potrzebuję teraz mniej więcej dokładnego opisu Malborga, a nie mam nic podobnego pod ręką. Czy Pan nie posiada czegoś podobnego w polskim języku i w zakresie nie nadto obszernym? Od biedy niechby było i po niemiecku, ale wolałbym w każdym innym języku, gdyż po niemiecku czytam wolno, tracąc przytem dużo

Jak każdy prawdziwy talent, tak i Sienkiewicz nie wszystkie utwory swej fantazyi równem obdarzał sercem. Z nowel najwięcej może lubił *Przez stepy*, w których bohaterce, Lilianie, sam się kochał poprostu. W *Ogniem i mieczem* specyalnym faworem darzył Zagłobę i nieboszczyka pana Podbipiętę. Z kobiecych postaci miał słabość do Maryni Połanieckiej; natomiast kniaziówna Helena w *Ogniem i mieczem*, choć taka ładna, stała dość nizko w afekcie autora, niżej nawet, niż Oleńka

czasu, i psując sobie słabnący od pewnego czasu wzrok na gotyckim druku, którego nienawidzę. Jeśli Pan takiej książki nie posiada, czyby Pan nie był łaskaw wskazać mi kilku źródeł, które sprowadziłbym sobie przez Gebethnera albo z Biblioteki. Przepraszam Szanownego i Kochanego Pana, że Go tem zajmuję, ale chodzi mi o moją robotę, i zresztą do kogóż, jeśli nie do Pana, udać się po radę w takiej sprawie? Chce mi się prędko skończyć, bo istotnie potrzebuję odetchnąć, a każde źródło niemieckie zabiera mi dwa i trzy razy tyle czasu, ile polskie, francuskie, a nawet łacińskie. Przypuszczam zaś, że siedząc w Warszawie, za kordonem, mogę nie znać wielu najnowszych prac, wydanych w Krakowie lub we Lwowie, albo nawet i starszych, które może posiadać Biblioteka Jagiellońska. Dodaję nawiasowo, że co się tyczy Niemców, nie chodzi mi o Voigta, którego wprawdzie nie mam ze sobą, ale którego *Geschichte Marienburgs* i historyę gryzłem aż do bolu zębów w Warszawie. Chciałbym jakichś rzeczy krótszych i polskich, z któremi prędzejbym mógł się załatwić.

z *Potopu*, choć i tej nie darzył nawet częścią tej sympatyi, jaką miał n. p. dla Baśki z *Pana Wołodyjowskiego*.

Nie zawsze też był zadowolony z tytułów swych powieści lub nowel. Wogóle miał pewną trudność w tym kierunku, a jeśli czego zazdrościł niektórym z pośród swych kolegów po piórze, to zdolności do wynajdywania pięknych i efektownych tytułów. Zachwycał się n. p. obrazowością i stylowością tytułu jednej z nowel Gomulickiego: *O je-*

Oto jest moja prośba, wygłoszona wśród potoków dżdżu i w ciemnościach tej kimeryjskiej krainy, której żółte deski zastępują miejsce słońca.

Sobota wieczór, 8 lipca 1899.

Książki dziś odebrałem i dziękuję najmocniej. Rzecz o Palakach, Czechach i Niemcach przeczytałem od razu i ogromnie żałuję, że mi dawniej w rękę nie wpadła. Wszystko to są skutki kordonu! Nie wiem, o ile dałoby się udowodnić, że Krzyżacy byli satanistami, ale istotnie dzieją się między nimi nieraz rzeczy dziwne, byli więc może, jeśli nie wszyscy, to niektórzy. W każdym razie jest to przypuszczenie niezmiernie oryginalne i zwłaszcza dla powieściopisarza wprost nieoszacowane. Co za pole dla wyobraźni, i ile nadzwyczajnych scen możnaby wprowadzić, wychodząc z takiego założenia! Zrobię jeszcze w tym względzie, co będę mógł, ale nie przestanę żałować do końca, że rzecz Pańska wyszła dopiero w roku 1898, zatem prawie w rok po rozpoczęciu *Krzyżaków*.

Dziś do łóżka biorę sobie *W pięciowiekową*

dnej mieszce cudnej i dwóch zalotnikach gorących. Z pomiędzy tytułów, którymi ochrzcił swoje utwory najbardziej mu się podobał: *Lux in tenebris.*

XIV.

A że pisał nietylko gwoli rozkoszy umysłowej, ale »dla pokrzepienia serc«, że siłą swego talentu wskrzesił i przed oczy nam postawił tylu boha-

---

rocznicę, której czterdzieści kilka stronic także już przeczytałem. Takie rzeczy dają nie tylko gotowy materyał, ale wprowadzają w ruch i w grę wyobraźnię. Tak przynajmniej działa to na mnie. Poprostu siadam jakby na koń i nie tylko jadę, ale i rozpędzam się. Ślubowałem sobie wprawdzie w duszy, że po ukończeniu *Krzyżaków* nie będę już pisał więcej powieści historycznych, ale gdybym miał tego ślubowania nie dotrzymać, to na czas pisania przyjechałbym do Krakowa i zamieszkał w nim aż do końca roboty, aby być bliżej źródeł i tych, którzy tak jak Pan, znają ich dno i bieg.

Tarnowskiego *Z wakacyj* mam. O ile pamiętam, wychodziło to częściowo w *Przeglądzie* czy może w *Czasie*. Ale przyda mi się teraz, zwłaszcza tom II-gi z opisami Prus królewskich. Dziękuję raz jeszcze za książki i za informacye. Satanizm Krzyżaków nie da mi teraz spokoju.

Listy Sienkiewicza do Smolki (w wyjatkach) ogłosił *Czas* krakowski w r. 1916.

terów z naszej przeszłości, że dziełami swemi nie szerzył zwątpienia, ale budził otuchę i nadzieję, że w nich zawsze służył dobrej i szlachetnej sprawie i nigdy się jej nie sprzeniewierzał, że nie burzył i nie niszczył, ale budował i wzmacniał, więc społeczeństwo nasze, wdzięczne mu za położone przezeń zasługi, gdy w r. 1900 upływało 30-lecie jego pracy i narodowej służby, postanowiło godnie uczcić ten jubileusz[1]). Nasuwało się tylko pytanie: w jaki sposób to uczynić? Ale niebawem sprawa została roztrzygnięta.

Jest zwyczajem u narodów cywilizowanych, że gdy im wypadnie czcić swych wielkich i ukochanych, wtedy im, obok całego szeregu innych owacyi i objawów hołdu, ofiarowują kawał ziemi ojczystej, gdzieby mogli znaleźć bezkłopotliwy spokój na resztę życia, gdzieby pod dachem własnego domu, wśród zieleni drzew i łąk, w dali od wielkomiejskiego zgiełku, mogli swobodnie, bądź odpoczywać po trudach, bądź pracować dalej, ale już w jaknajpomyślniejszych warunkach.

W ten sposób Francya uczciła Lamartine'a

---

[1]) Wkrótce po wyjściu *Trylogii* został Sienkiewicz wybrany członkiem czynnym krakowskiej Akademii Umiejętności (nie bez trudności z powodów formalnych). Także i petersburska Akademia Umiejętności mianowała go swym członkiem. Szczegół charakterystyczny, iż za zaszczyt ten podziękował Sienkiewicz pismem w języku... łacińskim!

i Wiktora Hugo, w ten sposób Anglia uczciła Tennysona i Beaconsfielda, w ten sposób Niemcy uczciły Bismarka i Brahmsa, w ten sposób Galicya uczciła Matejkę. W taki sam sposób i Królestwo postanowiło uczcić Sienkiewicza i z uzbieranych funduszów [1]) kupiono mu piękny majątek ziemski, Oblęgorek w Kieleckiem, szczerą wieś polską w malowniczem położeniu, wieś, w której miał i las sosnowy, i łąki zielone, i szerokie »malowane zbożem rozmaitem« pola z maćkowemi gru-

---

[1]) Około 70000 rubli. Przed jubileuszem zastanawiano się w komitecie obchodu, czy z zebranego funduszu nabyć posiadłość ziemską, czy też złożyć cały fundusz na ręce Sienkiewicza. Autor *Krzyżaków* poinformowany o wahaniach w tej kwestyi, przeciął je sam w liście z Marienbadu z d. 17 września 1900 r. do doktora Benniego. »Czy jesteś za Oblęgorkiem, czy przeciw? Bo słyszałem, że są dwie partye. Ja jestem za, albowiem ziemia jest n o b l i w s z a od czego innego, a kłopotem jest tylko wówczas, gdy się nie ma pieniędzy. Co do mnie zaś, mam swoich około 100.000 rb., prócz tego dzieci mają majątek, a ja pióro i papier, na którym w dalszym ciągu będę gospodarował«. W pierwszej chwili, gdy powstał komitet obchodu, życzył sobie Sienkiewicz, aby mu kupiono jeden z domów na Kanonii, do którego to zakątku Starej Warszawy miał szczególną predylekcyę. Ale musiał odstąpić od tego życzenia, wobec małostkowych plotek, które z tego powodu powstały w Warszawie... Wyjątki z listów Sienkiewicza do doktora Benniego zostały ogłoszone w r. 1916 w *Kurjerze Warszawskim*.

szami po miedzach, i chałupy chłopskie, i kapliczki przydrożne, i biały dworek szlachecki w starym parku, a raczej ładny pałacyk z wieżyczką.

W tem wdzięcznem otoczeniu mógł mieszkać sobie, jak Kochanowski w Czarnolesie, a patrząc na swe domostwo, może nie zbyt okazałe, ale miłe i schludne, cieszyć się niem, tak, jak to niegdyś czynił tenże Jan Kochanowski, gdy pisał swój wiersz *Na dom w Czarnolesie:*

Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje:
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje;
Inszy niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotoglowem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem.

Po wspaniałym jubileuszu, który, święcony w Warszawie w grudniu r. 1900, przy zjeździe z całej Polski, przemienił się w wielką manifestacyę narodową, wszedł Sienkiewicz, jako pisarz, w ostatni okres swej twórczości. Po ukończeniu *Krzyżaków*, będących wspaniałym zachodem epickiego talentu Sienkiewicza, a jeszcze obfitujących w sceny i koncepcye o prawdziwie szekspirowskiej sile, przyszła kolej na mniej potężną, ale jeszcze pełną uroku i melancholii... szarą godzinę. Był to już niewątpliwie zmierzch, ale... zmierzch bogów.

Pierwszymi rycerzami, którzy ukazali się na tle

tej purpurowej łuny zachodu mieli być rycerze Sobieskiego, walczący *Na polu chwały* pod Wiedniem. Do powieści tej jednak, choć świetnie zaczętej, choć w pierwszej części obfitującej w epizody znakomite, pierwszorzędne, zniechęcił się Sienkiewicz w ciągu pisania, które mu jakoś szło opornie, i nie skończył jej ostatecznie, urwał w połowie. Może dlatego, że narzucono mu ten temat, że mu epopeja wyprawy wiedeńskiej Sobieskiego nie zrodziła się w fantazyi sama. Bez powodzenia również przeszły, natchnione rewolucyjnymi wypadkami z r. 1905 *Wiry*, pomimo, że zawierały wiele kart pięknych, godnych autora *Rodziny Połanieckich*. Ale ponieważ były napisane z pewną tendencyą polityczną, która nie wszystkim przypadła do smaku, więc i w krytykach, jakie się ukazały o tej 2-tomowej powieści, nie brakło przykrych dysonansów, jak n. p. w głośnej recenzyi Straszewicza w *Czasie*.

Najpiękniejszym utworem, jaki Sienkiewicz — już jako laureat Nobla — napisał po *Krzyżakach*, jest jego powieść dla dzieci *W pustyni i w puszczy*, wspaniała opowieść o awanturniczych przygodach à la Jules Verne na tle afrykańskiem, pochłaniana przez naszą dziatwę. Jako bohaterski »Robinson polski« ma ta sienkiewiczowska »książka dla młodzieży« zapewnioną nieśmiertelność w naszej literaturze.

Nie można tego niestety powiedzieć o *Legio-*

nach, które osnute na tle epoki napoleońskiej, miały poprzedzić wystąpienie na widownię dziejową nowych Legionów polskich. I tę powieść pisał Sienkiewicz nie tyle z własnego impulsu, ile z namowy, i dlatego w niej nie mógł nabrać rozmachu [1]).

Inaczej miała się rzecz z nowelami, których jeszcze kilkanaście napisał po swym jubileuszu, a między któremi znalazły się i prawdziwe arcydzieła. Najbardziej po mistrzowsku wypadły nowele na tle świata starożytnego greckiego, zebrane w ostatnim tomie pism Sienkiewicza pod ogólnym tytułem *Dwie łąki*. Istne to klejnoty skończonego i wyrafinowanego artyzmu!

Zostawszy posesyonatem Oblęgorka, spędzał tu Sienkiewicz z żoną i dziećmi [2]) znaczną część roku, od wiosny aż do jesieni. Zimy spędzał w Warszawie przeważnie, ale niemało też prze-

[1]) Niedawno »ślubował sobie w duszy (jak o tem zwierzał się przed prof. Smolką w swym liście z 8 lipca 1899 r.), że po ukończeniu *Krzyżaków* nie będzie już pisał więcej powieści historycznych«... Widocznie, iż po *Krzyżakach* czuł już pewne wyczerpanie w tym kierunku, wyczerpanie, które właśnie miało ujawnić się w *Legionach* i w *Na polu chwały*...

[2]) Ożeniwszy się powtórnie w r. 1894 z panną Romanowską, adoptowaną córką państwa Wołodkowiczów, po uzyskaniu z nią rozwodu ożenił się Sienkiewicz po raz trzeci z panną Maryą Babską, kanoniczką.

bywał w Krakowie, lubiąc oddychać jego atmosferą starej kultury. Bawiąc w Oblęgorku, cieszył się niezmiernie, gdy go tu odwiedzali starzy przyjaciele warszawscy: Benni, Henkiel, Bogusławski, Osuchowski. Zapraszał ich serdecznie, a czuł się szczęśliwym, gdy u niego zabawili dłużej. Oto, jak raz namawiał Benniego do przyjazdu:

W tej chwili bawią u mnie Curtinowie, którzy fotografują od rana do wieczora Oblęgorek, razem ze wszystkiemi kurami i kaczkami, dla jakiejś ilustracyi amerykańskiej. Czekam Cię w niedzielę, w poniedziałek, we wtorek i każdego dnia tygodnia z równą radością. Zaś ta radość byłaby w takim tylko wypadku większa, gdybyś namówił ze sobą na tę wycieczkę Henkiela, którego przy tej sposobności najserdeczniej i najmocniej zapraszam na dni, tygodnie i miesiące, stosownie do tego, jak będzie mógł i chciał. Ale nawet krótki pobyt na wsi dobrze by mu zrobił. Oblęgorek, a raczej najwyższa w nim miejscowość Barania Góra ma około 400 metrów wysokości [1]), powietrze jest więc prawie górskie i istotnie cudowne. Muszę także przyznać, że położenie jest bardzo ładne.

Jakoż czuł się tu zawsze Sienkiewicz bardzo dobrze, a choć dwór w Oblęgorku nie mógł sobie

[1]) Nad poziom morza.

rościć pretensyi do miana »marmurowego pałacu«, a ściany w nim nie były obite »szczerym złotogłowem«, na których i Kochanowskiemu w Czarnolesiu zależało tak niewiele, to jednak na tych ścianach wisiało sporo cennych obrazów, których sam Sienkiewicz, w liście do Benniego, nie zawahał się nazwać »ładną galeryą«. A niemniej doborową była i biblioteka w jego obszernej pracowni, z której okien miał śliczny widok na górzystą okolicę...

XV.

W Oblęgorku też, w sierpniu 1914 r., zastała Sienkiewicza wielka wojna europejska [1]). Słyszał

---

[1]) Do Oblęgorka przyjechał Sienkiewicz z rodziną z Warszawy, którą opuścił z wiosną, nie przypuszczając naturalnie, że tu już nie powróci więcej. W artykule, wydrukowanym w *Kurjerze Warszawskim* d. 26 listopada 1916 r., a zatytułowanym: *Gdzie Sienkiewicz mieszkał w Warszawie?* czytamy między innemi, co następuje: Z ulicy Wspólnej Nr. 24, gdzie mieszkał jeszcze podczas jubileuszu w r. 1900, przeniósł się Sienkiewicz na ul. Hożą pod Nr. 22, również na rogu Kruczej, gdzie zajmował mieszkanie na 1-em piętrze. Było to podczas rewolucyi i tam prawdopodobnie powstały *Wiry*. Ostatnio wreszcie mieszkał Sienkiewicz przy ul. Szopena pod Nr. 18 (róg Mokotowskiej). Stąd wyjechał na wiosnę 1914 roku do Oblęgorka, aby już

tu nawet granie armat w niedalekiej oddali... Ale pożoga wojenna, choć w Kieleckiem rozegrało się wiele bitew, jakoś szczęśliwie ominęła jego domostwo. W końcu sierpnia udało mu się dostać do Krakowa, gdzie zamieszkał u szwagra swego, prof. Janczewskiego, w jego willi przy ulicy Wolskiej. O tym swoim pobycie w tym wojennym czasie u stóp Wawelu, tak pisze on sam: »W pierwszych dniach wojny przybyłem wraz z rodziną do Krakowa, gdzie pozostaliśmy przez kilka tygodni. Były to czasy ciężkiego niepokoju. Troska o kraj i dzieci nie pozwoliła mi sypiać. Często po kilka nocy z rzędu nie mogłem zamknąć oczu, więc, jak się to zwykle czyni w takich razach, próbowałem czytać od wieczora do ranka. Lecz i to nie prowadziło do niczego. Brałem książkę za książką, powieść za powieścią — i odrzucałem jedną po drugiej. Myśl moja była tak dalece zajęta czem innem, że nie rozumiałem, co czytałem. Wobec wielkości wypadków jakieś zagadnienia psycholo-

nigdy do swojego *at home* warszawskiego nie powrócić. Mieszkanie jego na 2-iem piętrze, z całkowitem, niezmienionem w niczem od wyjazdu właściciela urządzeniem, znajduje się pod opieką rodziny. W mieszkaniu tem powstało ostatnie arcydzieło Sienkiewicza, jego powieść dla młodzieży *W pustyni i w puszczy*. Tutaj także wyszły z pod jego pióra pierwsze rozdziały *Legionów*, które początkowo przeznaczone dla *Kuryera Warszawskiego*, ukazały się w zastępstwie w *Tygodniku ilustrowanym*«.

giczne lub dramaty uczuciowe wydawały mi się czemś tak marnem i błahem, że wprost nie mogłem pojąć, dlaczego zajmowały mnie poprzednio. Ponieważ biblioteka w domu krewnych, w którym się zatrzymałem, była nieźle zaopatrzona, więc przerzuciłem w ten sposób wiele książek, a wreszcie trafiłem na Szekspira. I wówczas zaszło coś dziwnego. Oto pokazało się, że Szekspira, którego dramaty widywałem na wszystkich scenach europejskich i którego nie wiem ile razy odczytywałem poprzednio, mogę czytać, mogę rozumieć, mogę odczuwać. Jego jednego!

W pamiętniku, który piszę od czasu wojny, starałem się zdać sobie sprawę z tego faktu. Objaśnienia owe zajmują tam kilka stronnic, obecnie jednak przytaczam tylko następujące:

...Szekspir, to po Bogu najpotężniejszy twórca dusz. Dlatego panuje nad czasem i nad wypadkami. Starzeją się pisarze, którzy są przedstawicielami pewnych szkół, pewnej mody, schlebiaczami danej epoki, odtwórcami panujących doraźnie gustów. On nie zestarzeje się nigdy, albowiem tworzy prawdę życia, a prawda i życie są zawsze aktualne... Tworzy ludzi o rzeczywistych duszach, istotnem ciele i gorącej krwi, którzy mieszkają i żyją dziś między nami tak samo intensywnie, jak żyli przed wiekami. Osobiście mało znam ludzi, z któ-

rymibym rozmawiał równie chętnie, jak rozmawiam z Hamletem; a po przeczytaniu *Burzy* mimowoli przychodzi mi zawsze na myśl, że jakiś współczesny Barnum powinien wyszukać Kalibana i pokazywać go za pieniądze. Znałem ludzi, którzy kochali się w Mirandzie, a ja sam trochę w Rozalindzie. Przykładów nie będę mnożył, ale przecie Falstaff miał w Polsce brata Zagłobę, a obaj mają wielu żyjących dotychczas braci w Anglii i Polsce, lubo polscy bracia wychudli dziś tak, że są tylko cieniami dawnych. Ta sama niesłychana intensywność życia znajduje się w Henryczku Monmouth, w Poinsie, w Romeu, Jagonie, Otellu, etc. Takiż sam żywy i ciepły urok kobiecy w Ofelii, Julii, Kordelii lub Imogenie. Lecz moc geniuszu sprawia, że wszystkie te postacie, niemniej żywe od współczesnych, są daleko więcej od nich interesujące, albowiem wszechludzkie porywy i namiętności, ogólne pierwiastki zła i dobra spotęgowane są w nich w stopniu daleko wyższym. Są to ludzie więksi od nas, stworzeni na miarę bardziej posągową, a jednak każdy odnajdzie w nich nie tylko siebie, lecz i powszechne prawa tego wielkiego i odwiecznego procesu, który zwie się życiem ludzkości. Tem się też tłómaczy, że dola i niedola szekspirowskich bohaterów, że ich uczucia, ich nienawiści, ich losy, nawet ich wojny, choćby tak odległe jak

wojna Yorków z Lancastrami, porywają nas, narzucają nam z niesłychaną siłą udział w przebiegu zdarzeń i obchodzą tak bezpośrednio, jak nasze własne dzisiejsze sprawy.

I oto dlaczego — kończy Sienkiewicz — w obecnych czasach wojny, moru i głodu mogłem czytać, rozumieć i odczuwać Szekspira« [1]).

Po kilkotygodniowym pobycie w Krakowie, a następnie po blizko sześciu tygodniach w Wiedniu, udał się twórca *Quo vadis*, razem z żoną, do Szwajcaryi, do Vevey nad Lemanem.

Tutaj, głównie z Paderewskim i Osuchowskim, zajął się zorganizowaniem Komitetu Ratunkowego dla dotkniętej wojną ludności w Polsce, a *vox populi* przeznaczył mu zaszczytny urząd prezesa tej czysto-filantropijnej i żadnemi politycznemi »oryentacyami« nie powodującej się instytucyi. Praca w tym komitecie, na tle Grand Hotelu, zabierała mu sporo czasu, co zresztą wobec ciągłych wzruszeń i wstrząśnień, dostarczanych przez tę najstraszniejszą z wojen, podtrzymywało potrzebną równowagę psychiczną i nerwową [2]). Pozatem miał

---

[1]) Zob. *Czas* z lipca 1917.

[2]) Praca ta, choć dosyć mozolna czasami, dawała mu dużo zadowolenia moralnego, albowiem zdarzało się niejednokrotnie, iż zaraz widział jej pozytywne owoce. Oto n. p. co w tej kwestyi pisał w poufnym liście z d. 1 listopada 1915 roku: »W Kanadzie trakto-

ciągłe odwiedziny ziomków z różnych części Polski, bądź zamieszkałych na czas wojny w Szwajcaryi, bądź bawiących tu przejazdem. W rozmowach z nimi, niezależnie od ich politycznych sympatyi i antypatyi, od ich »centralnego« lub »koalicyjnego« sposobu myślenia, starał się zachować stanowisko niezależne, objektywne, a na sytuacyę zapatrywał się wyłącznie z polskiego punktu widzenia, przyczem nie tail się ze swym optymizmem, wierzył bowiem, że ta wielka wojna w rezultacie wyjdzie Polsce na dobre, skończy się jej niepodległością... W to miał wiarę niezachwianą...

Choć osobistemi sympatyami skłaniający się niewątpliwie na stronę Francyi i Anglii, jako przewodniczący Komitetu filantropijnego, zbierającego fundusze dla zniszczonej przez wojnę oj-

---

wano Polaków, poddanych austryackich i niemieckich, bardzo źle. Internowano ich, o ile nie byli obywatelami kanadyjskimi, nie dawano im pracy, etc. Napisał do mnie o tem ksiądz Franciszkanin, prosząc o list tego rodzaju, żeby go można wydrukować w pismach. Napisałem... i obecnie ten sam ksiądz donosi mi, jaki był skutek. Oto internowanych uwolniono, sympatye dla nich wzrosły, pracę dają im chętnie, a co więcej, we wszystkich szkołach, do których chodzą dzieci polskie, wyznaczono z pośród Polaków płatnych nauczycieli polskiego języka«.

Tak wpływowem nawet w Kanadzie było stanowisko autora *Quo vadis*! (Por. Ign. Chrzanowski, *Henryk Sienkiewicz*, str. 36).

czyzny, nie dał się wciągnąć do żadnej roboty politycznej, choć w tym kierunku przez stronnictwa koalicyjne czynione nań były nieustanne zamachy, i starał się wytrwać w absolutnej neutralności, nie angażując się ani na jedną, ani na drugą stronę. Jakąkolwiek była jego oryentacya polityczna, nie przyznawał się do żadnej. A dlaczego? Na to pytanie sam odpowiedział w roku 1915 w liście do jednego ze swoich krewnych:

Czytałem ciągle, a przynajmniej od czasu do czasu, w gazetach o rozmaitych moich oryentacyach. Czasem się to przykrzy. Wprawdzie i ja często *timeo Danaos*, ale moje stanowisko jest proste. Uczuciowo jest przyjazne dla tych, którzy chcą i mogą zapewnić nam jaknajwięcej samodzielności i rozwoju, a faktycznie, póki jestem prezesem Komitetu, który musi mieć dostęp do wszystkich dzielnic, jest ściśle neutralne. Przestrzegam tego tak dalece, że, gdy mnie rząd francuski zaprosił do zwiedzenia frontu, odmówiłem... Nie brakło mi ochoty widzieć wojnę zblizka, tak, jak ją oglądał zaproszony Rudyard Kipling. Ale ponieważ trzeba by było oświadczać się z sympatyami, widywać figury urzędowe, podlegać wywiadom dziennikarskim, więc wolałem się wstrzymać. Kosztowało mnie to dużo, ale trudno! Najpilniejszą obecnie rzeczą jest ratować zagrożone

przez głód i nędzę życie polskie. To ważniejsze od wszelkich romantyzmów i realizmów politycznych [1]).

Tryb życia, jakie Sienkiewicz prowadził w Vevey, tak opisuje jeden z jego znajomych: »Wstawał o wczesnej rannej godzinie; cały ranek poświęcał pracy, czytał i odpisywał na listy, które nadchodziły w coraz to większej ilości. Przed południem odbywał spacer nad brzegiem Lemanu, po śniadaniu zaś, w otoczeniu rodziny i kilku przyjaciół-ziomków z Osuchowskim na czele, prowadził rozmowy o sprawach bieżących, o wojnie, o Polsce. W tym też czasie przyjmował przybywających gości. Na dyskusyach z nimi schodziła znaczna część popołudnia. Dopiero po obiedzie, który się kończył około 8-ej wieczorem, odbywało się zebranie w pięknym hall'u Grand Hotelu, poświęcone rozmowie ogólniejszej. Program dnia ulegał zmianom przez dość częste wycieczki do Lozanny, do Morges (siedziby Paderewskiego), do Montreux i innych miejscowości nad jeziorem. Zamknięcie Grand Hotelu w połowie r. 1915 z powodu zbyt szczupłej frekwencyi gości zmusiło Sienkiewicza do zamieszkania w skromniejszym znacznie Hotel du Lac. Niestety, pomieszcze-

---

[1]) List ten cytuje w swym odczycie o Sienkiewiczu prof. Ign. Chrzanowski, str. 34.

nie w tym hotelu było nieodpowiednie; pokoiki za szczupłe i za blizkie biura Komitetu Ratunkowego. Ale za to widok z okien na szafiry Lemanu i opalowe lodowce imponującego szczytu Dent du Midi był zachwycający.

— Widzi pan, ile tu wpada w o l n e g o powietrza! — rzekł raz do pewnego młodego publicysty, przybyłego doń z Zurychu.

Niestety, pomimo tego wolnego szwajcarskiego powietrza, nie czuł się dobrze, z każdym dniem coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Chudł i opadał z ciała, a słabe serce przyprawiało go o częste duszności.

W takich warunkach doczekał się wiadomości o akcie 5 listopada, którym Niemcy i Austrya proklamowały niepodległość Polski. Fakt ten, tak radosny dla każdego Polaka, żyjącego myślą o zmartwychwstaniu Ojczyzny, poruszył do głębi Sienkiewicza, tembardziej, że już w poblizkiej Lozannie znaleźli się polscy politycy, którzy przeciwko tej Polsce, zapowiedzianej nie przez koalicyę, postanowili... zaprotestować! Cóż dopiero, gdy któregoś dnia zjawili się u Sienkiewicza, ażeby go nakłonić do podpisania tego niecnego protestu! »Jestem tak oburzony — pisał w swym pamiętniku po odprawieniu tych panów z niczem — że pióro wypada mi z ręki i nie mogę dalej pisać«.

Wzburzony temi odwiedzinami, które naturalnie wywołały długą, denerwującą dyskusyę po-

lityczną, tak się czuł wyczerpany potem, że musiał się położyć do łóżka, a chore serce, nadmiernie wysilone i podniecone, zaraz sprowadziło pogorszenie w jego stanie zdrowia.

Odtąd czuł się coraz słabszym, tak, że już 14 listopada zapisał w swym pamiętniku, że czuje, iż niepodległej Polski on już nie zobaczy. W ostatniej chwili powtórzył to jeszcze synowi.

Dnia 16 listopada zaczęła się agonia... Konając powtarzał »Pod Twoją obronę«, a modlitwę przerywał słowami: »Ja już niepodległej Polski nie zobaczę...« i znowu odmawiał dalej »Pod Twoją obronę« [1]). Wkrótce potem wyzionął ducha.

Wspaniałe nabożeństwo żałobne odbyło się przy nader licznym udziale szwajcarskiej kolonii polskiej i wielu cudzoziemców, dnia 22 listopada, w miejscowym kościele katolickim w Vevey [2]), poczem trumnę zniesiono do podziemi kościelnych.

---

[1]) Stan. Tarnowski, *Z ostatnich chwil Sienkiewicza*, w *Czasie* z 9 grudnia 1916.

[2]) Wśród mnóstwa wieńców, złożonych na trumnie Sienkiewicza, były wieńce i od rządów państw wojujących, zarówno od rządów koalicyi, jak i od obu mocarstw centralnych. Pięknie z tego powodu pisze w swym odezwie o Sienkiewiczu prof. Kallenbach: »Oto w czasie najstraszniejszej dziejowej pożogi, w czasie najsroższego rozpasania się nieludzkich instynktów, gdy narody Europy ociekają krwią i trzęsą się w rozbestwieniu wzajemnem; w skromnym kościółku nad jeziorem helweckiem, u trumny Sienkiewicza cichnie

ażeby stamtąd, po skończonej wojnie, mogła być przewieziona do niepodległej Polski.

Tak żył i umarł wielki pisarz narodowy, do którego w całej pełni dadzą się zastosować wymowne słowa Kochanowskiego o wielkim hetmanie:

Znaczne posługi czynił Rzeczypospolitej,
Z cnotliwych spraw swych dostał sławy znamienitej;
Był wziętym u wszech ludzi, niósł pierwsze urzędy,
A według dostojeństwa zachował się wszędy.
W tej sławie i mniemaniu przyszedł ku starości,
Którą on snadnie nosił, krom żadnej przykrości:
Nakoniec *pełen wieku i przystojnej chwały*
Sam się prawie położył, jako kłos dostały.

światowy huragan: w tym jednym jedynym w ciągu lat okropnych momencie wrogowie godzą się na chwilę i zgodnie oddają hołd wielkiemu Synowi Polski. Nigdy śmierć nie znalazła sposobności tak uroczystej, aby dać świadectwo o żywym geniuszu Narodu, a symbol, jakim się stała śmierć Sienkiewicza, tak europejskim otoczona blaskiem, to był ostatni, nie najmniejszy zaiste, pogrobowy jego tryumf, dla Polski zmartwychwstającej!«

STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO

RAPSODY KRÓLEWSKIE O BOLESŁAWIE ŚMIAŁYM I KAZIMIERZU WIELKIM.

I.

ZABICIE ŚW. STANISŁAWA [1]).

Słowacki, który tyle rzeczy przepowiedział z prawdziwie proroczem jasnowidzeniem przyszłości, przeczuł także i jedno: że poezya polska, która nastąpi po jego śmierci, pójdzie w tym kierunku, który on jej dziełami swemi wytknął...

Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną,
Pójdę gdzieindziej! i lud pójdzie *za mną.*
Gdy zechce kochać, *ja* mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kląć zechce, *przezemnie* kląć będzie;
Gdy zechce płonąć, *ja* będę rozgrzewał...

---

[1]) Artykuł ten, drukowany w *Kraju,* w Nr. 40 i 41, w roku 1900, powstał w czasie, kiedy Wyspiański jeszcze wcale nie był sławnym, gdy o nim w Warszawie i Królestwie całkiem było głucho. Sława Wyspiańskiego datuje się dopiero od marca roku 1901, gdy w Krakowie wystawiono jego *Wesele.* Dopiero wtedy zaczęły się pojawiać entuzyastyczne — i często bezkrytyczne zupełnie — niezliczone artykuły i studya o Wyspiańskim.

Powiodę tam, gdzie Bóg: w bezmiar, wszędzie...
W *me* imię będzie krew i łzy wylewał,
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi:
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Przepowiednia ta ziściła się całkowicie, a jeśli »siła fatalna«, tkwiąca w poezyi Słowackiego, nie przerobiła nas dotąd w aniołów — jak to poeta przepowiadał w swym poetyckim *Testamencie* — to jednak wpływ jej na poezyę polską drugiej połowy XIX wieku jest uderzający: począwszy od Ujejskiego, który jeszcze za życia Słowackiego stroił swój bardon na ton jego lutni, a skończywszy na Tetmajerze i całej dzisiejszej »młodej Polsce«, cały Parnas polski poczytuje Juliusza za swego mistrza, jemu hołduje, jego naśladuje, w nim widzi ideał, do którego pragnie się zbliżyć. Mickiewicz i Krasiński zostali na boku; Słowackiego »za grobem zwycięstwo« jest zupełne.

Co także jest dla ostatniej generacyi poetów naszych bardzo charakterystyczne, to kult dla tego utworu Słowackiego, który jeszcze do niedawna uchodził za niezrozumiały zupełnie, za dzieło, w którem geniusz poety rzekomo słabnął coraz bardziej: dla *Króla Ducha*. Poemat ten, niedokończony, w którym Słowacki widział »alfę i omegę« swojej twórczości, zajął — obok *Beniowskiego* — pierwsze miejsce w sercach obecnego pokolenia poetów, zwłaszcza wśród plejady poetów krakowskich.

Plejada ta wydała obecnie, ułożony przez Wyspiańskiego, wytwornie wydany tom p. t.: *Kraków*, tom, na który składa się cały szereg poezyi i drobnych utworów prozą — poetyczną prozą jednak — Przybyszewskiego, Tetmajera, Rydla, Żuławskiego, Kisielewskiego, Szukiewicza i innych, tom, w którym można znaleźć cały szereg rzeczy pierwszorzędnej wartości (do najpiękniejszych należy bezwarunkowo *Wenus Milońska* Rydla), a który nadto przynosi jedną rzecz, wzbijającą się wysoko ponad wszystko, co wydała nasza poezya doby najnowszej, mianowicie: dokończenie rapsodu *Króla Ducha* Słowackiego o Bolesławie Śmiałym, dotworzone przez Wyspiańskiego.

Stanisław Wyspiański, jeden z najzdolniejszych malarzy krakowskich, wysuwa się w ciągu ostatnich lat trzech coraz bardziej i na czoło poezyi polskiej, będąc już dziś bezsprzecznie pierwszym na niwie poezyi polskiej dramatycznej. Jego tragedye greckie: *Meleager* oraz *Protesilas i Laodamia*, wzorowane na Eschylu, a jednocześnie pełne i Meterlinkowskiego nastroju, są poprostu najznakomitszemi tragedyami tego rodzaju, jakiemi się może pochlubić nasza poezya dramatyczna; co w znacznym stopniu można i trzeba powiedzieć i o jego dramatach narodowych, osnutych na tle wypadków roku 1831, o *Lelewelu* i *Warszawiance*. Jeszcze świetniejszą jest w roku zeszłym napisana przezeń *Klątwa*, tragedya ludowa, jedna z naj-

bardziej wstrząsających rzeczy, jakie napisano u nas, a zarazem jedna z najpotężniejszych w pomyśle. Na niemniejsze pochwały zasługuje pełna jakiejś Wagnerowskiej poezyi *Legenda* dramatyczna o Krakusie i Wandzie, rzecz, która jako poetyczna fantazya nie ma sobie równej w literaturze naszej, bo nawet Słowackiego *Balladyna* jest mniej fantastyczną.

Że dla tak bujnej natury artystycznej, dla poety z taką wyobraźnią i polotem, niema przedsięwzięć trudnych, na to zgodzić się można. Mimo to przyznać trzeba, że pomysł podjęcia lutni, wypadłej z kostniejących rąk umierającego Słowackiego, i śpiewania dalej przerwanej przezeń w połowie pieśni, i to pieśni jednej z jego najbardziej natchnionych i potężnych, pomysł taki musi każdemu wydać się nietylko śmiałym, ale nawet zuchwałym. To też jest się zdjętym niewysłowioną ciekawością, czy poeta, porywając się na takie przedsięwzięcie, szalone poprostu, nie przecenił sił swego ducha, czy nie runął pod ciężarem tego niezwykłego pomysłu, czy mu dopisała fantazya, czy pomysłu nie popsuł wykonaniem, czy, jednem słowem szczęśliwie podołał zadaniu?

Co nie ulega wątpliwości, iż zuchwała próba — cokolwiekby o niej powiedzieć można — wypadła bardzo interesująco, bardzo niezwykle, pomimo, że zadanie było tytaniczne.

Ażeby się o tem naocznie przekonać, najlepiej

zestawić ostatnie akordy przerwanego rapsodu Słowackiego z tem jego dokończeniem Wyspiańskiego. Z zestawienia tego, tak ryzykownego dla śmiałego kontynuatora, okaże się, o ile ten dalszy ciąg stoi na wysokości początku, o ile Wyspiański dostroił się do podniosłego i patetycznego tonu pierwowzoru, o ile dosięgnął tych wyżyn natchnienia, po których bujał potężny geniusz Słowackiego. Czy ich dosięgnął, czy mu jego poetyckie skrzydła pozwoliły się wzbić tak wysoko, i czy, dosięgnąwszy nawet tych podniebnych sfer, nie runął z nich, jak Ikar?

Z rapsodu o *Bolesławie Śmiałym* napisał Słowacki tylko cztery pieśni, a przy pisaniu czwartej, którą zaledwie doprowadził do połowy, zaskoczyła go śmierć. Treścią tej pieśni był pamiętny zatarg Bolesława z biskupem Stanisławem Szczepanowskim, zatarg, który się skończył śmiercią biskupa a zmarnieniem jego zabójcy. Ostatnie, napisane przez Słowackiego strofy, zawierają wskrzeszenie Piotrowina...

Na Skalce podniósł starzec drżące dłonie
I klątwę na mnie i na kraj położył;
Na mnie, że jestem nad krajem w koronie,
Na lud, że strach go przed zbrodnią ukorzył...

. . . .

Ja jeden tylko, jak rycerz w zamachu,
Który ma już dłoń ciężarem porwaną,
Nie uląkłem się grożącego Pana,
Lecz biegłem, jak król, pokonać kapłana!...

Oto ten kapłan, rzekłem, ta gadzina,
Chce mię gryźć w serce, a wszystkim wiadomo,
Że umarłego pole Piotrowina
Pochwycił ręką kościelną, łakomą.
Ród się daleki teraz upomina,
A on mi mówi: *in domini domo*
Na wieki wieków dał je dla ubogich,
Przed samą śmiercią, śród boleści srogich...

Papieru na to starzec nie pokaże,
Ani też świadków, bo daru nie było,
Niechże się sprawi, bo ja go ukarzę
Na ciele, a ten grunt zabiorę siłą!
Biskup, to słysząc, oddał się pod straże
I rzekł: »Mam wprawdzie świadka pod mogiłą,
Budzić go nie chcę; lecz gdy król obarczy,
A przed sąd wezwie, ten świadek wystarczy«.

Rzekł; a te słowa gdy mi doniesiono
W noc i przy pełnych winami puharach,
Wstałem z pochodnią i czoło koroną
Nakrywszy, szedłem na tron, cały w żarach,
Za mną pijaki zbrojne...
Tron otoczyli, jak czerwone czarty.
Koło północy było. Sąd otwarty.

Wkrótce stawiono bladego biskupa,
Do którego ja rzekłem, cały pijany:
— Alboś ty złodziej, albo ty nam trupa
Wywołaj z grobu i z tej białej ściany!
Wywołaj!... A on: »Co znaczy ta kupa
Nierządnic? Jeśli ma być trup wezwany,
Jeśli rzecz, która w nocy trzęsie miasty
Świętymi, ma się stać — odpraw niewiasty«.

Strach mię zdjął; one też, jak gołębice,
Na one słowa same uciekały...

A biskup znowu: »Takie tajemnice
Widzieć, ty jeden tylko jesteś Śmiały...«
Rzekł; straszna cisza nastąpiła; świece
Jedna po drugiej same zagasały.
Obejrzałem się: w gmachu było ciemno;
Ja sam i kapłan stojący pode mną.

Widziałem, jako cmentarz gdzieś daleki
Anioły Boże światłem malowały;
I wstawał stary ktoś, nakształt kaleki
Zbiedzony, a płaszcz miał jak srebro biały;
Potem przydany jeszcze do opieki
Stróż anioł podał jakieś kordyały,
Którymi wzmacniał, i drogę po ziemi
Jak kwiatem zasłał światłami różnemi.

I po chwili przed oczyma drżącego i bladego króla, stanęło widmo Piotrowina:

...Jak się w trumnie zsechło
Tak weszło, z twarzy swej podnosząc czechło...

Na tej scenie urywa się pieśń Juliuszowa. Nawiązując przerwany wątek rapsodu, Wyspiański już nie tyka zjawienia się Piotrowina, tego »przegniłego widziadła człowieczego, co na świadectwo przyszło«, lecz odrazu opisuje »ludu zbiegowisko«, ciągnące z biskupem na czele, z chorągwiami i księżmi, na zamek królewski, by świadczyć za słusznością sprawy kapłana, a tem samem potępić wyklętego przezeń Bolesława...

Ja patrzę, bo już miałem to przezwisko,
Śmiały, gdy cała procesya kroczy..

Lecz pocóż niosą chorągiew Anioła,
Jakby na walkę piekła i Kościoła?

Pochylały się chorągwie z łomotem
U wrót, nim wstały na izbie przede mną.
A chyląc się, mierzyły we mnie grotem
Krzyżów, iż trwogę uczułem tajemną.
Gdy się Archanioł rozwijał ze złotem
W perłach, z tą twarzą, malowaną ciemno,
A skrzydło w ponsach i mieczysko kręte,
Weń łyskawice gromowe zaklęte.

I zaciemniała się zwolna komora:
Wnosiły mrok i noc te chusty boże...
Po siwych ścianach pobielanych dwora
Szły cienie jakichś postaci potworze..
Lud na kolana rzuciła pokora,
A w tym ponurym pomroków wieczorze,
Zorze świec twarze rozświecały mnisze,
Nad niemi dymne smugi śpiew kołysze.

Nikt nie śmiał oczu podnieść: wszyscy byli strwożeni, bali się gniewu królewskiego, drżeli przed majestatem, ale mimo to uznawali słuszność klątwy biskupiej, potępiając panowanie Bolesława.

Byłbym się zerwał i rozniósł na mieczach
Świece, ornaty, chorągwie, kropidła,
I rzeź-bym sprawił im na martwych rzeczach
Bez ducha, gdy mam duchem silne skrzydła...
Że nie na jeden dzień mam państwo w pieczach,
Już ta z biskupem kłótnia mi obrzydła...
Gdym się w tył żachnął i zawadził słupa,
Korona moja spadła przed biskupa.

Oni co mieli za znak, czy za czary,
I zgrozą zdjęci, klękli przed widziadłem,
I że początek już znaczy się kary,
Że w tej koronie spadłej, ja upadłem,
Że dla mnie z grobów wychodziły mary,
Przed których trupim widokiem pobladłem:
Tak w ich przesądnych oczach coś się stało,
Co potępiło mnie i druzgotało.

A oni, jakby w obłędzie, skazańce,
I za biskupiej ręki tej skinieniem,
(Bo drżeli, jak wojenne liche brańce),
Śpiewy żałosnem mięszając jęczeniem,
Ciskali o podłogi ziem kagańce,
I przerażeni sami tem zdarzeniem —
Obłędne mieli oczy, dech zaparty...
— Biskupie! więc to Boży sąd otwarty?!

Co miały znaczyć łamane gromnice,
Nie wiem; lecz straszne było to rzucanie.
I wstręt mię do nich brał i błyskawice
Gniewu, że ledwom nalazł hamowanie,
By nie cisnąć w biskupa twarz mej rękawice
Żelaznej — za to księże wyklinanie.
Poszli, ostałem sam w tronowej sali;
Wnątrz piersi mściwa złość wre, gorze, pali.

Ostałem sam i patrzę: sala mroczna
I te leżące na deskach okruchy
Wosku i duszność kadzideł omroczna
W smugach, że jakieś wijące się duchy...
Ja sam, że tak mię opuścili do czna
Wszyscy. Za dworem świszczą zawieruchy,
Brząkają w łuski rybie u okienic,
Miecą gałęźmi drzew na płatwy ścienic.

Nagle »pod stosem świec pogruchotanych« ujrzał swoją koronę królewską, tę koronę, co spadłszy mu z głowy potoczyła się pod stopy biskupa. Na ten widok, w jednem mgnieniu oka dojrzała w nim myśl, ażeby zgładzić zuchwałego kapłana, co go obrzucił klątwą. Będzie to najkrótszy sposób zakończenia walki.

Zabić! Jak? Kiedy? Gdziekolwiek!! Sam skłóję!!
Dworaków wezmę rycernych i wpadnę,
A którzy nas okrzykną: mnicho-zbóje!
Pościnam łby niechętnych i owładnę!
Niech wiedzą o mnie, żem król, że panuję.
Tej chwili moich przybocznych zagadnę...
Po co?!... Rozkażę! Muszą! Krew! Krwi wołam!
Księże! Nad moim mieczem świece połam!

Naprzeciw zamku, po drugiej stronie Wisły, »na ostrowu skalistej opoce«, pośrodku drewnianej zagrody stał kościół z białego kamienia, katedra biskupia. Stamtąd »w światłach nocy twarz się trupia patrzała z okien wązkich...«

Jak się włos i ubiór zeskorupia
Prastary, jakby Sezam klętych skarbów,
Wid-truchło: tak jawiła się twarz sroga
W kamieniach, które miały rysy Boga.

Ten siwowłosy starzec musi śmiercią przypłacić za wszystko, co sprawił. Za to — słowa są o nim Bolesława — żeś przesądził obrzędy kościelne, żeś »przez jakichś potęg czar straszliwy« pobłądził wobec mnie i wobec Boga, za to,

Żem ja potruchlał na potworne dziwy,
A potruchlał, żem fałszywie sądził,
Aż się przed oczy moje stawił zmarły;
Iż się przez ciebie podziemia rozwarły
I zatrwożyły mnie, króla-człowieka;

za to wreszcie, żeś dziś, »gdy się państwo waży i przesiła«, nietylko chciał mię zwłóczyć z tronu »ręką twoją klnącą«, ale jeszcze, zmiażdżywszy mię do tyla, knuł zdradę przeciwko mnie, »dając berło w ręce zdrajcy-brata«; za wszystko to »Bóg dzisiaj rękę daje mi karzącą...

Że ja purpurę zmieniam w czerwień kata«.

Następuje scena zabójstwa św. Stanisława, opisana z plastyką i siłą, jakiejby się sam twórca *Króla Ducha* nie powstydził może:

Mszę sprawiał, gdy rozwarłem drzwi kościoła.
Lud klęczy, wszyscy modłami zajęci,
Na ołtarz patrzą, do Bożego stoła
Przystępujący. U wrót my, przeklęci,
Z mieczami; oni nas nie widzą zgoła,
Tylko z ołtarza na mnie patrzą święci.
I właśnie biskup podnosił opłatek
Maleńki...

I zaślepiło mnie: stałem wpatrzony
W ten ołtarz, w modły, we świece płonące,
Które zagasły dla mnie — jak uśpiony
W mych władzach wszystkich — a serce bijące
Młotem pod zbroją, że byłem zdradzony
Przez duchy, dotąd mię potępiające,
Opuszczon, marny, jakby moja siła
W niego — tam przed ołtarzem — przechodziła.

Naraz się biskup odwrócił do ludu,
By podniesioną krzyż kreślić prawicą,
Błogosławiący... O, stój chwilo cudu!
Może nad moją skreśli go przyłbicą,
Przeżegna mnie, że zbędę klątwy brudu.
Gdybym był klęknął... Już goreje lico...
Naraz On! poznał! O, wiekowa męko!
Stał z podniesioną wciąż do krzyża ręką,

Ale nie kreślił znaku. Stał w milczeniu,
Z oczyma w jakąś straszną dal poza mną;
Jakbym w tem Jego nie istniał widzeniu,
Przepaść otwierał straszliwą, rozłamną,
Pośrodku nas obydwu, w rozdwojeniu
Tem głębiąc moją duszę, jako kłamną...
... że już leciałem na oślep przed siebie,
We krwawym wszystko nurzając pogrzebie.

Zabiłem... A rycerze moi go wywlekli
Poza drewniane ganki na podwórze,
I ciało tam odarłszy z szat, posiekli
Przy studni, której zrąb kowan w marmurze;
Potem nad wodą stali i krwią ciekli
Z mieczów i zbroi, czekając, aż stróże
Przysłani z zamku nadejdą z ptakami,
Bom kazał sprzątnąć kawalce orłami.

Na moim zamku, na tyłach w ogrodzie
Miałem zwierzyńce; w nich chowałem ptaki,
Orły. Orłowie są mem godłem w rodzie,
Więc się chowały, a na łbach czapraki
Pąsowe, żeby nie były ku szkodzie.
Ciskało im się zwierz mały wszelaki;
Więc jako kaci w kapturach, krwi chciwi,
Chadzali w moich zwierzyńcach, straszliwi.

Kazałem ptaki puścić, by pożarły,
A potem siec rózgami i rozgonić...

Tu jednak stała się rzecz, której nie przewidział Bolesław, a która jeśli jest artystycznym pomysłem Wyspiańskiego, to jest to pomysł tak w stylu Słowackiego, tak w rodzaju poetyckiej wyobraźni Juliusza, że niepodobna nie podziwiać takiego przejęcia się duchem poety... W każdym razie piękniejszego obrazu nie wymyśliłby nawet Słowacki. Bo cóż się stało, gdy wypuszczono orły królewskie, by pożarły ciało biskupa?

A tu mnie mówią, że się lekko wsparły
Na trupie, i że jakby chciały bronić
Przystępu; że wszerz skrzydła rozpostarły,
Strzegąc, by żadnej części nie uronić;
Że ich nie śmiano tłuc. Już gniew mnie budzi:
Bardziej mi było ptaków wstyd, niż ludzi.

Choć go ciągnęła ciekawość, by własnemi oczyma zobaczyć to dziwne zjawisko, nie poszedł tam jednak, bo nie śmiał się pokazać ani ludziom, ani tym orłom. Chciał uniknąć ich spojrzeń, ich wzroku, a nad »uczuciem mściwości« zaczęły brać górę wyrzuty sumienia. Pozwolił więc, by nie płoszyć orłów, by strzegły poćwiertowanych zwłok biskupich. Lecz jednocześnie zaczęły go inne jeszcze dochodzić wieści.

Podobno nocą nad ciałem się palą
Światła, a ludy trupa śpiewem chwalą.

I widywałem po nocach te brzaski
Z okien zamku ku stronie wiślanej...

Aż wreszcie powiedzieli mu jego słudzy nadworni,

Że tam cudy na znak Bożej łaski,
Że już biskup ze czcią pochowany,
Że nad trumną są widzialne blaski,
Że się zapach rozchodzi różany,
Że on święty, że u jego ciała
Tłumy kalek, że Bóg przezeń działa.
Urosła między ludem wieść, że mnie koronę
Archanioł z głowy zdarł i o ziem rzucił...

Postanowił tedy »walczyć z powieścią ludu nieuchwytną«, kazał zabijać »bajarzy, dziadów lirowych z obmową«. Ale na nic zdały się te mordy i niewinnej krwi przelewanie.

...jak kwiaty coraz nowe kwitną,
Ocieniając mą górę zamkową,
Wieści, już w pieśni zmienione skrzydlate.

Wygnał śpiewaków, znienawidził dźwięki pieśni, ale ich echa wciąż dolatywały do niego, coraz boleśniej szarpiąc mu duszę.

Nowe męczarnie
Rosły i potężniały: czułem pleśni
W sercu, że serce się do dźwięku garnie.
Żyłem w rozłamie zatrwożonej duszy,
Nasłuchujący tych ech w wielkiej głuszy.

Przelałem potem jeszcze krew niejedną,
Bo mi już ziemscy oporem stawali...
. . . .

W kraju wszczęła się wojna domowa, a jego tymczasem, samotnego, dręczyły »zmory lęku«,

Których pełna dziś komnata zamkowa,
Że psy, trzymane na moich komorach,
Choć nikt nie wchodzi i śnią moje chłopy,
Jakby kto wchodził, wyją, lgnąc do stopy.

Wszędy w mych oczach to widmo skrwawione,
Gdzie pojrzę: lecz już z kawałów zrośnięte,
Z ręką na klątwę wieczną zamierzone,
Straszliwe, jako Świętość okrzyknięte!
Jakąś północnych rozdarłem zasłonę
Tajemnic, że już wstają trupy ścięte,
W mem państwie szerząc straszne trupie rządy,
Żem jest wyklęty król przez Boże-Sądy!

W końcu umyślił opuścić kraj »z pocztem i zbrojno«, wezwać na pomoc sąsiadów, a potem wrócić z nimi i »zapalić wszystkie ziemie nową wojną...« »Możeby w ogniach o zbrodni przycichło!« I znowu będzie królem... Tymczasem jednak, opuszczając swój zamek wawelski, podjechał ku Wiśle — a był właśnie zachód słońca — i zatrzymawszy się na brzegu, długo »ducha gubił«, wpatrzony w gród, w słupy drewniane, w warowne wieżyce, w rzekę. Prawdziwie matejkowski obraz!... Stojąc tak, zapatrzony w wodę, zasłuchany w szmer fali, w którym zdało mu się, że

słyszy »jakby żegnanie i skargę w tych pluskotach, czy igranie«, przypomniał sobie Gniezno i Lednicę, i w tejże chwili zrodziło się w nim postanowienie, że gdy wróci do kraju, nie wróci tu, do Krakowa, lecz tam, nad Gopło!

Na Ostrowie zasadzę królewską stolicę,
Wskrzeszając dawne zwaliska ułomne;
Opaszę się w ogniste błyskawice
I warownie pobuduję niezłomne;
I będę mieczem zakreślał granice,
I waszym trwogom Popiela przypomnę!

Gdy tak rozmyślał o swej przyszłości królewskiej, ujrzał nagle w oddali swoje orły, krążące nad Skałką. Widział, »jak się im w pąsach słońca pierś korali«, aż wreszcie, o dziwo! spostrzegł, że skierowały lot w jego stronę.

To się aż gubią w chmurach dziwnie mali,
To się ciskają nagle w dół i ciążą
Skrzydłami ponade mną, dziwne ptaki,
Jego stróże, we wróżbne rozwinięte znaki.

Bo z nich na niebie był krzyż napowietrzny,
Co się nade mną chwiał na chmurach czarny,
Żem poznał miecz ów mściwy, obosieczny
I wiew poczułem cmentarny...

Dostrzegłszy ten złowrogi miecz-krzyż nad swoją głową, zrozumiał, że to może znak wiecznej śmierci dla niego, że to już koniec jego królewskości, »żem się skończył ja królewski i cezarny!«

Od chwili, gdy to przeczucie spadło mu na duszę, innym już wzrokiem patrzył na zachodzące słońce, na grę obłoków na poczerwieniałem niebie. Oto zdało mu się, że w tych obramowanych purpurą i złotem obłokach widzi »idące w sen krwawe narody«.

Przedostatnia strofa, odmienną oktawą niż poprzednie napisana, jest cudnym obrazem nieba i chmur o zachodzie słońca.

Jakoweś walki obłoków przedzgonne
I wielkie wojsk koczowiska,
Mieniące w łunach, piechotne i konne,
To w dal płynące, to zblizka,
To k'sobie, jakby łanem kopij skłonne,
To w rozległe rozwite koliska,
To potężniały, to gasły dla oka,
Aż je wieczorna stłumiła pomroka.

Wspaniałem zakończeniem jest ostatnia strofa, w której się skupia cała tragedya Bolesława:

Z zadumy się zrywam, szarpnąłem wędzidła
I koniam wspiął ostrogą:
Za mną rycerni, rozwici we skrzydła,
Wśród trąb dących złowrogo.
A przede mną te chmurne skrzydła
Orłów nad moją drogą.
— O, jakaż mnie dola! O, jakaż mnie droga!
Ja w walce tknięty od Boga!!

Tak się w streszczeniu przedstawia ten rapsod o Bolesławie Śmiałym, zaczęty przez »Weroneza

naszej poezyi«, a dokończony przez Wyspiańskiego [1]).

---

[1]) W swym nader ciekawym artykule p. t. *Z lat szkolnych St. Wyspiańskiego*, ogłoszonym po jego śmierci w *Tygodniku ilustr.* w Nr. 51 z r. 1907, pisze Stan. Estreicher: »Jeden z rysunków (z r. 1889), przedstawiający dwór Bolesława Śmiałego w Niepołomicach, nosi bardzo wyraźne ślady naśladownictwa Matejki. Widocznie już wówczas zajmowała go postać Bolesława Śmiałego, do którego dziejów miał powrócić po latach kilkunastu, do czego zresztą bezpośrednią podnietą stało się wówczas, jak sądzę, zapoznanie z ostatnim, niewykończonym rapsodem *Króla Ducha*«. Co najdziwniejsze, że — jak twierdzi dobrze poinformowany Estreicher — Wyspiański dopiero wtedy, t. j. w r. 1900 lub 1899, po raz pierwszy przeczytał *Króla Ducha*.

II.

BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO LATA POKUTY I TUŁACTWA [1]).

Od czasu wystawienia *Wesela* na scenie teatru krakowskiego Wyspiański umilkł. Uscenizował wprawdzie *Dziady* Mickiewicza, które nawet następnie w tem jego opracowaniu wyszły w wydaniu książkowem, ale to była tylko przeróbka, nie dzieło oryginalne. A tymczasem społeczeństwo niecierpliwie czekało na nowy utwór autora *Klątwy*, skwapliwie chwytając wszystkie pogłoski o wykończanych jakoby przez twórcę *Legendy* dramatach i poematach. Raz opowiadano sobie, że Wyspiański pisze dramat, mający za głównych bohaterów Szujskiego i Matejkę; raz dochodziły wieści, że poeta przystąpił do pisania tragedyi o Stanisławie Auguście; to znów, że pisze tragedyę o Bolesławie Śmiałym; raz, że pisze dalszy ciąg

---

[1]) Drukowane w *Kurjerze Warszawskim* w Nr. 286 z d. 16 października 1902 r.

Wesela p. t. *Złoty róg*, a wreszcie, że napisał ogromny poemat dramatyczny p. t. *Wyzwolenie*. Nie wchodząc w to, ile w pogłoskach tych było prawdy, faktem jest, że Wyspiański po niebywałem powodzeniu *Wesela* nie spoczął na laurach.

Dowodem świeżo wydany *Bolesław Śmiały*. Część pierwsza tego poematu, będąca jakby dokończeniem niedokończonego przez Słowackiego rapsodu V *Króla Ducha*, a opiewająca śmierć św. Stanisława i jej następstwa dla króla-mordercy aż do chwili jego poniewolnego opuszczenia kraju, wyszła przed dwoma laty, a jako zuchwała — i udała — próba pisania »dalszego ciągu *Króla Ducha*« stała się prawdziwym wypadkiem w literaturze. Niniejsze »wydanie drugie« tego poematu, pisanego oktawą, zupełnie na wzór mistycznych rapsodów Słowackiego, zawiera, oprócz dawniejszej części poematu, część nową zupełnie, po raz pierwszy drukiem ogłoszoną, a opiewającą dalsze tragiczne dzieje »tkniętego od Boga« Bolesława.

Poeta opisuje tu smutne koleje wygnania »śmiałego« a nieszczęsnego króla, jego tragiczne losy, gdy na czele rycerzy swoich »widmami ścigany orlemi«, błądził po obcych krajach, na twardym chlebie wygnania, i gdy o dniach szczęścia wspominał w niedoli... *Nessun magior dolore!*

I gdy tak dalej »przeganiał za krańce ogrodzia, powiśla, podgórza«, usłyszał nagle:

Czyjś głos... Ktoś mię woła? Czy echo? czy złuda?
Czy serce się we mnie zarywa?
Czyjś głos... ktoś mię woła... z mojego ktoś luda,
Bo mojem się hasłem odzywa!
Czy jaka podwoda, czy pogoń, czy cuda?...
Cóż serce się moje zarywa?
Czyjś głos, czyjś znajomy... Głos syna, głos syna...
Syn za mną! w pogoni! przyzywa, zaklina:

»Ach, ojciec, mój ojciec, słuchajcie, postójcie,
Cóżeście nas tak porzucili?
My strasznie spłakani, o stary, zmiłujcie,
Z okieńców za wami patrzyli.
Ach, ojciec, ja naraz okrutnie zrozumiał:
Wyście się nas wyrzekali!
Ach, ojciec, mój ojciec, słuchajcie, darujcie,
Ja z wami, chcę z wami, tej chwili!«
I wołał, a tętent wołanie zatłumiał,
Aż moi mnie konia wstrzymali.

Koń stanął, ja patrzę: o grozo! W kurzawie
Mój syn się z siodła osuwa
I zlata, a oni wciąż krzyczą we wrzawie,
Pył gęstwą wszystko zasnuwa.

I skoczył Bolesław, by dziecko swe porwać w objęcia, ale synowi jego w tej chwili ustami buchnęła krew. Bez tchu, przewisły, omdlały w ręku ojcowskich, królewicz powtarzał tylko, że pragnie być z ojcem, i obie rączyny na szyję, na głowę mu zarzucił, patrząc nań oczyma rannej łani. »A w ustach krwi czarne maliny!« Więc wziął go król na ręce, przytulił do piersi i poniósł nad pobliski strumień i złożył na noszach. I dzie-

cię usnęło, a pochylony nad niem ojciec, »muskając mu włosy«, żali się, że »Bóg odeń oblicze odwrócił«, że w »pokalanym tą krwią rzeźną« duch się w nim zaląkł, posmutniał, że go »czarni opadli szatani«, że dlatego musiał porzucić żonę, syna, matkę.

Żem ócz waszych unikał we trwodze;
Żem w rodzonym ujrzał wroga bracie;
  Żem jest rzucon na rozstajnej drodze,
  A wy za mną spłakani szukacie;
  Żem się w nieszczęść ogromnej srzeżodze
Zapamiętał; że teraz po leśnym ugorze
Krzyk jeno słychać mój i rozpacz...

Odtąd Bolesław ma syna przy sobie, dalszy żywot tułaczy odbywa z nim razem. Tak doszli aż do nadmorskich wybrzeży, aż wreszcie któregoś dnia, »po onych skalnych tułając się skłonach« i dróg upatrując, spotkał się tam zabójca św. Stanisława ze znienawidzonym współzawodnikiem niegdyś, Salmonem. Teraz obaj byli królami na wygnaniu...

Potkaliśmy się tam obaj w koronach,
W łachmanach zbroic, w samotnem pustkowiu,

obaj gotowi na bój śmiertelny. »Rozpacz i mściwość zaryła się w lica: wydawał mu się jakoby brat bolu«. Ale zaciekłość wzięła górę nad bolem, więc, nienawiścią i zemstą uniesieni, dobyli mieczów i rzucili się na siebie... Pada Salmon, a Bo-

lesław, »w oczy jego patrząc przywarte, jak gasły«, zapłonął łuną wstydu, bo »wszak ci jemu królestwo wydarte za moją sprawą...« Tymczasem Salmon, »z białą kuną na hełmie« zdjął koronę i oddał ją swemu zwycięzcy.

Wody podałem mu pić... Brzeg ten morza
Dalekim zrysem biegł wśród kamienisków,
A była cichość słoneczna przestworza,
I gorąc parny od skalnych urwisków.
»Ułożym je tu w sen, w kamienne łoża,
W sen dumy, losu ofiary igrzysków,
W grób złożym godła obłędu człowiecze:
Korony królów dwie, dwa królów miecze.

Tęsknota kiedyś pożenie te dusze,
Które raz pycha i chwalba ujęła,
Że, pustą wszędy odgadując głuszę,
Niszczyć w przekleństwach będą własne dzieła
I targać serca w pokutniczej skrusze,
Ażby śmierć wieczna, jak lodem, je ścięła,
Czyniąc, jakoby zastęp skamieniały...«

I znowu rozpoczyna się dalsza tułaczka Bolesława, w której go »przez gąszcz ścigali zwierzęta-ludzie«, w której strwożony »łowiec pogłosów, co chyższe niż groty, gasły za wichrem«, uciekał przed niemi, jak Orest przed Erynnjami.

A już wieść chyża, żem przez psy rozwleczon,
Zaginął w boru ostępach szalony;
Żem był oszalał, przez wróże urzeczon,
Rozpalon jedną tą żądzą korony;
Żem był przez swoich koniuchów zasieczon
Z litości, jako jadem zarażony;

Żem ja w obłędzie, upojony winem,
W oczach dworaków znęcał się nad synem.

Z tym synem teraz, który sądził, iż w ojcu duch kona, i patrzył wciąż »w oczu jego tajemnice jasnym wzrokiem troskliwej pogody«, Bolesław musiał się rozstać w końcu: blady królewicz dąży z powrotem do Polski, a nieszczęśliwy ojciec, żegnając się ze swem ukochaniem, przewiduje, co go tam czeka.

Gdyby ojca przed tobą czerniono,
Gdyby ciebie, żeś syn mój, hańbiono...

niech nie zapomina o tem bolesnem rozstaniu, niechaj nie wierzy, iż już »doli waga domierzona«.

W niedługi czas po tem, gdy królewicz odjechał »między one zdradne wojewody«, doniesiono Bolesławowi, że oto stracił syna, że go skosiła śmierć przedwczesna, śmierć z suchot. I uwierzył tej złowrogiej wieści...

Któż się zadziwia, że ojciec odgadnie
Śmierć syna i mękę syna;
Że siła czucia, która światem władnie,
Oznajmia, że bije godzina,
Że ma uderzyć cios, pod którym padnie
Ponęta i miłość jedyna...
Takem ja przeczuł i widział przed sobą
Śmierć, co mię długą więziła żałobą.

I stał się odtąd drżącym »jak drzewa osicze, którym w liściach szept nie zmilka i dawno znikły

wiatr echami wiewa«. Myśli jego »straciły ciąg«, i tłoczony »zjawą purpurową« trwogi, wszędzie widział krew swego dziecka rozlaną.

Mojego syna śmiercią mnie trwożono
I tylko serce w piersi ostawiono.

I serce to

tęskniące kochało,
I trwożnie wielką miłością, struchlałe,
W rycerskiej niegdy piersi zapłakało,
Jak dziecko, jako dziecię kwili małe.
Całe się trwogą nietajoną stało,
Że śmiały, byłem jak twory nieśmiałe,
Jako ptaszęta, jak gołębie białe...

W takiem skołataniu ducha, po długiem tułactwie, znów Bolesław z rycerstwem swem znalazł się na ziemi swojej, w »jasnej Lednicy«, znów patrzył na to jezioro,

Wielkie, półsenne, spowijane mglami,
Które się nad niem kołyszą, jak skoro
Dzwony gnieźnieńskie uderzą dźwiękami...
I z tą melodyą dzwonów kołyszące
Ave Maria szeptają niknące...

Pomny, że tu, na tym ostrowie, ojciec jego »przed bitwą walną uklękał śród chwastów« i wyprosił sobie u Boga zwycięstwo nad samozwańczymi władykami, Bolesław również, wraz z rycerstwem swem, klęknąwszy »wśród ostów kolących«, modli się o zwycięstwo.

Wysłuchaj ty nas dziś klęczących:
Jako te osty, bodjaki, kąkole,
Siekę, tak zaściel mnie trupami pole,
Niechaj zwyciężę!

Poeta przemilcza, czy Bóg wysłuchał prośby Bolesławowej, ale wspomina natomiast, że mu Bóg pozwolił zobaczyć się z rzekomo zmarłym synem, że byli przez czas jakiś razem, ale w końcu znów się rozstali; przed Bolesławem otwierało się nowe życie tułacze, przed królewiczem zdawały się otwierać wrota szczęścia i miłości, bo miał stanąć na kobiercu ślubnym: na zamku krakowskim gotowano się do wesela. Lecz ten dzień godów weselnych miał się dla młodej pary oblubieńców zamienić za sprawą czyhającego na koronę »królówbrata« w dzień ich śmierci, w dzień zbrodni ohydnej. I odbyło się huczne wesele na zamku krakowskim, bardzo plastycznie odmalowane przez poetę, i otruto oboje oblubieńców. »Męty były w puharze...« Przeczuwał to Bolesław, lecz »losom nieprzebłagalnym« nie mógł stawić czoła. Przedewszystkiem nie było go w tej chwili na zamku krakowskim.

Pobłogosławić ja tobie niezdolny,
  Nikt zaklęć moich nie słucha;
Ja pogrążony w klątwie, ja niewolny,
  Skazany w okrutną śmierć ducha.
Jak zażegnięty spalam się słup smolny
  Ogniem, co z piersi wciąż nowy wybucha,

W krępach daremno silę trud mozolny,
  Niesilen zerwać łańcucha,
A oczy moje widzą śmierć dla ciebie,
O dziecię! Dla cię zapomniałem siebie!

Po śmierci syna, widząc się zewsząd osaczonym, i »przez pychę swoją własną pogardzony«, powiada o sobie Bolesław, że oszalał miłością i strachem, ale mimo to jeszcze i teraz nie zwątpił o odzyskaniu tronu, wierząc, że

Znów na czele rycernych orszaku
Kiedyś wrócę, duchem wyzwolony,
Praw się mojej dopomnieć korony!

Tu następuje najpiękniejsza, najpoetyczniejsza część rapsodu: o Bolesławie Śmiałym, błądzącym po turniach tatrzańskich. Co go tam zapędziło w te pustynie skaliste?

Opowiadali to za moich czasów,
Że gdzieś w Karpatach król Chrobry, zaśnięty
W grotach, u wstępu do podziemnych lasów,
Jego rycerstwo i on, jak zaklęty,
Przy koniach — zbrojni; że do tych tarasów
Dostąpić nie śmie nikt, bo czarem wzięty
Może skamienieć; więc że lud się boi,
I że skrzydlaty ktoś we wrotach stoi.

Upodobał sobie Bolesław tę tajemniczą, po wieczornicach szeptaną opowieść i, przypomniawszy ją sobie teraz, gdy się od niego odwrócono, jako od wyklętego, zadumał się nad nią, aż wreszcie, »gdy już wiedział, co jest nad nim«, postanowił

Tam, do nich! do tych grot mego pradziada!
Tam wejść i krzyknąć: »Wstań! Korona pada!«

I wierząc w prawdziwość tej baśni, puścił się ku Tatrom, by znaleźć owych śpiących rycerzy. Jakoż, »zamęczając konie i jeźdźców«, przebiegł wzdłuż i wszerz całe Tatry, wdarł się na wszystkie ich turnice (przy tej sposobności daje Wyspiański bardzo ładny krajobraz górski), przetrząsł wszystkie groty, ale »jako jest długi w łańcuchu skał szaniec«, szukał daremnie. Czyli ich niema? Czy zapadnięci w jakieś skał zasklepy?... Zawiedziony w tej swojej ostatniej nadziei, stał się pastwą rozpaczy i bólu.

Ale ten ból okazał się dobrym przewodnikiem wśród »granitowych stepów«.

Ból przeinaczał kształty, wkrąg widziane,
I czynił żywe dziwo śpiące w duszy;
Stawiał śród złomów zjawiska wołane,
W martwych kamieniach tej pustynnej głuszy,
Że się zdawało nieraz: skała ruszy,
Mająca twarze, jak ludzie pospane.
Naraz ujrzałem wojsko, jak w błękitach,
Słońcem czerwonem oblane po szczytach.

Konni, w rynsztunkach ciężkich, jak w skorupach,
Jak był daleki widok skalnych złomów,
W tych zorzach wszyscy, jak na zwalisk kupach,
Na górach, niby rujnach zamków, domów,
Olbrzymy...

W ciężarach tarcz i zbroic mchów zielonych,
Dzierżący miecze szczerbione i rdzawe,

Przed się godzili w ruchach zamierzonych,
Goniący złudną w wichrach lotną Sławę...
Że, kiedym patrzył zdumiały po onych
Rycerzach, jako łzy im ciekły krwawe
Z lic, w złotem słońcu tem, co ciska zorze,
Uczułem, jako gnają gdzieś w przestworze...

Zapatrzony w tych śpiących, skamieniałych, »zawieszonych w pędzie« olbrzymów, wyklęty król zrozumiał wreszcie, »jaka w tych zjawiskach wielka myśl oczom się postaciowała«, zrozumiał, że

Ci są rycerze śpiące, co wpół ruchu,
W polocie jeszcze cielskiem, spali w duchu.

Śpiący rycerze, to ci, co bezczynni,
Ci, co gnuśnieją za domem, czy doma;
Ci, co jakiemiś już dziełami słynni,
Już syci sławy i już ich oskoma
Nie unosi; ci po wszystkie czasy winni,
Leniwe duchy, których śmiałość chroma,
Drużbowie sławy, dziś niewolni sławą,
We wiechach wieńców zaklęci postawą.

Przekonany, że te wieńce sławy, to śmierć dla ducha, Bolesław zebrał swych towarzyszy i dał znak odwrotu, by uciec stąd, od tych leniwych duchów, od tych rycerzy śpiących. Ale nie umknęli daleko, bo ich zaskoczyła noc, ciemności. Niecierpliwi świtania, »które chmur rozedrze wieniec i przełęcz jaką odkryje«, usnęli ludzie Bolesławowi, usnął na siodle, nie zsiadając z konia, i on sam. I dziwy naszły go w tym jego śnie niezwykłym:

oto zdało mu się (a nie umiał sobie zdać sprawy, czy to był sen jeszcze, czy też jawa), że był świt: na zbrojach jego rycerzy drżały szklące perły rosy, a w końcu nastał dzień, lecz padał deszcz ulewny. Tu zdało mu się, że się zbudził, ale jednocześnie poczuł, że »go tu więzi coś mocą tajemną«. Zawołał na swych towarzyszy raz, drugi, trzeci, lecz oni, w śnie pogrążeni, byli głusi na jego wołanie. Krzyczał, wołał, a oni wciąż bez ruchu, jak skamieniali. Przebóg! Co to jest? Co to się znaczy? Wreszcie na nowo poczęło się ściemniać, szedł zmierzch, zapadła noc.

Coraz widzę się samotny,
A oni dla mnie ścielą się w błękicie,
Jak widma... Padół pod nimi zawrotny,
Nieruchomi, jak głazy, jakby w nich już życie...

Nagle ten czar, który ich spętał i skamienił, dosięgnął i Bolesława:

Czuję już, że i mój koń wrasta w ziemię,
I że mi senność klei oczy, gnie mię.

Zerwał się przecież, otrząsnął, dobył miecza; w chwili jednak, gdy się ręką zamierzył, uczuł w łęku zastygłe ogniwo, przyłbica spadła mu na twarz szczęką żelazną, poczuł się, jak głaz, więziony niemocą straszliwą, w męce okrutnej.

Że tak w pół-ruchu, miecz poły-wyjęty,
Chwycony w kleszcze i w larwę zaklęty.

I już wschodzące słońce po tej nocy
Ujrzało mię kamieniem, głazem, skałą...

Ale, choć skamieniały, jednak mu pozostała myśl i świadomość tego, co go »z przeznaczenia losów« spotkało; a widząc, że zapęd jego został »w posążnym głazie« zmrożony, usłyszał nad sobą taki wyrok »wszechanielskiego sądu«:

Ty będziesz wieczność całą w tym zapędzie
Zawieszon, z mieczem gotowym do cięcia,
Ty, Śmiały, coś mordował boskie sędzie,
Gdy cię kościelne druzgotały klęcia...
Sądu i miecza wstrzymane orędzie,
Aż cię powoła róg do wniebowzięcia.
Na sąd twój biskup dla cię zmógł cmentarze,
Jemu sąd Boga przeżegnać cię każe...

Taka jest treść najnowszego utworu Wyspiańskiego, utworu potężnego w pomyśle, pełnego pierwszorzędnych piękności poetycznych, polotu i siły, ale także nie wolnego od wad. Nie na wszystko się w nim godzić można, nie wszystko się w nim da wytłómaczyć i usprawiedliwić symboliką, nie wszędzie poeta, jako artysta, jest sobie równy, nie wszędzie język i wiersz jednakowo się doń »miłośnie naginają«, a zwłaszcza zmienną mu bywa raz po raz oktawa, która tak »pieściła« Słowackiego. Ponieważ zaprzeczyć się nie da, że poeta zarówno w tym poemacie, jak w swym *Kazimierzu Wielkim*, pisze jakoby dalszy ciąg *Króla Ducha*, że formę, ton i nastrój stara się wzorować

na rapsodach tego niedokończonego poematu Słowackiego, więc należało także i pod tym względem trzymać się wzoru mistrzowskiego, by oktawa panowała w poemacie całym niepodzielnie, by zawsze była bez skazy, jak w *Królu Duchu*, by nigdy nie ustępowała miejsca innym formom wiersza, zwłaszcza łatwiejszym. Można też zarzucić poecie, że czasami zbyt samowolnie obchodzi się z językiem, że niekiedy *licentia poetica* przekracza u niego możliwe granice. Wszystko to są usterki drobne, ale poemat, wspaniały i potężnym polotem, pełen ustępów prawdziwie natchnionych i wogóle godny wielkiego poety, czyniłby jeszcze większe wrażenie, gdyby ta forma bardziej była jednolitą i prawidłową, a mniej fragmentaryczną i rozerwaną, słowem bardziej klasyczną, a mniej modernistyczną. Bo, jeśli przysłowie powiada, że *noblesse oblige*, to niemniej obowiązuje również i szlachetna forma oktawy, zwłaszcza, gdy się nią posługuje taki wyjątkowy talent, jak Wyspiański.

III.

DUCH KAZIMIERZA WIELKIEGO.

Dnia 20 czerwca 1869 r., w czasie restauracyi pomnika Kazimierza Wielkiego w katedrze na Wawelu, odkryto — przypadkiem zupełnie — grób wielkiego króla-prawodawcy. Rzecz miała się tak. Kiedy odjęto boczną płytę marmuru, pokazała się, czy też w tej samej chwili zrobiła się dziura w wewnętrznym murowanym zrębie sarkofagu, a przez ten otwór ukazał się ciemny środek grobu, spróchniała trumna, zbutwiały całun jedwabny, korona, berło, rozsypane kości króla. Odkrycie to uczyniło wielkie na obecnych wrażenie, albowiem nikt nie wiedział aż do tej chwili, że, »przechodząc tylekroć około marmurowej postaci króla, przechodził około popiołów i kości jego, pochowanych pod pawimentem kościoła, że pobożni klęczeli i modlili się w bazylice naszej, o stopę oddaleni od tego, który przed pięcioma wiekami dokonał wielkiego dzieła społecznego odrodzenia Polski, miłośnika sprawiedliwości i spo-

koju, ojca wszystkich, co zamieszkali na tej ziemi«[1]). W liczbie tych, co byli świadkami tego niezapomnianego odkrycia, znajdowali się między innymi Paweł Popiel i Jan Matejko: oni »byli tak szczęśliwi, że pierwsi oglądali czaszkę króla w koronie, że im w udziale padło pierwsze wrażenie grozy, jakie sprawia spotkanie się z głową takich czasów i takich myśli pokoleniu takich losów i takiego stanu, jak nasze!«[2]). Wrażenie to było jedyne w swoim rodzaju... Stanisław Tarnowski, który także był obecny w katedrze, tak opisuje tę chwilę:

»Gdyby trumna była cała, nikt nie byłby jej tykał. Ale kiedy się rozsypała, to tych kości na ziemi, w prochu, zostawić się nie godziło. Należało je zebrać i w nową trumnę złożyć na dalszy spoczynek. Zaczęło się tedy dobywanie kości Kazimierza, jednej po drugiej, i rzeczy, które były w jego grobie. We wnętrzu grobowca stał jeden ze świątników kościelnych, prof. dr. Kozubowski i Matejko. Z zewnątrz kilkunastu ludzi, Majer między nimi, Piotr Moszyński i jego córki, Paweł Popiel, Łuszczkiewicz, Łepkowski, Walery Rzewuski i... St. Tarnowski. Ten ostatni stał najbliżej otworu, przez który prof. Kozubowski kości Ka-

---

[1]) Józef Szujski: »Wydobycie zwłok Kazimierza Wielkiego«.

[2]) Tamże.

zimierza podawał na zewnątrz, determinując każdą, co zaraz ktoś obok zapisywał. Najbliżej stojąc, odbierałem te kości z rąk Kozubowskiego i podawałem je dalej; może nie wszystkie, ale dużo. Składano je w prostą, naprędce przyniesioną, małą, sosnową trumnę. Po kościach wydobyto koronę, berło, ostrogi, szmaty całunu; a kiedy wszystko było skończone, ksiądz kanonik Scipio zaintonował *»Libera«* i poprowadził ten zaimprowizowany kondukt do Wazowskiej kaplicy, gdzie złożono trumnę. Taka była mieszanina wrażeń, że żaden z nas nie wiedział, czego doznaje, które uczucie w nim góruje. Jakaś rzeczywistość królewskiego pogrzebu, jakaś blizkość, teraźniejszość tego Kazimierza, jak gdyby to był jego pogrzeb prawdziwy! A przytem świadomość, że to nie teraz, że pięćset bez jednego lat w tył, że zamek inny, że Polska inna, że wszystko inne: my, biedni dworzanie, za tą ubogą trumną króla! Jakby się to wydało tym, co inny zamek, inne pogrzeby widzieli! Było dziwnie gorzko, ale i błogo razem. Było jakieś uszczęśliwienie rzewne w tem, że się widziało kości i włosy Kazimierza, a ta jego korona, po pięciu wiekach z grobu wychodząca na świat, na jasne słońce... Zostaliśmy tam długo, nie mówiąc do siebie prawie nic, myśląc wszyscy to samo i dużo. Rzewuski fotografował insygnia, Matejko szkicował, a ze szkicu tego i z tego wspo-

mnienia powstał obrazek: »Wnętrze grobu Kazimierza...« [1]).

Jednego tylko brakowało w tem gronie: Józefa Szujskiego, choć był to — obok złożonego ciężką chorobą Zygmunta Antoniego Helcla — jeden z najbardziej powołanych do oglądania wielkiej postaci Kazimierza, w chwili, gdy ta »opuściła grobowe cienie potężnej Polski piastowskiej, aby pustemi orbitami spojrzeć w oczy nerwowemu pokoleniu epigonów upadku...«

Był on dopiero naocznym świadkiem cichej uroczystości kościelnej, która się odbyła w katedrze nazajutrz. Wrażenie tego obrzędu, choć inne niż to, jakiego doznali wczorajsi świadkowie wyjmowania kości królewskich z grobu, niemniej było silne i podniosłe, jak o tem świadczy piękne sprawozdanie Szujskiego, wydrukowane w tydzień później w *Przeglądzie Polskim*, a skreślone »dla tych dusz cichych i zacnych, które gotowe przyjąć wrażenia bratniego ducha, które umieją odczuć i dopełnić uczuciem, czego w słowach zabrakło...«

»O godzinie 10½ d. 21 czerwca znalazła się garstka zawezwanych lub przypadkowo obecnych, w bocznej nawie wawelskiego kościoła. Oprócz księży i powołanych z urzędu, nie brakło tam ludzi wszelkiego stanu i zatrudnienia, nie brakło młodzieży i kobiet, słowem, nie brakło świadków,

---

[1]) St. Tarnowski: »Matejko«, str. 125—127.

którzy czynność urzędową widzieć i w razie potrzeby przebieg jej stwierdzić mogli. Przystąpiono też do niej z sumienną skrupulatnością, wśród głuchego milczenia obecnych, odpowiadającego nastrojowi, jaki uroczysta wywołała chwila.

Jeżeli chodzi o to, aby występującego na światło dzienne wielkiego króla witała cała dzisiejszej chwili narodowej rzeczywistość, to garstka obecnych uplotła się mimowoli w dramatyczny wyraz tej rzeczywistości. Nie kłamaliśmy wielkiemu królowi; biedni, słabi i grzeszni, staliśmy u jego grobu, jakiemi jesteśmy. Nie napełniał przestrzeni kościelnych tłum sukman włościańskich i chałatów, bośmy ich dotąd, przez pięć wieków pozyskać nie umieli; nie tłoczno nawet było w nawie prawej kościoła, bo oto naród w stosunku do ludności dzielnic piastowskich i jagiellońskich nie większym jest, jak owa garstka około grobu królewskiego!... I nie brakło tam ironii dziejów przy grobie wielkiego prawodawcy, jak nie brakło pociechy... W oddaleniu pełnem uszanowania stało kilku oficerów austryackich, w pobliżu kilku członków sejmowej delegacyi, posłanej po wywalczenie warunków rozwoju narodowego, i mąż-tułacz o siwych włosach, jeden z czynników ostatniej doby dziejów naszych... Obok nich spostrzegłeś ludzi, poświęconych badaniom przeszłości na polu dziejów, archeologii, sztuki, piśmiennictwa, owych robót, które wśród pełnego życia polity-

cznego stają się często potężnemi dźwigniami ruchu i reformy, w nieszczęśliwej zaś doli wychodzą czasem na grabarskie zatrudnienie, gdy prawdy zdobyte nie przechodzą w krew i soki pokolenia, ale mijają niepostrzeżone, nie ujęte sumieniem i nie budzące do czynu... Wtedy cała nadzieja w owej cichej łzie skruchy i boleści, jaka błyszczała w oku niejednego świadka obrzędu, cała nadzieja w tem zapukaniu wielkiej prawdy dziejowej do serca każdej jednostki, prawdy, która niweluje wszystkich i wszystkim odrodzić się każe, z bezwładności i braku ruchu jednym, z gorączki ambicyi i przewrotów drugim, a która napełniła świętą grozą dusze obecnych, gdy ze starej tumby wystąpiła głowa w koronie króla z lat naszej świetności, z lat skutecznego i organicznego działania, głowa Kazimierza Wielkiego.

Głowa to o szerokiem, dumnem sklepieniu czoła, regularnym składzie kości, energicznie zaciskających się szczękach, zdrowemi uzbrojonych zębami. Wielkiego ducha godne mieszkanie! Przez wieki wytrwała na niej korona ciężka, miedziana, grubo złocona, zdobna liśćmi rzeźbionymi, sterczącymi wysoko. Mimowoli chwyta mózg człowieka groza dziwna, wstrząsająca do głębi, gdy się patrzy na tę czaszkę wielkiego człowieka. Myśl, przeleciawszy pędem błyskawicy przebieg jego panowania, wraca i mówi ci o potędze jednego wielkiego gospodarskiego rozumu, jednego człowieka,

umiejącego obliczyć położenie i budować z ruin świątynię przyszłości. Mówi ci, iż taki duch jest darem Opatrzności, ale i pokolenia otaczającego wykwitem, że w ciasnych ścianach takiej czaszki znajdował się sekret zbawienia, bo naród był niwą, gotową przyjąć zbawienie...

Któż opisze wrażenie obecnych, gdy po śpiewie *De profundis* głowa ta i korona spoczęła w tymczasowej trumience drewnianej, z świerkowych zbitej desek, przypominającej trumny naszych włościan, gdy przez ciąg następnej godziny sędziwy profesor anatomii, dawny żołnierz polski, wydobywał kość po kości z grobowego pyłu, gdy z głębi grobu wyszła złotogłowa szata królewska, jabłko świata z krzyżem, berło, pierścień i ostrogi rycerskie, bo miecza nie było, bądź to, że pożarty rdzą zmięszał się z żelaziwem kraty, na której stała modrzewiowa trumna, bądź, że go nie włożono do grobu królowi pokoju, boć brakło także królowi rycerskiego pasa, za który miecz zatykano... Jakże opisać smutek tych, co po pięciu wiekach wydobywali szczątki króla na światło dzienne, króla, co spuścizną po sobie zostawił ducha politycznego, łączącego niebawem Litwę z Polską, zasoby bogate do zwycięstwa pod Grunwaldem, a teraz spotkał się z pokoleniem, nie mającem nic, prócz miłosierdzia Bożego, nic, prócz serca, złamanego wielkiemi cierpieniami, ale kochającego zawsze,

nic, prócz rąk, nieprzyzwyczajonych do pracy, i nic, prócz pamięci, czem było i czem być przestało!

Dobrze było i pięknie, że wielkiego króla spotkała rzeczywistość, usymbolizowana małą gromadką przytomnych... W tych nielicznych sercach był naród i jego boleści... Czuliśmy za siebie i za pokolenie wielką tragiczność tej chwili, gdy trumienka włościańska z popiołami wielkiego króla, na ramionach duchownych i świeckich, popłynęła do kaplicy Wazów, noszącej nazwę kaplicy Zmartwychwstania Pańskiego, gdy pośród pochodu odezwał się psalm: *Benedictus Dominus Deus meus*, psalm, jakby z piersi zmarłego króla pochodzący; gdy nad zamkniętem wiekiem, ustrojonem wieńcem z bławatów, woniących pól naszych urodzajem, wazwał kapłan do modlitwy za duszę Kazimierza Wielkiego; gdy z piersi klęczącej gromadki odezwał się ów wstrząsający do głębi, bramy niebios otwierający śpiew: *Salve Regina*, w którym znalazły się słowa, podwójnie dzisiaj znaczące: *Ad te clamamus, exules filii, in hac lacrimarum valle!*«

W jakiś czas potem odbył się wielki pogrzeb Kazimierza, wspaniale urządzony, z deputacyami całego kraju, uroczysty, malowniczy, z udziałem nieprzeliczonych tłumów. Swoją drogą — opowiada Tarnowski — ten obchód przygotowany, paradny, z całą swoją okazałością, nie przejmował

tak do głębi duszy, jak to niespodziewane odkrycie kości i złożenie ich do trumny.

Taką była rzeczywistość [1]). Po upływie lat trzydziestu, fakt ten znalezienia zwłok Kazimierza Wielkiego znalazł swego poetę, którego natchnął do wyśpiewania rapsodu o wielkim królu i prawodawcy... Wydany niedawno *Kazimierz Wielki* Stanisława Wyspiańskiego opiewa to właśnie zdarzenie, formą zaś, podobnie jak i *Bolesław Śmiały* tegoż autora, dostraja się do podniosłego tonu *Króla Ducha*, którego jest jakoby dalszym ciągiem...

Jak u Słowackiego, tak i tu król duch, wcieliwszy się w Kazimierza Wielkiego, opowiada swe dzieje, tylko że nic nie mówi o sobie, jako o królu, o latach swego panowania nad narodem, ale odrazu zaczyna opowieść swą od chwili, gdy go zmarłego

---

[1]) W swym artykule *Z lat szkolnych St. Wyspiańskiego* pisze Stan. Estreicher: »Czytywał dużo, a zwłaszcza rzeczy historycznych. W domu jego opiekunów prenumerowano i zbierano roczniki *Przeglądu polskiego*, które Wyspiański znał, o ile pamiętam, bardzo gruntownie. Zostało mi w pamięci wrażenie, jakie wywarł na nim czytany wówczas artykuł Szujskiego o odnalezieniu zwłok Kazimierza Wielkiego; a ktokolwiek porówna dziś rapsod Wyspiańskiego, napisany w piętnaście lat potem, z wówczas czytanym artykułem, uzna niewątpliwie zależność jednego od drugiego. Witraż Wyspiańkiego *Kazimierz Wielki* pozostaje w tej samej zależności...«

pochowano w katedrze krakowskiej. Przemilczając o tem, jakie były jego losy za życia, opowiada swe koleje pośmiertne. A koleje to niezwykłe zaiste, tragiczne:

W szkarłatach mię spowito, w złotej trumnie
i pochowano na Wawelskiej górze,
a tam sarkofag stawiono w marmurze,
gdzie z berłem i w koronie spałem dumnie.
Zaś wszystkie stany, w żałobnej posturze,
niejako płaczki, zwracały się ku mnie,
nade mną, nad ostatnim z rodu, wznosząc lament.

A tymczasem duch wielkiego króla, gdy jego ziemska powłoka spoczywała w ciemnicy grobu, błądził po zaświecie:

I śniłem życie mojego narodu
królewskie, błękitne, pogodne...

I śniło mu się, że widzi swój kraj, dalej kroczący po tej drodze rozwoju, na jaką go pchnął jego królewski rozum; że widzi wspaniale rosnące miasta »i ludów wielość«, a wszystkie zgodne, tak, jak je łączyła i zasilała myśl jego... Tak marząc o sławie swego narodu, znalazł się w jakiejś dantejskiej krainie, na jakiejś łące mistycznej, ciągnącej się w nieskończoność...

Zaszedłem w jakieś równiny przedwieczne,
bez kresu, łąki stepowe, kwieciste;
niebo nademną rozwiło się mleczne,
drogi i gwiazdy paliło złociste...

Równiną tą, tym »stepem bezkreśnym«, »pojącym wonią ziół« wśród niczem niezmąconej ciszy w powietrzu, »pod płowemi chmurami, które nieruchome stały«, wiła się po kiściach kwiatów, zwanych złoto-głogi, rozlewna i spokojna »splotna tysiącznemi skręty« rzeka-wieczna Zapomnień, rzeka, w której, jak tyle innych duchów, i duch wielkiego króla-prawodawcy miał pogrążyć się w letejskiej fali bezpamięci,

aż go Wyrocznia odrodzi słoneczna,
gdy będzie z trudów żywych wypoczęty...

W rzece tej »płynie dziwna siła odmiany«, tak, iż dusza, która się napiła tej wody,

doli swojej zapomina
i jest zwolniona z pętów ziemskiej złudy,
i oczyszczona, i już nie przeklina,
ani złorzeczy, a wstępuje w cudy,
któremi tamta święcona kraina,
i zdolna w nowe pójść żywotne trudy,
idzie...

Nad brzegiem rzeki, gdy tu stanął duch Kazimierza, snuły się tłumy dusz innych.

A przez te łąki idą dusze
pochodów ciągiem nieprzerwanym,
aż wstąpią w wody białe;
aż hen przepadłe w wodne głusze,
pochodów ciągiem nieprzerwanym,
przepomną życie całe,

przepomną życia skarg i mąk,
przepomną klęsk, pognębień.
I myją brudy krwawe z rąk,
aż, czyste, do pogłębień
podziemnych zestąpią.
I jeszcze w mgłach oparnych z łąk
na darniach ległe ciała kąpią;
i idą dalej, przemienione
w stepy bezkreśne, nieskończone,
a kwiaty im rosną, gdzie stąpią.

Idąc za przykładem tych smętnych duchów, i duch Kazimierza pochylił się nad rzeką, by z niej »dłonią, jak czarą« zaczerpnąć wody zapomnienia, gdy naraz rozległ się jakiś »głos ogromny«, topiel rzeczna rozpadła się olbrzymiem pęknięciem, wody się rozstąpiły na chwilę, tak, iż ukazało mu się dno rzeki, a na dnie, na spodzie łożyska »w namułach, glebie, żwirach«, ujrzał

Jako tam wszystkie Zła i Zbrodnie legły,
i jak jaszczury potworne ich strzegły.

Była to jedna skłębiona »cień tworów, ciał wężych, pniów i konarów drzewnych«, których tysiączne ramiona oplatały cały tłum ludzi »o twarzach w bólu strasznym, który kona wciąż«.

I zrozumiałem, co chciałem uczynić,
czerpając wody: zapomnieć, zawinić.

Zawinić? Czemu? Bo pragnąc zapomnieć, łaknął spokoju, chciał zbyć się ciężaru, chciał stać się duszą,

jak dziecko czystą i niewinną,
nie znać, co będzie, i nie znać, co było,
żyć chwilą czasów jedną, wieczno-płynną,
co jest dla myśli i działań — mogiłą,
bez czucia, bólu, radości pamięci,
jak Bogi nieśmiertelne, jak pół-święci.

Jednem słowem, chciał zapomnieć o tem wszystkiem, czego ponurem widziadłem były te »wryte ciałami w piasek« duchy na dnie rzeki, »wiekami wielu jęczące w zamknięciu kajdan«, zalane wodą rzeki »tłoczącej ciężarem bielma«, nie mogące chwytać blasku, ni tchu... On chciał zapomnieć o wszystkiem, stać się »jak Bogi nieśmiertelne« i to w chwili właśnie,

Gdy to, co w życiu zdziałano skończonem,
gdyśmy we walkach padali przeklęci,
z tą samą mocą i tą samą siłą,
po wieki swoje zbrodnie upamiętnia
w tem dnie przeklętej prawdy wiekuistej,
i nowym tortur zaplotem uwstrętnia
głąb tę odmętną czeluści nieczystej.

Duchom tym, »na wielkie męki wydanym oddawna«, należało się jakieś ukojenie, należała się pamięć o nich, należało się współczucie. Dlatego w chwili, gdy już miał zaczerpnąć letejskiej wody zapomnienia, zagrzmiał nad nim »gromki głos« wodnej mary, co wystąpiła z rzeki, głos, który »huczał wichrem«, a grzmiał tak, że »ryk po falach szedł dalekosiężny«.

— Wracaj! — wołała straszna mara. Powracaj!

»Wracaj!« Bo oto dzień twego pogrzebu,
i twojej Śmierci drugiej i twa Dola
dla Cię wybrana...«
»Powracaj!« I już znikła dla mnie rzeka...
»Wracaj!« Już znikła i łąka daleka...

I powrócił. Ale męczarnią dlań był ten niespodziewany powrót.

W jakichś ugorach, rozoranych polach,
błąkam się znowu i wlokę śpieszący,
i wciąż ten słyszę głos: »powracaj!« w polach,
w poświstach wichrów nade mną grający...
Idę, a trudem nogi więzgną, w bólach
gnę się, upadam, a śpieszę...

W końcu znalazł się w ciemni grobowca na Wawelu, w tym samym, gdzie go niegdyś »w szkarłatach spowito w złotej trumnie...«

Powietrza! Tchu! Jakby ciasnemi
jestem ujęty ściany, uwięziony:
więzgną mi ręce, w ruchu zesztywniałe,
z przed oczu znikły te odległe skłony
przestrzenne... Czuję się zamknięty w skałę,
w kość czolną wżarty wrąb ciężkiej korony,
a w ręku berło jakoweś spróchniałe,
i czuję, że je kościec nie dłoń trzyma,
i że się kończy kość, gdy silniej ima.
...w straszne ciemnie
Oczy się patrzą, w pustkę czarną, ciasną.
Choć kośćmi jamę rozprzeć! Nadaremnie...
Tuż nad mem ciałem kamienie tarasną
Zaporą zamkły grobowe sklepienia.

Tchu! Tchu!...
Wtem usłyszałem jakby do grobowca
stukanie...
I jakby się obsuwał złom granitu.
Uczułem, że się łyska wierzch pokrowca
złotemi nićmi od jakiegoś świtu,
znów woń kadzideł palonych z jałowca,
i jakiś strop z gwiazdami i z błękitu...
W kościele byłem trup, więcem się wzdrygnął,
gdy naraz kamień tumby ktoś podźwignął.

Następuje opis tego momentu, który Matejko odtworzył na swem *Wnętrzu grobu Kazimierza*, gdy przez otwór zaglądała głowa młodego chłopca, oświetlając sobie pochodnią wnętrze grobu. Wyspiański, ulubiony uczeń Matejki, trzymał się w tym opisie wiernie obrazu swojego mistrza [1]).

Tu, gdzie leżałem ja, w grobu pomroczy,
pochodni łuna zajrzała gorąca,
i nawprost oczu moich czyjeś oczy,
i twarz w wyłomie muru płomieniąca...

---

[1]) O tym obrazie Matejki (znajdującym się obecnie w »Domu Matejki« w Krakowie) tak pisze St. Tarnowski: »Jest zupełnie, najzupełniej tak, jak tam było. Jeżeli obrazek się przechowa, to po wiekach jeszcze dowiedzą się z niego ludzie, jak znaleziono grób i kości Kazimierza W. w r. 1869. Naszem zdaniem, jedno tam wadzi, przeszkadza: to ta głowa młodego chłopca, zaglądająca przez otwór do środka. Może ona wyobraża czas dzisiejszy, może to zestawienie i przeciwieństwo przeszłości z teraźniejszością: jedna królewska, ale w prochu, druga żywa, ale biedna? Za-

W zorzach się ludzi cichych kilku tłoczy,
żarem się runi twarz moja jaśniąca:
próchno, zbutwiałe stroje, szata zgniła
nagłą purpurą ognia się paliła.
I to raz zajrzy ktoś, to się odchyli,
raz buchnie światło prędsze, znów przygaśnie...
I głowa czyjaś inna... Patrzą, czyli
jestem? bo imię moje szepcą właśnie;
kilku, bo żywo słowami gwarzyli;
znów kamień ważą taranem hałaśnie.
Spadł: oni oto naraz zmilkli, dyszą...
— Ujrzeli, jakom jest grobem i ciszą...
Doczesności się moje już skończyły?
Więc jużem w proch się starł i w pył się skruszył?
To jeno strzępy z szat, co złote były?
Jedwab spopielił się, w pył się rozprószył.
A czemże są wielkości, co się śniły,
z których-em państwu wil los, świetność tuszył?

Loch grobu czarny i zgnilizna: oto wszystko, co pozostało po wielkim Królu.

Korona twoim próchnom marnym kłamie,
co było w tobie potęgą, umarło!
Król-żeś ty? próchnem łyska zeschłe ramię!

---

pewne tę myśl miał Matejko; ale wolelibyśmy to wnętrze grobu samo, bez dodatków: byłoby wymowniejsze. Nadmienić wypada, iż ze względów technicznych musiał Matejko ukazać kogoś w otworze, co oświecając wnętrze grobu trzymaną w ręku pochodnią, zagląda do środka. W przeciwnym razie nie byłoby widać postaci królewskiej, gdyż w grobie musiało być ciemno, a światło, wpadające przez mały otwór wielkości cegły, rozjaśniało tylko drobną część wnętrza«.

Jakoż wrażenie, które widok tego króla-próchna uczynił na obecnych, miało w sobie coś ze zgrozy...

Stała tych ludzi półkolem gromadka:
jedni tarany dzierżą, kute młoty,
– jakaś zbłąkana bezpańska czeladka
inni papierów pliki, kreślą noty,
sprawdzają, biorą gromnic żar na świadka,
to ku koronie łysną, na pozłoty
w pół biedrza, wszędy ciekawi i skrzętni,
aż ustali... Już tylko na mnie patrzą, smętni.

Wreszcie ksiądz zanucił nad prochami »umarłych Wilije«, poczem wszedł do grobowca człowiek jakiś, »taki dziwny, że i mnie (opowiada Król-Duch), chociem król, a dreszcz przejmował«.

Był mały, jako ludzie ciałem drobni,
i przygarbiony, nie wiekiem, lecz pracą;
był z tych, którzy są aniołom podobni,
których żywoty wiele wykołacą,
gdy się w nich święta duma odosobni,
gotowi się poświęcać, mając za co...

Że mowa tu o Matejce, domyśleć się nie trudno.

Do pocałunku głowę schylił w długich lokach,
z oczu mu gorzał żar... taki w prorokach.

Człowiek ten, co »ślubował wskrzeszać narodu Gloryje«, przyglądając się szczątkom królewskim, dotykając się ich szat zbutwiałych, czynił to z takiem namaszczeniem,

Jakby w me ręce składał serce czyje,
jakby mię prosił o co, czy dziękował...
spowiadał mi się z bólu i żałości,
szeptał o jakiejś ofierze miłości.

»Patrzył się na mnie i taką wymową serca« skarżył się tym »schnącym kościom«, że mu łzy pociekły z oczu i zwilżyły zbutwiały łachman królewskiej purpury...

Ale potężny duch Kazimierza nie umiał sobie jeszcze zdać sprawy z nastroju chwili, nie rozumiał, co znaczyły te jakieś dziwne skargi w ustach tego szczególnego człowieka-proroka, który sobie postawił za cel: »wskrzeszać narodu Gloryje«:

Nie rozumiałem, co mówił, co szeptał?
Jakież to chwały wskrzeszać? gdzie zapadłe?
Któż sławę ich pohańbił i podeptał?
Gdzie króle, moi następcy dziedziczni?
Jakie ofiary, miłości przepadłe?...
Czemuż ci, jakby wszyscy, choć nieliczni,
tacy powagą starzy...
Jakież ubiorki ich czarne, żałobne!

Co się stało, że »jedne im oczy, te łzami ozdobne, jak perły czyste i niepokalane?« Dlaczego ich postawy takie »uroczyste, skromne?« Co znaczy to wszystko?... I dopiero, kiedy im się przyjrzał bliżej, dostrzegł,

że światłość na ich czołach posłannicza,
że w serca szpona się wpiła zbrodnicza
zawodów, męczeństw, że klęski pogromne
wielką nad nimi zaciążyły chmurą...

Tymczasem zabrano się do wyjmowania szczątków królewskich, by je złożyć w nowej trumnie...

Potem te kości moje ktoś wybierał,
podawał tym, co na kościele stali,
lecz jakiś dziwny żal z ócz im pozierał.
tacy się czuli strwożeni, nieśmiali,
jakby mniemając, żem znowu umierał,
gdy mię w sosnową trumienkę chowali.
. . . .
A każda moja kość była nazwana,
przez te ich ręce przesuwana drżące...
. . . .
Aż gdy mi i koronę zdjęto z czoła,
pojąłem . . . .
. . . . że rozerwana
jest wielka Miłość, a duchy w nich śpiące
tak się skarżyły, tak były płaczące,
że prawiem szedł przez ręce ich bezwiedne
sam — i poznałem te dusze spowiedne.
Jako w wichrowym locie płaczą drzewa
brzozy, a liścia warkoczem się skarżą,
jako po starych dzwonnicach wichr śpiewa;
jako nad trupemległych konie zarżą,
jak wody, gdy się ścina w lód polewa,
skargami jęczą i żalą się ze dna:
tak w nich dźwięczała w sercach skarga jedna.
. . . .

Skarga ta — to jeden z najbardziej natchnionych ustępów rapsodu:

Otośmy drzewa na jesiennej słocie
i kłosy zżęte, rzucone na wichrze;
kłosów się snopy, ponurzone w błocie,
walają, przeto skargi wstydem cichsze;

i noc, straszliwa noc dla ducha ciąży,
a duszy zapęd rwie, nie wie, gdzie dąży.

Skarga ta, godna złotego pióra Słowackiego, w osłupienie wprawia Kazimierzowego Króla-Ducha, bo »wszakci tu było szczęście ogromne«, gdy ongi, jako »Król chłopów«, panował z tego wawelskiego zamku: państwo było silne, w pełnym rozkwicie, stany żyły w zgodzie, a wszystkim poddanym grała w duszy:

Święta pieśń szczęścia, co się w każdym śpiewa,
choć o tem nie wie, ale przed się czuje,
że szczęście jest, co w piersiach się przelewa...

Tutaj, na tem zamkowem wzgórzu, za życia ojca, jako mały chłopiec, witał ogromne wojska »rycerzy w mieczyskach«, a trąby grały zwycięskie hymny; tutaj, po śmierci rodzica swego, a pogromcy Krzyżaków, stawił mu wspaniały sarkofag ciosowy; obecnie zaś, po latach wielu, rozejrzawszy się po kościele, widzi wprawdzie i inne grobowce, ale od tych grobowców wieje jakieś tragiczne bohaterstwo nieszczęścia, wszystkie gadają jakimś »ukamienionym smutkiem«; tam stoi jakiś młody rycerz w greckim stroju »li tylko przez śmierć bohaterski« [1]); tam znowu

w bieli jakowaś niewiasta,
ponad kolumną przegięta strzaskaną,

[1]) Grobowiec Włodzimierza Potockiego, poległego w r. 1812, w 23 roku życia. Grobowiec dłuta Thorwaldsena

snać łzawi lice... i oto urasta
w mych oczach, tyle smutku w niej wydano...[1])

Ale zamknięto trumienkę i przeniesiono ją »we światłach gromnic« do poblizkiej kaplicy Wazów; a gdy ją tu ustawili pośrodku na piedestale, otoczonym płonącemi świecami i świeżemi świerkami,

Poklękli, pacierz za mnie mówiąc krótki,
i wszystkie swoje w nim zawarli smutki.

Już mieli wychodzić, już chcieli zamykać wielkie żelazne drzwi w kracie kaplicy,

Gdy się mąż nagły zjawia u podwoi,
im widać z ruchów i postawy znany,
bo się już do nich zwraca: »Bracia moi...
nasz król?«... A oni mówią: »Zakowany!«
I pojrzał wzrokiem obłędu, gdzie stoi
piedestał w ciemne choiny przybrany...

A gdy się dowiedział, że już trumna zamknięta, że już nie będzie mógł zobaczyć szczątków królewskich, »łez kropelki dwie rozświeciły mu oczy«, twarz spłonęła rumieńcem, a we wzroku jego, utkwionym w wieko trumny, była taka siła, »żarem paląca płomiennego łona«, że, jak błyskawica »stapiała przedział mąk i treść ich jadła...« W końcu

padł na ziemię krzyżem i zaszlochał,
a groby wkoło widziały, że kochał.

[1]) Figura niewieścia na pomniku Ankwicza, dłuta Canovy.

W mężu tym, o twarzy »w ogniach rumieńców żądzy karmicielki«, i o spojrzeniu, w którem »siła duchowa, zbudzona iskrami, do grobu przypadła«, nie trudno poznać Szujskiego...

Głazy głębokim jękiem mu odrzekły,
dziejów ubiegłych zwołując wspomnienia,
a echa się te długie w łańcuch wlekły.

Jeszcze tego samego dnia, gdy wieść o znalezieniu prochów Kazimierza Wielkiego rozeszła się po mieście, zbiegły się tłumy do katedry i, patrząc w pusty grobowiec, poczęły wołać:

»Tu król leżał!...
Oto już gniazdo wiekowe odbieżał...
Oto żądamy widzieć widmo lochów,
aby je każden swoją miarą mierzał.
On jest nasz, wszystkich! Jesteśmy Tomasze:
żądamy widzieć, patrzeć w święte nasze«.

Wreszcie stało się zadość życzeniom narodu: mogli oglądać to truchło królewskie, wśród gromnic wystawione na widok publiczny.

Widzę ich potem, jak do krat się cisną,
któremi byłem odgrodzon w gościnie;
jak ciałem się w nie wpoją, jak zawisną
u ciemnych bronzów rękami...

I patrząc nań, zdawały się mówić te rzesze:

— Bądź wskrzeszon!
bo już nam braknie tchu żyć, bo już mrzemy!
Wskrześnij! Aby twój naród był pocieszon...

Oto w rozpaczy żalach szaty rwiemy!
Jako ów Chrystus był na krzyż zawieszon,
tak my, nad pustką zawiśli, łakniemy!

I miał się odbyć wspaniały pogrzeb, tymczasem zaś, dopóki trwały przygotowania do tej niepowszedniej uroczystości, duch Kazimierza, »podniósłszy się z trumnego stosu«, polatywał nad krajem:

Patrzyłem na rozpacz, na żal nieudolny,
widziałem, jako łżyli siebie wzajem,

bo, niestety, niezgoda dzieliła stany: naród, podzielony na obozy i stronnictwa, był w rozterce, jedni walczyli przeciwko drugim, i tylko lud jeden, »dawnym w zagrodach rządny obyczajem«, żył tak samo patryarchalnie, jak wtedy, gdy król chłopów zasiadał na tronie. Niestety, i ten lud, nieoświecony, blizki »śmierci duchowej«, żył w nędzy, marł z głodu, rozpijał się po karczmach:

Więc złorzeczyłem, więc bluźniłem niebu,
w jękach wyczekujący dnia pogrzebu.

I siedząc »pod wielką wieżą, gdzie zegary dzwonią dawne, prastare, jękliwe godziny«, z głową wspartą na dłoniach, czekał na ów dzień, w którym cały naród miał się zgromadzić na równinach podmiejskich... W końcu, gdy upłynęło »czterykroć dni czworo«, całe wzgórze zakwitło od nieprzeliczonych tłumów, co tu przyciągnęły ze

wszystkich stron kraju, by uczestniczyć w tym niepowszednim pogrzebie.

Nareszcie przyszedł południem upalny
słonecznych skwarów ów dzień...

»Nad miastem padło posępne milczenie«, zakłócane tylko wiejskimi chorałami włościan w barwnych strojach (wszak ci to miał być pogrzeb Króla chłopów!), a wszyscy byli »duchem wzniesieni, marzący«. W końcu uderzono w dzwony wszystkich kościołów, pochód ruszył... I

Wlókł się olbrzymi wóz, całunem czarny,
wśród masztów, których chusty się szamocą...
— Tam proch królewski mój ze czcią wieziony.
Idą posępni,
A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów,
A grają im dzwony
Żałobne.

Idą posępni,
a niosą korony
ozdobne,
misterne, a dla nich
ciążące, jak ołów,
korony zczerniałe,
pogrobne.

A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a szumią, łopocą
szarfami przyczołów

chorągwi proporce
pogrzebne.

A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące
podniebne.
A śpiewy nad nimi,
jak skrzydła aniołów,
kołyszą się górne,
wróżebne.

A idą posępni
ze wszystkich kościołów,
z cechami, wieńcami,
co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone...
I chłopy sukmanne,
i pany strojone
w ponsowe żupany, delije,
i dziewki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze, niż białe lelije.

A idą żałobni,
a idą posępni
przez długie ulice podgrodne;
a idą żałobni,
a idą posępni,
choć niebo błękitem pogodne.

Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;
a cienie się wiją,
to jaśnią, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.

A oni posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne...

. . . .

. . . .

Że utwór, obfitujący w ustępy podobnej piękności, zasługuje, by go zaliczyć do celniejszych płodów naszej poezyi ostatniej doby, na to zgodzą się chyba wszyscy. Już to wogóle, kiedy się czyta Wyspiańskiego poetyczne rapsody o *Bolesławie Śmiałym* i *Kazimierzu Wielkim*, nabiera się krzepiącego przekonania, że mylił się Asnyk, gdy narzekał, że

Przeminął czas, przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza,
Zmalały pieśni pośród nas
I pierś zmalała człowiecza,

Być może, że wówczas, gdy Asnyk skarżył się, że »przycichła pieśń i kona już, nie budząc żadnego echa«, że wówczas istotnie »zamarł śpiew«, a »orężny szczęk epopei« dla wielu stał się niezrozumiałym; dziś jednak, gdy poezya nasza, obok kilku wyjątkowo utalentowanych poetów, wydała poetę *narodowego* tej miary, co Wyspiański, dziś sprawdza się przepowiednia tegoż Asnyka, że »błyśnie dzień«, gdy »żywych natchnień złota nić przewiąże prawdy zdobyte«

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży

I z labiryntu ciemnych słów
Na światło dzienne wybieży...

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą — do ideału!

Dokazała dziś tego poniekąd twórczość poetycka Wyspiańskiego.

Z NOTATEK I WSPOMNIEŃ
O
STANISŁAWIE WYSPIAŃSKIM.

Kiedym wyczytał wiadomość o śmierci Wyspiańskiego, przypomniały mi się moje lata uniwersyteckie w Krakowie, kiedy to z Wyspiańskim spotykałem się na wykładach Tarnowskiego, Smolki, Lepkowskiego i Sokołowskiego. Był on wtedy wraz z Mehofferem uczniem krakowskiej szkoły sztuk pięknych, a jednocześnie słuchał niektórych prelekcyi pod gotyckiemi sklepieniami Jagiellońskiej *Almae Matris*, co zresztą czynili i inni jego koledzy. Do najbardziej zajmujących należały niewątpliwie wykłady prof. Maryana Sokołowskiego z zakresu historyi sztuki, zwłaszcza wykłady w zimowym semestrze z roku 1889 na 1890 o sztuce włoskiej w epoce Odrodzenia. Punktem kulminacyjnym tego kursu były wykłady o Michale Aniele Buonarottim, które i przez to jeszcze wyryły się głęboko w pamięci słuchaczów, że na nie, otoczony garstką kilku celniejszych uczniów ze szkoły sztuk pięknych, przychodził także Matejko.

Między tymi uczniami bywał zawsze i Wyspiański, cieszący się wyjątkową sympatyą mistrza, jego ulubieniec. Matejko wyróżniał go stale, to też,

ile razy zjawił się na wykładzie Sokołowskiego — a przychodził dość regularnie — zawsze miał przy sobie Wyspiańskiego, z którym przez całą drogę od szkoły do *Collegium Novum* szedł razem. Z nim i z Mehofferem. Twórca *Kazania Skargi* miał prawdziwą słabość do Wyspiańskiego, gdyż ceniąc jego zupełnie wyjątkowe zdolności, wiele spodziewał się po nim.

Co prawda, wystarczało spojrzeć na Wyspiańskiego, na jego delikatną płowowłosą postać młodziutkiego pazia o panieńskiej cerze z różowymi kolorkami, ażeby zgadnąć odrazu, iż przez te jasno-niebieskie oczy, patrzące dziwnie łagodnie i marzycielsko, może przeglądać tylko niepospolita dusza, tylko niezwykła indywidualność artystyczna. Zaprzeczyć się nie da, że było coś grotgerowskiego w wyrazie twarzy tego 20-letniego ucznia »majsterszuli«, a kiedy go się widziało na Plantach, idącego razem z wątłym i zgarbionym Matejką, to mimowoli było się skłonnym do uwierzenia, że w tym młodzieńcu może się kryje przyszły dziedzic tytanicznego ducha twórcy *Wernyhory*...

Po wyjeździe z Krakowa na długo straciłem Wyspiańskiego z oczu. Bliżej zetknęliśmy się z sobą dopiero po latach kilku, w r. 1897 w Warszawie, kiedy to Wyspiański na wystawie malarstwa religijnego, urządzonej przez Tow. Zach. sztuk pięk., otrzymał pierwszą nagrodę za witraż,

przedstawiający św. Franciszka. Ponieważ znaliśmy się dobrze, jako koledzy z ławy uniwersyteckiej, gdzieśmy mieli tych samych przyjaciół: Lucyana Rydla, Stanisława Estreichera, Kazimierza Ehrenberga i kilku innych, więc nie omieszkał odwiedzić mnie, zwłaszcza, że naprawdę byłem bodaj czy nie jedynym człowiekiem, którego znał w Warszawie. Jakoż ciceronowałem mu po syrenim grodzie. Byliśmy razem na Starem Mieście, na Kanonii, w katedrze św. Jana. Pokazywałem mu różne stare kamienice, dziedziniec w domu Fukiera, dom, gdzie mieszkał Skarga, kamienicę książąt Mazowieckich itd. Wszystko to bardzo mu się podobało, nasuwało porównania z Krakowem. Wogóle wszystko, co w Warszawie jest »starą Warszawą«, budziło w nim zachwyt dzięki swemu »charakterowi«. Z niemniejszym entuzyazmem wyrażał się o niektórych pałacach warszawskich z epoki baroku... A Łazienki olśniły go poprostu. Ile wiem, był to jedyny Wyspiańskiego pobyt w Warszawie.

Po dwóch latach, we wrześniu 1899-go r., spotkaliśmy się znowu w Krakowie. Wyspiański już był chory, bardzo mizerny. Obawiano się, że to początki suchot. A przytem był w wielkiej biedzie. Wiedziałem od naszych wspólnych znajomych, iż czyniono starania, aby mu umożliwić wyjazd na Południe. Mieszkał wtedy w staroświeckiej, pełnej »charakteru« kamienicy przy Pla-

cu Maryackim [1]), gdzie zajmując jeden duży pokój o dwóch oknach na 2-em piętrze, miał w nim pracownię i sypialnię jednocześnie, a zarazem i swój gabinet literacki.

Z okien był piękny, prawdziwie średniowieczny widok na prawy bok kościoła Panny Maryi, na Sukiennice i część Rynku z jednej strony, oraz na brunatny, nietynkowany mur kościoła św. Barbary z drugiej. W pokoju, o ścianach nietapetowanych, zawieszonych mnóstwem szkiców, fotografii i rysunków, z główną ścianą zajętą w całości od podłogi do sufitu ogromnym niebiesko-seledynowym pastelem *Skarbów Sezama*, panował wielce artystyczny nieład: stosy książek, starych czasopism, pudła z farbami i pastelami, teki z rysunkami, stalugi malarskie, garderoba, łóżko żelazne, biurko do pisania, wszystko to, nigdy nie okurzane, zapychało całą stancyę tak, iż się w niej ruszyć było trudno. Sam Wyspiański blady, mizerny, z ciemno-blond włosami z przedziałem z boku, z krótką rudawą brodą i długiemi konopiastemi wąsami, z głęboko osadzonemi, silnie podkrążonemi oczyma, robił wrażenie człowieka, trawionego gorączką, wrażenie suchotnika. Mówił głosem matowym, a mówiąc, ciągle chrząkał. Poza tem wiał od niego jakiś niepokojący spokój. Pokazując swoje prace malarskie, z których mi

[1]) Dziś już zburzonej.

podarował kilka, o wszystkich wyrażał się z lekceważeniem, boleśnie ironizując na ich temat, jedyny wyjątek czyniąc tylko dla *Skarbów Sezama*, które w opłakanym stanie odebrał z wystawy. O innych pracach, przeważnie pastelowych, mówił tonem bagatelizującym, jakby do nich nie przywiązywał wielkiej wagi.

Albowiem nie był to jeszcze Wyspiański sławny, wynoszony pod niebiosa, uważany za geniusza, za mickiewiczowskie »Czterdzieści i cztery«, apoteozowany w bezkrytycznych panegirykach, reklamowany przez koteryę, ale Wyspiański zapoznany, nierozumiany, wyśmiewany, słowem, jeszcze nie ten wielki Wyspiański, którym się stał po wystawieniu *Wesela*, ale Wyspiański mały, skromny, o którym było cicho w prasie, a który tylko w małem kółku przyjaciół miał szczerych zwolenników. A jednak był on już autorem sześciu tragedyi, z *Klątwą* włącznie. Ale »tragedyi« tych, wydawanych własnym nakładem, w okładkach, które wtedy uchodziły za dziwaczne, nikt nie czytał, a przynajmniej nikt nie pisał o nich. Choć niektóre z tych »tragedyi«, jak *Lelewel* i *Warszawianka*, przeszły już przez ogniową próbę desek scenicznych, i nie bez powodzenia nawet, jak *Warszawianka*, przecież liczono się z nim głównie jako z twórcą — mocno kwestyonowanych zresztą — polichromii w kościele Fran-

ciszkanów, o których Lucyan Rydel z entuzyazmem rozpisał się w *Tygodniku Illustrowanym*.

O jego wielkich kompozycyach pastelowych, zarówno o *Topieli* i *Skarbach Sezamu*, jak o jego ilustracyach do *Iliady* w przekładzie Rydla, zdania były podzielone nawet wśród przyjaciół artysty, a ogół uważał je za »dziwactwa«, których »nie rozumiano«, z których »dekadentyzmem« nie umiano się pogodzić. Wszystko to bardzo rozgoryczało Wyspiańskiego, czemu w poufnej rozmowie dawał drastyczny wyraz. A nic go nie drażniło w tym stopniu, jak głuche milczenie, którem w prasie zbywano jego twórczość, zwłaszcza jego twórczość poetycką. To też, kiedym mu oświadczył, że mam ochotę przerwać to milczenie, że chętniebym napisał o nim, jako o pisarzu dramatycznym, z góry mi był wdzięczny za tę gotowość, żeby mi zaś ułatwić wykonanie tego zamiaru, przyniósł mi tegoż dnia do hotelu wszystkie swoje dotychczas wydrukowane utwory dramatyczne, z licznymi dopiskami na marginesach, z odmianami tekstu, z różnemi poprawkami i waryantami. Najświeższą z nich *Klątwę*, która w lecie wyszła w *Życiu* Przybyszewskiego, przyniósł mi jeszcze nie zbroszurowaną, w arkuszowych odbitkach z tegoż *Życia*.

Postanowiwszy napisać obszerniejszą rzecz o Wyspiańskim, a nie przeczuwając zgoła, że maluczko a powstanie o nim cała literatura, prosiłem go, żeby mi udzielił trochę szczegółów biografi-

cznych. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co mi chodzi, potem się wymawiał, twierdząc, że »na to jeszcze nie czas«, ale ponieważ nastawałem, a jemu zależało na tem, aby przecież ktoś napisał coś o nim, jako o poecie (tak jak Rydel napisał o malarzu), więc zgodził się w końcu. Umówiliśmy się, że wieczorem zejdziemy się u Turlińskiego w *Paonie*.

»Paonem« nazywały się dwa pokoje w restauracyi Turlińskiego przy ul. Szpitalnej *vis à vis* nowego teatru miejskiego, zawieszone szkicami, zapisane wierszami »młodej Polski«, która wtedy, grupując się koło *Życia* pod przewodem Przybyszewskiego, co sobota, po premierze, schodziła się w tym artystycznym lokalu. Tutaj, przy czarnej kawie i alkoholach wszelkiego rodzaju, przy grze na fortepianie, na którym najczęściej Przybyszewski wygrywał po swojemu Schumanna i Chopina, przeżywano górne nastroje w podnieceniu ducha i nerwów, a nie rozchodzono się nigdy przed świtem. Nawiasem mówiąc, te noce w *Paonie* bardzo szkodliwie wpływały na wątłe zdrowie Wyspiańskiego. W inne dni, od niedzieli aż do piątku włącznie, w *Paonie* było pusto, ciemno.

Tak też było i tego wieczoru, na który umówiliśmy się z Wyspiańskim. W całym *Paonie* było nas dwóch tylko. Stąd możność swobodnego pogawędzenia przy czarnej kawie, aż wreszcie przyszło do tego, co było właściwym celem naszego

spotkania: Wyspiański zaczął mi opowiadać swoje *curriculum vitae*, przyczem raz po raz ironizował na temat tej biograficznej indagacyi, co jednak nie przeszkadzało mu wcale, że mówił o wszystkiem, jak na spowiedzi, z wielkiem skupieniem myśli. Dlatego mówił wolno, bardzo wolno nawet, jakby dyktował. A że ja znowu pisałem prędko, niczem stenograf, więc skończyło się na tem, że zapisałem wszystko niemal, co mówił, słowo w słowo.

Tym sposobem znalazłem się w posiadaniu jakby autobiografii Wyspiańskiego, która, nieco wyretuszowana stylowo, przedstawia się jak następuje:

Urodziłem się w r. 1869 w Krakowie, z ojca artysty-rzeźbiarza, przyjaciela Matejki [1]). Od najwcześniejszego dzieciństwa miałem pociąg do malarstwa, to też, gdym tylko w r. 1887 ukończył gimnazyum św. Anny, zaraz zapisałem się do szkoły

[1]) Zmarły w listopadzie r. 1901, Franciszek Wyspiański, należał w swoim czasie, jako artysta, do bardzo wziętych i cenionych rzeźbiarzy, a liczne prace jego dłuta znajdują się rozrzucone po różnych zbiorach w kraju. W Krakowie, w kościele św. Piotra stoi wspaniały posąg jenerała Florkiewicza, kuty z marmuru przez Wyspiańskiego. W latach 1863-4 Franciszek Wyspiański należał do kółka towarzyskiego w Krakowie, utworzonego przez pracujących na gruncie krakowskim artystów i pisarzy, między którymi byli: Matejko, Grottger, Żeleński, Kubala, Bałucki, Lubowski

sztuk pięknych. Od dziecka łączyła mię serdeczna przyjaźń z Mehofferem, który też jest moim kolegą z ławy szkolnej. W jednym roku otrzymaliśmy maturę, jednocześnie zapisaliśmy się do szkoły sztuk pięknych. Jak w gimnazyum, tak i tu zawsze trzymaliśmy się razem, a gdy Łuszczkiewicz, który uczył rysunków, wskrzesił konkurs na kompozycyę, dając za temat »koncert Jankiela« z *Pana Tadeusza*, pierwszą nagrodę przyznano mnie i Mehofferowi. »Stary Matyasz«, jak nazywaliśmy między sobą Matejkę, bardzo mi wiele okazywał zawsze życzliwości, bardzo się mną od samego początku interesował. Był to czas właśnie, gdy go całkiem pochłaniały roboty około restauracyi kościoła Panny Maryi. W drugim roku moich studyów w szkole, gdy już sklepienie zarówno w prezbiteryum, jak w nawie, było skończone i gdy przystąpiono do dekoracyi ścian, powierzył mi Matejko rysowanie na kalce jego kartonów, zaczem

---

i w. inn., których nazwiska zasłynęły później szeroko i zabłysły jasno. Franciszek Wyspiański, lubo artysta prawdziwie z Bożej łaski, o pięknej twórczości, wzbogaconej studyami i licznemi podróżami, podzielić musiał los prawie wszystkich rzeźbiarzy polskich, dla których uprawiana sztuka stała się nie matką, lecz macochą. W ciężkiej walce z losem ś. p. Wyspiański ustąpić musiał z pola innym, młodszym, a sam szukać musiał schronienia w instytucie humanitarnym Helzlów.

poszło, że odtąd dni całe schodziły mi na rusztowaniach w kościele maryackim. Rysunek kartonów Matejki, wykonanych przez niego akwarelą, odbijało się przez kalkę, kalkę tę dziurkowało się na liniach, poczem otrzymany w ten sposób patron, zwany *przepróchą*, przytwierdzało się do ściany i przecierało czernidłem, tak, że na tynku zostawał wykropkowany gęsto cały kontur. Wykończywszy rysunek węglem, nakładało się go farbami, cieniowało i modelowało według danego kartonu. Oczywiście do wykonania rzeczy figuralnych, wymagających wyższego kunsztu, potrzeba prawdziwych artystów; u Panny Maryi pracowali nad tem malarze tacy, jak Cynk, Lepszy, Radziejowski, Lisiewicz, Zembaczyński i inni; tła i inne roboty ornamentacyjne wykonywała zwykła czeladź malarska, temi samemi sposobami [1]).

---

[1]) O tem współpracownictwie Wyspiańskiego z Matejką przy polychromowaniu ścian kościoła Maryackiego wiadomo skądinąd, że rola młodego artysty nie ograniczała się do przenoszenia kartonów Matejkowskich na kalkę. Oto, co pisze naoczny prac tych świadek, Lucyan Rydel: »*Prawą ręką* Matejki przy prowadzeniu tego wielkiego dzieła był Stan. Wyspiański, naówczas jeszcze uczeń krakowskiej szkoły Sztuk Pięknych. Miał on wtedy zaledwie lat 20, a jednak Matejko polegał na nim tak delece, że powierzył mu kierownictwo całej technicznej strony malowania«. Ob. artykuł L. Rydla p. t.: *Ze sztuki*, drukowany w r. 1896 w *Tygodniku Illustr.*

Gdy roboty w kościele Maryackim miały się już ku końcowi, gdy już usunięto rusztowanie z prezbiteryum i gdy za dotychczasowy mój udział w robocie otrzymałem honoraryum, zdecydowałem się wyjechać trochę za granicę, do czego mnie głównie namawiał Stryjeński. I Matejko nie był temu przeciwny, żebym zwiedził kawał świata, ale nie chciał mnie puścić z Krakowa prędzej, dopóki restauracya kościoła Panny Maryi nie będzie całkowicie ukończona. A zresztą byłem dopiero niecałe dwa lata w szkole sztuk pięknych, więc chciał, iżbym ją najpierw skończył. Ja tymczasem, zmęczony robotą w kościele, miałem jej dosyć, rwałem się do czego innego. Jednocześnie Stryjeński wciąż mnie zachęcał do wyjazdu, radził zwiedzać i zwiedzać, wreszcie ułożył cały plan podróży, podczas której więcej się mogłem nauczyć, niż w naszej krakowskiej szkole. Ale ponieważ Matejko upierał się, abym został, więc skończyło się na tem, że powiedziałem mu, stosownie do rady Stryjeńskiego, iż jadę tylko do Wiednia... Dzięki temu fortelowi udało mi się wreszcie wyjechać z Krakowa. Było to w roku 1890-ym na wiosnę.

Pierwszem miastem, gdzie się zatrzymałem dłużej, był Wiedeń. Poznawszy tu wszystko, co mnie, jako malarza, interesować mogło — a jest tego w Wiedniu co niemiara — wyruszyłem do Wenecyi. Tu zabawiłem dwa tygodnie, po całych dniach rysując, oglądając i studyując cuda tego

bajecznego miasta. Z Wenecyi pojechałem do Padwy, Werony i Medyolanu, gdzie znów zapełniłem szkicami kilka książeczek rysunkowych, rysując kościoły, stare pałace, robiąc studya głównie nad gotykiem i sztuką dekoracyjną średniowieczną. Z Medyolanu zrobiłem wycieczkę do jeziora Como, gdzie począwszy od słynnej katedry w Como, a skończywszy na całym szeregu kościołów i willi, rozrzuconych nad brzegami jeziora, znowu miałem co rysować i na co patrzeć. To samo w Szwajcaryi, dokąd się udałem następnie, mianowicie nad Jeziorem Czterech Kantonów. Z miast szwajcarskich, które zwiedziłem w tej podróży, najwięcej wrażeń dała mi Bazylea, gdzie po raz pierwszy zapoznałem się z oryginałami Böcklina i Holbeina. Ze Szwajcaryi pojechałem do Paryża, gdzie spędziłem część kwietnia i maja. W Paryżu, oprócz Louvru, katedry Notre Dame, Sainte Chapelle i innych cudownych budowli, głównie gotyckich, największe wrażenie zrobiły na mnie malowidła Puvis de Chavanne'a w Panteonie i Sorbonie. Poznanie się z dziełami Puvis de Chavanne'a było dla mnie poprostu nowem objawieniem w dziedzinie sztuki malarskiej. Po sześciotygodniowym pobycie w Paryżu udałem się do Chartres, gdzie mi studya nad słynną katedrą tamtejszą zajęły dwa tygodnie. Nadto można tam oglądać domy z XIV wieku, poprostu niesłychane. Następnie pojechałem do Rouen, gdzie znowu jest jedna

z najpiękniejszych katedr gotyckich. Naturalnie, że i tu również, jak w Chartres i w Paryżu, porobiłem mnóstwo szkiców i studyów z zakresu gotyki. Z Rouen puściłem się piechotą w kierunku morza, przyczem po drodze zwiedziłem przepiękny klasztor w Fécamp. Następnie spędziłem dwa tygodnie w Amiens, którego cudną katedrę, przestudyowałem również dokładnie i sumiennie, jak pierwszą katedrę w Reims, gdzie również zabawiłem sporo czasu. Dwa tygodnie spędziłem również w Strasburgu, studyując słynny tum tamtejszy. Ze Strasburga, przez Wormacyę, Moguncyę i Frankfurt, udałem się do Norymbergi, gdzie znów zeszły mi dwa tygodnie, dla człowieka bowiem, jak ja, studyującego sztukę średniowieczną, w Norymberdze jest co widzieć, jest co rysować. Następne dwa tygodnie spędziłem w Monachium, gdzie także rysowałem rzeczy gotyckie. Z Monachium puściłem się do Ratyzbony, ażeby zapoznać się z tamtejszą katedrą. Następnie pojechałem do Pragi czeskiej, gdzie jednak, prócz kościoła św. Wita, nic mi już nie zaimponowało. Porobiwszy szereg studyów — a studyów takich nagromadziła mi się w tej podróży olbrzymia masa — wróciłem do Krakowa.

Tu przybywszy, zabrałem się niezwłocznie wraz z Mehofferem, do komponowania obrazów na konkurs do praskiego Rudolfinum.

O konkursie tym dowiedziałem się dopiero pod-

czas mojej bytności w Pradze czeskiej, a że konkurs był nietylko dla malarzy czeskich, więc postanowiłem współubiegać się o nagrodę i namówiłem do tego również Mehoffera, ułożywszy się z nim w ten sposób, że każdy z nas weźmie na siebie po dwa obrazy: konkurs bowiem był ogłoszony na cztery. Moje dwie kompozycye miały za przedmiot *Architekturę* i *Sztuki piękne;* Mehoffer wziął na siebie zobrazowanie *Sławy Czech*, tudzież *Podań i baśni czeskich*, skomponowawszy rzecz w ten sposób, iż na pierwszym szkicu wyobraził Karola IV na tronie z Ryżką w otoczeniu całego pocztu postaci historycznych czeskich, a na drugim główną figurą uczynił Libuszę. Ja swoje szkice skomponowałem podobnie: na pierwszym, przedstawiającym Architekturę, wyobraziłem różne rzemiosła i prace pomocnicze, a więc artyzm w szkle, kowali, odlewaczów dzwonów itp.; w głębi, jako tło dla całego obrazu, wznosiła się katedra gotycka, a główną figurą, zajmującą środek kompozycyi, był Architekt. Drugi szkic, wyobrażający Sztuki Piękne, przedstawiał różne postaci ludzkie w grupach, któremi to postaciami byli różni artyści; środkiem szła Poezya.

Po upływie pół roku, uzyskawszy stypendyum dla dalszego kształcenia się za granicą, pojechałem wraz z Mehofferem do Paryża, ażeby tam, jeśli to będzie możebne, wstąpić do Académie des Beaux Arts. Wstęp tam, zwłaszcza dla cudzoziem-

ców, jest niesłychanie utrudniony: trzeba stanąć do konkursu, którego warunki są obliczone na to, żeby jak największą liczbę kandydatów odrzucić. Jakoż, choć rysunki nasze, któreśmy zrobili, nie były najgorsze, nie przyjęto nas. Nie pozostało nic innego, tylko wstąpić do prywatnej akademii malarskiej Cola-Rossiego, gdzie pod kierunkiem takich malarzy, jak Courtois, Girardeau i Blanc, także można było nauczyć się wiele. Było to w roku 1891. Przez dwa lata nie ruszałem się z Paryża, a nadsyłane stamtąd do Krakowa rysunki moje nie budziły sarkania. Owszem, Matejko nawet orzekł, że źle nie jest. Było to wiele z jego strony, w Paryżu bowiem dokonała się we mnie zmiana, z której Matejko specyalnie mógł być niezadowolony. Jak wszyscy młodzi malarze, wychodzący z Krakowa, z pod Matejki, podobnie i ja ulegałem dotychczas wpływom jego genialnej indywidualności. Dopiero w Paryżu otrząsnąłem się z pod tej przewagi i odczułem siebie samego, a przyszło mi to tem łatwiej, że miałem już wytkniętą własną drogę, mianowicie w kierunku dekoratorskim i ornamentacyjnym. Wprawdzie malarstwo stalugowe pociągało mnie zawsze, a i dziś jeszcze niekiedy mię kusi, choć najbardziej nęci mnie pastel, ale najwięcej miała dla mnie uroku ornamentyka monumentalna. Niezależnie od tego byłem prawdziwie *enragé* na punkcie portretów i studyów głów ludzkich. Jakoż zrobiłem ich wów-

czas moc wielką, a były to przeważnie typy Zolowskie, wizerunki takich ludzi, którzy stanowią świat *Assommoiru* i *Ventre de Paris*[1]). W tym także czasie zacząłem się oddawać pracy literackiej. Napisałem *Warszawiankę*, część *Legendy* i kawałek *Meleagra*...

W drugim roku pobytu mojego w Paryżu dostałem zamówienie na witraż do katedry lwowskiej. Jako temat obrałem sobie śluby Jana Kazimierza, przedstawiając króla w zachwyceniu, w chwili wizyi. Zaabsorbowany tym tematem, napisałem jednocześnie akt tragedyi p. t. *Śluby Jana Kazimierza*. Ukończywszy szkic do witrażu, pojechałem z nim do Lwowa, a gdy mi tam szkic ten zaaprobowano, pojechałem z nim do Krakowa, gdzie go miałem wykonać. W Krakowie pokazałem szkic ten Matejce, z którym miałem ciężki spór o pojęciu przedmiotu samego: on go pojmował inaczej zupełnie, mianowicie tak, jak to przedstawił na swych niedokończonych *Ślubach Jana Kazimierza*, ja zaś sobie to wyobrażałem całkiem odmiennie. Ostatecznie zostałem przy swojem. Dla wykonania tego szkicu nająłem sobie pracownię na Wolskiej ulicy i tu zeszła mi zima. W ciągu tej zimy przeczytałem Rydlowi *Warszawiankę*.

1) Jeden z tych wizerunków, pastelowy, oraz autoportret Wyspiańskiego, również pastelowy, malowany za tego pobytu w Paryżu, są w mojem posiadaniu.

Siedząc w Krakowie, rysowałem mnóstwo portretów moich znajomych i kolegów: Rydla, Opieńskiego i wielu innych, gdyż wogóle miałem pasyę w tym kierunku. Co prawda, mogłem też i zniechęcić się do pracy, gdyż portretów tych naprzód nie chciano przyjmować na wystawę w Sukiennicach, a gdy je wystawiono w końcu, stało się to powodem ogólnego zgorszenia. Nie poprawił mi tej smutnej sławy również mój szkic do witrażu, który, choć wisiał na wystawie, niczyjej na siebie nie zdołał zwrócić uwagi. Samo się przez się rozumie, że podobny brak powodzenia wpływał na twórczość moją bardzo niekorzystnie, co szczególnie miało fatalny wpływ na ów witraż, nad którym robota szła mi jak z kamienia. Przypisując to atmosferze moralnej Krakowa, która tak się dla mnie okazała nieprzychylną, spakowałem z nadejściem wiosny moje manatki i, zabrawszy z sobą niedokończony witraż, pojechałem kończyć go do Paryża.

Tutaj, na Montparnasse, znów przestawałem najwięcej z Mehofferem, z którym do spółki, niezależnie od owego witrażu do katedry lwowskiej, robiłem drugi, mniejszy, do kościoła Panny Maryi w Krakowie, składający się z szeregu scen ewangelicznych. Prócz tego, jak i za poprzedniego pobytu, rysowałem bez liku portrety pastelowe różnych znajomych, którym je darowywałem za pozowanie, a tymczasem ze Lwowa, gdzie ciągle

czekano na ów witraż, dochodziły mnie listowne lamenty, że nic nie robię. W końcu, po upływie sześciu miesięcy, skończyłem ten nieszczęsny witraż; że zaś był to rok 1894, więc posłałem go na wystawę lwowską.

Wystawiono go, lecz jednocześnie ci, co go zamówili dla katedry lwowskiej, postanowili go nie wykonać... Zakomunikowano mi to w czasie mej bytności we Lwowie, bo pojechałem tam, ciekawy wystawy i losów witrażu. Na jesieni znalazłem się z powrotem w Krakowie. Miałem wielką ochotę wyjechać znów do Paryża, ale mi odmówiono stypendyum.

Zaczęła się może najsmutniejsza epoka mego życia. Bez pracowni, bez pieniędzy, szarpany przez krytykę, która się wprost znęcała nade mną, zmuszony korzystać z gościnnej uprzejmości krewnych, którzy mnie przygarnęli pod dach swego domu, robiłem w dalszym ciągu pastelowe portrety różnych znajomych moich krakowskich, oczywiście za darmo; narysowałem szereg główek dziecięcych, namalowałem mój *Wawel* (na którym znów krytyka ostrzyła sobie dowcip), i tak upływały mi całe miesiące, na które także przypada wykonanie pastelu *Caritas*. Lato spędziłem na wsi, ale znajdowałem się w takim stanie apatyi, że dni trawiłem na spaniu w lesie.

Pod jesień wróciłem do Krakowa, a ledwie się tu znalazłem, od razu któregoś dnia zjawia się

u mnie dwóch panów i proponuje mi... pokrycie polichromią świeżo odrestaurowanego kościoła Franciszkanów. Rzecz miała się tak. Po skończeniu robót architektonicznych, któremi kierował budowniczy Ekielski, postanowiono przeprowadzić polichromię całej świątyni i rozpisano w tym celu konkurs. Było to właśnie po moim powrocie z Paryża, tak, że do konkursu tego stanąć w żaden sposób nie mogłem. Nagrodę otrzymał kto inny... Okazało się jednak, że laureat nie mógł sobie dać rady i projekt jego, w ogólnym szkicu nie bez pewnych zalet kolorystycznych, w wykonaniu szczegółowem nie odpowiadał artystycznym wymaganiom. Czeladź malarska z rozrobioną farbą czekała na rusztowaniu. Praca miała się lada dzień rozpocząć, a projektu nie było. Wtedy to komitet restauracyi wpadł na myśl powołania mnie, za czem poszło, że naprędce, w przeciągu dni kilku, musiałem podać ogólny zarys pomysłu. Zarys ten zaakceptowano i na jego podstawie podpisano ze mną kontrakt, powierzając mi przeprowadzenie dzieła.

Kazawszy zmazać, co było zaczęte, bo, niestety, było to nieuniknione, rzuciłem się gorączkowo do pracy. Co kilka dni otrzymywałem pomiary ścian albo pól sklepiennych, które trzeba było na gwałt wypełniać ornamentem; nawet na robienie kartonów akwarelą czasu nie starczyło, bo akwarela schnąć musi i nie dopuszcza większych zmian lub

poprawek. Chwyciłem się tedy pastelów i kolorowych kredek, byle tylko malującym w kościele robotnikom nadążyć. Nieraz z pod ręki prawie wyrywano mi ledwie że ukończony arkusz; to znowu komitet budowy domagał się zmian i przeróbek, do których wypadało, chcąc nie chcąc, naginać pierwotne pomysły. Były to złe skutki pośpiechu i braku z góry obmyślanych, spokojnie przedyskutowanych i ostatecznie zatwierdzonych planów polichromii. Nareszcie, po półrocznych przeszło trudach, szczęśliwie dokonałem dzieła. Nadmienić winienem, że w pracy tej zastosowałem najzupełniej te same sposoby, jakich się pod Matejką nauczyłem na rusztowaniach w kościele Panny Maryi.

Muszę wspomnieć i o tem, że choć kościół Franciszkanów jest gotycki, mimo to, dekorując jego wnętrze polichromią, trzymałem się innej metody, niż to się czynić zwykło. Malarstwo dekoracyjne wymaga od artysty zdolności schematyzowania, t. j. sprowadzania przedmiotów do najprostszych, zasadniczych i najbardziej charakterystycznych rysów: postać ludzka, zwierzę, roślina, w ten sposób schematycznie ujęte, nabierają znaczenia ornamentu, stają się częścią składową, motywem jakiejś większej, dekoracyjnie pomyślanej całości. Niestety, malarstwo to popada najczęściej w banalność, wieki bowiem wytworzyły pewną liczbę takich schematów; każdy wiek i styl, każdy ma

swoje znane już i oklepane szablony, tak, iż dzisiejsi dekoratorowie zazwyczaj nie zadają sobie trudu, aby wyszukać coś nowego, aby motywy czerpać z natury i schematyzować je w swój własny, oryginalny sposób, jak to robili artyści dawniejsi. Wystarcza im przejrzeć jakąś *L'art gothique* albo *Gohtische Ornamentik* i ze starych wzorów skombinować coś niby nowego i niby własnego. W gruncie rzeczy u artystów takich kombinacya zastępuje wszelką twórczość. Natura z całym przepychem i cudnem bogactwem coraz to nowych swych objawów i motywów staje się dla takiego dekoratora czemś zgoła niepotrzebnem. Od czegóż album z gotowemi wzorami! A że lęka się wykroczyć przeciw stylowi, więc zadowala się bezmyślnem powtarzaniem tych rzeczy, które w dawnym stylu dawni artyści, z natury wprost czerpiąc, wytworzyli, ale mu nawet przez myśl nie przechodzi, że mógłby pójść za ich przykładem i w dalszym ciągu z tej samej natury w ich duchu wydobywać i tworzyć rzeczy nowe.

W tym samym roku, bezpośrednio po skończeniu polichromii u Franciszkanów, wezwano mnie do zrestaurowania witrażów w kościele Dominikanów. Witraże to z XV-go i XVI-go wieku. Praca nad nimi zajęła mi cztery miesiące, od rana do wieczora, ale skończyło się na tem, że ponieważ nie miano funduszów na wykonanie w szkle, więc odrestaurowano według moich pro-

jektów tylko trzy witraże. Nawiasem mówiąc, o witrażach tych, niezmiernie ciekawych, napisałem osobne studyum, które wydrukowałem w *Rocznikach Towarzystwa miłośników Krakowa*[1]). Wkrótce po ukończeniu przeze mnie projektów tych witrażów — a było to właśnie na wiosnę 1896 roku — wezwał mnie Odrzywolski do malowania kościoła w Bieczu. W zasadzie zgodziłem się na tę propozycyę, ale gdyśmy zaczęli dysputować z Odrzywolskim na temat tej dekoracyi, wynik był taki, że cała sprawa upadła... Z nadejściem lata, będąc wolnym zupełnie, pojechałem na wieś, na Błonie, i tam rysowałem wyłącznie studya kwiatów, gromadząc materyał do ornamentacyi kwiatowych.

Wróciwszy do Krakowa, trafiłem na przygotowania do restauracyi kościoła św. Krzyża, a niebawem zwrócono się do mnie, czybym się nie podjął polichromii nawy i prezbiteryum. Podjąłem się, ale ponieważ kierujący robotami, Stryjeński, zażądał dokładnego planu, więc wziąłem się do komponowania projektu, przyczem zrobiłem także dokładny plan rzeźby, przeznaczonej do umieszczenia na zewnątrz kościoła, a która miała przedstawiać Chrystusa w Ogrójcu. Zajęty temi projektami, napisałem specyalne studyum o kościele św. Krzyża, które znowu wydrukowałem w jednym

---

[1]) 16—17.

z roczników *Towarzystwa miłośników Krakowa*. Wkońcu jednak sprawa tej restauracyi kościoła św. Krzyża przybrała taki obrót, że nie sądzone mi było brać w niej udziału...

Wówczas to zacząłem swoje *Skarby Sezamu*, które ukończyłem w ciągu miesiąca. Jednocześnie w Sukiennicach urządziłem wystawę swoich rysunków pastelowych. Było to w roku 1897, w którym z inicyatywy Stanisławskiego zawiązało się w Krakowie Towarzystwo artystyczne *Sztuka*. Towarzystwa tego zostałem członkiem wraz z Mehofferem, Wyczółkowskim, Malczewskim, Fałatem, Tetmajerem i wieloma innymi. Jedną z pierwszych czynności świeżo zawiązanego stowarzyszenia było urządzanie w Sukiennicach własnej wystawy. Wypadła ona wogóle pod każdym względem bardzo dobrze. Ja miałem na niej, oprócz licznych studyów, głównie kwiatowych, dwie kompozycye pastelowe: *Caritas* i *Skarby Sezamu*. Oba te pastele wróciły do mnie z wystawy tak zniszczone, skutkiem niedbałego obchodzenia się z niemi, że poprostu chciało mi się płakać, zwłaszcza nad *Skarbami Sezamu*. Podczas trwania wystawy wykończyłem nowy, wielkich rozmiarów pastel: *Topiel*. Ale i tę pracę, podobnie jak *Skarby Sezamu*, uznano za dziwactwo. Na ten czas przypadają także moje ilustracye do *Iliady* Rydla, które spotkały się z takiem samem zdaniem opinii, jak *Topiel* i *Sezam*.

Inaczej miała się rzecz z dwoma witrażami do Franciszkanów, do których wziąłem się zaraz po skończeniu *Topieli*, a które, wykonane w naturalnej wielkości, gdy się znalazły na wystawie w Sukiennicach, zjednały mi poklask ogólny, przyczem odrazu zadecydowano wykonać je w szkle. Pierwszy z nich przedstawia św. Franciszka, drugi Boga Ojca. Właśnie w tym czasie, jesienią 1897 roku, ogłoszono w Krakowie konkurs religijny. Na konkurs ten dałem pierwszy z tych witraży i zdobyłem nim sobie pierwszą nagrodę. Gdy mi ją przyznano, dowiesiłem jeszcze drugi z tych witraży. Witraże te wogóle trafiły wszystkim bardzo do przekonania, bo i w Warszawie, dokąd je posłałem na wystawę *Sztuki*, przyznano mi na konkursie pierwszą nagrodę.

Tymczasem zaczęła mnie coraz bardziej nęcić twórczość poetycka, do czego w niemałym stopniu przyczyniło się zetknięcie ze Szczepańskim, który właśnie zaczął wydawać w Krakowie *Życie*. W piśmie tem, którego celem było apostołowanie modernizmu w sztuce i literaturze, pomieszczałem dużo rysunków i wogóle kierowałem działem ilustracyjnym. Teraz też wydałem własnym nakładem *Legendę*, a poznawszy się przez Rydla przy okazyi wystawienia jego *Z dobrego serca* z Tadeuszem Pawlikowskim, ówczesnym dyrektorem teatru, zaproponowałem mu wystawienie *Warszawianki*. Sztuka ta rok cały leżała u Pawlikow-

skiego, zanim ją wystawił w końcu... W ciągu tego roku napisałem *Meleagra*, poznałem się z Przybyszewskim, który też, objąwszy redakcyę *Życia*, wydrukował w niem moją *Warszawiankę*, co także w pewnym stopniu pobudziło Pawlikowskiego, że się zdecydował wystawić ją na scenie. We wrześniu 1898 roku pojechałem do Tyrolu, ażeby tam dopilnować wykonania w szkle moich witraży franciszkańskich. Wróciwszy do Krakowa, wydałem *Meleagra* i od tej chwili wyłącznie oddałem się pracy literackiej, nic nie malowałem. W marcu następnego roku napisałem *Lelewela*, który, grany w teatrze krakowskim, nie przeszedł bez wrażenia... Zachęcony tem, zaraz wziąłem się do pisania *Protesilasa i Laodamii*, która to tragedya, wydrukowana w *Przeglądzie polskim*, teraz ukazała się w osobnej odbitce. Tymczasem napisałem *Klątwę*, którą wziął Przybyszewski do *Życia*.

. . . .

. . . .

Na tem się urywają wynurzenia Wyspiańskiego, spisane przeze mnie wieczoru tego w *Paonie*.

W jakiś czas potem ożenił się Rydel. Wesele jego odbyło się w Bronowicach w chacie Włodzimierza Tetmajera. Na wesele to zjechało się sporo przyjaciół poety z Krakowa, przyjechał i Wyspiański. Z wrażeń jego, doznanych w ciągu tej nocy weselnej, powstało *Wesele*, które wystawione

w roku 1901 na scenie krakowskiej odrazu wysunęło Wyspiańskiego na czoło współczesnej poezyi. Od tej chwili zaczęła się sława Wyspiańskiego. Był to zarazem punkt kulminacyjny jego twórczości poetyckiej.

Do najpiękniejszych kamieni w dyademie tej twórczości należą dwa rapsody, nastrojone na górny ton mistycznych oktaw Słowackiego: *Bolesław Śmiały* i *Kazimierz Wielki*. O pierwszym z nich pisałem w swoim czasie artykuł p. t. *Dalszy ciąg Króla Ducha*. Tytuł ten nie podobał się Wyspiańskiemu, o czem przy sposobności dowiedziałem się od niego samego, kiedym go w zimie roku 1903 odwiedził w jego mieszkaniu na drugiem piętrze przy ulicy Krowoderskiej. Był już chory bardzo; prawie nie wychodził z domu. Ale za to był to już Wyspiański wielki, sławny, o którym istniały osobne monografie i studya, jako o twórcy *Legionu*, *Wyzwolenia*. Świeżo wyszła wtedy jego *Achilleis*.

Ponieważ czytał moich kilka artykułów o nim, z których dwa były o jego rapsodach, więc rozmowa zeszła na te rapsody. Otóż rapsody te — jak mnie w czasie tej wizyty objaśnił sam Wyspiański — w żadnym nie pozostawały związku z *Królem Duchem* Słowackiego. Nigdy mu nie przyszło na myśl pisać »dalszego ciągu« *Króla Ducha*. Powstanie tych rapsodów wiąże się ściśle z jego witrażami do katedry na Wawelu, z których gło-

wne były dwa: jeden, wyobrażający św. Stanisława, i drugi, wyobrażający Kazimierza Wielkiego. Otóż oba rzeczone rapsody: *Bolesław Śmiały* i *Kazimierz Wielki* — były napisane podczas pracy nad pomienionymi witrażami, mając być jakby rodzajem poetycznego komentarza do nich, rodzajem dopowiedzenia: to wszystko, co się nie dało wypowiedzieć za pomocą środków malarskich, to mówią te rapsody. *Z Królem Duchem* mają tylko wspólną formę oktawy. Rapsodów takich — mówił mi Wyspiański — zamierzał napisać sześć, t. j. tyle, ile projektował witraży na Wawel. Dwa inne, jeden o Piaście, drugi o Henryku Pobożnym, miał już zaczęte... Dał mi je do przeczytania, a także zgodził się, abym je wydrukował w *Kuryerze warszawskim*.

Od owej wizyty raz tylko jeden widziałem się jeszcze z Wyspiańskim. Było to w końcu sierpnia roku 1905. Właśnie był powrócił z kuracyi w Bad Hall. Spotkaliśmy się w kawiarni Sauera. Wyglądał nienajgorzej, tylko mówił głosem przyciszonym, prawie szeptem. Skarżył się, że mu kuracya nie zrobiła dobrze, że w tej chwili czuł się gorzej, niż przed wyjazdem, aż w końcu rozmowa zeszła na teatr. Widocznie był to temat, który mu bardzo leżał na sercu, bo stopniowo ożywiał się coraz bardziej, mówił wiele niepospolitych rzeczy, zwłaszcza o Szekspirze, raz po raz zapalał się, tak, że nawet jego zmatowany głos chwilami od-

zyskiwał brzmienie metaliczne, i nie spostrzegliśmy się, jak przegawędziliśmy blizko dwie godziny.

Wyszliśmy razem, a żegnając się na ulicy, nie mogliśmy przeczuwać, że już nie zobaczymy się więcej...

Kraków, 2 grudnia 1907,
w dniu pogrzebu Wyspiańskiego.
